

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/441

1984



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

RATUJCIE SACHAROWA I JEGO ŻONĘ

M. NOWAKOWSKI: **PIES ŚLEPCA**

SŁ. MROŻEK: **WRÓŻBA**

W. IWANIUK: **MĄDRY POLAK PO SZKODZIE**

SPIS RZECZY

Redakcja „Kultury”:	<i>Ratujcie Sacharowa i jego Żonę</i>	3
Jan Kulczycki:	<i>Mokotów</i>	5
Marek Nowakowski:	<i>Pies ślepeca</i>	24
Sławomir Mrozek:	<i>Wróżba</i>	28
Tibor Déry:	<i>Za czerwonym murem</i>	30
Zbigniew Mentzel:	<i>Własnymi słowami</i>	42

WIERSZE

Jacek Trznadel:	<i>Lekcja o literaturze polskiej</i>	48
Jerzy Zagórski:	<i>Gajka</i>	55

ARCHIWUM POLITYCZNE

Witold Ryser-Szymański:	<i>Sprawy niezatwione</i>	57
Z, Y, X, V, U, T, S, R, P, O, N, M, L:	<i>Kiedy Rosjanie wejdą do Polski</i>	62
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	69

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	88
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	94

KRONIKA KULTURALNA

Józef Czapski:	<i>Okaleczony list</i>	99
—	<i>Kongres Kultury Polskiej na Obczyźnie</i>	103

CI, CO ODESZLI

Nika Kłosowska:	<i>Mistrz</i>	105
-----------------	-------------------------	-----

KSIĄŻKI

Marek Zieliński:	<i>Wypuszczony z klatki</i>	108
Konstanty A. Jeleński:	<i>Tabernarius amicus Poloniae</i>	114
M. Broński:	<i>Obrona Judasza</i>	116
—	<i>Spis wydawnictw podziemnych PRL (4)</i>	118
Janusz Mondry:	<i>„Solidarność polskiego oporu”</i>	127
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	129

WOLNA TRYBUNA

Wacław Iwaniuk:	<i>Mądry Polak po szkodzie</i>	131
-----------------	--	-----

Z PUSTYNI I Z PUSZCZY

Jacek Bierezin:	<i>Profesor Pimko</i>	137
-----------------	---------------------------------	-----



—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki: amerykańska, francuska i kanadyj- ska</i>	141
—	<i>Z ostatniej chwili</i>	147



Rev. D. Biliński, OFM, A. I. Bragiński, S. Cieś- lewicz, Zb. A. Czudec, A. S. Ehrenkreutz, D. Mo- rawski, B. Pańczyszak, B. Schenkel, L. Stomma, K. Symonowicz-Symmons, T. Wyrwa:	<i>Listy do Redakcji</i>	149
--	------------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec - Juin 1984

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

E. Fedorowicz, Etobicoke, Ont. (Kanada), po raz 2-gi	F. 200,00
Alfred Kolator, Londyn, po raz 8-my, — £ 10,00	F. 115,00
Karol J. Krótki, Edmonton, Alta (Kanada), po raz 8-my — \$ c. 20,50	F. 130,00
Kaz. J. Logay, Sarasota, FLA (USA), po raz 8-my — \$ 48,00	F. 404,00
Maria Rasiej, Bogota, N.J. (USA), po raz 10-ty — \$ 48,00 ..	F. 404,00
Lita R. Strojny, Milford, CT (USA), po raz 3-ci — \$ 10,00 ..	F. 84,00
Stanisław Brodzki, wiceprezes Kongresu Polonii Kanadyjskiej, będąc przejazdem w Paryżu wraz z żoną Marią Brodzką, redaktorką <i>Głosu Polskiego - Gazety Polskiej</i> , wręczył re- daktorowi <i>Kultury</i> czek na \$ 9.114,10, przekazany przez adw. Marka S. Malickiego z Toronto. Czek ten stanowi część zapisu testamentowego śp. Józefy Turskiej, wielolet- niej prenumeratorki i przyjaciółki <i>Kultury</i> . Pozostała su- ma ma być przekazana w najbliższym czasie. Całość wynie- sie ok. \$ 20.000,00. Pragniemy podziękować adv. M. S. Ma- lickiemu, który bezinteresownie i z oddaniem prowadził po- stępowanie spadkowe. Śp. Józefa Turska identyczną sumę zapisała POSK-owi w Londynie	F.76.560,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ

Bezimiennie z RFN	F. 614,06
E.M., Paryż — na prześladowanych w Polsce	F. 200,00
Fundacja Centrum Informacyjne Polska 13 Grudnia (Stichting Informatiecentrum Polen 13 December, Amsterdam	F.2.726,28
Alfred Kolator, Londyn — na pomoc Krajowi (nauka, kultu- ra) — £ 10,00	F. 115,00
Józef Kunc, Long Beach, CA (USA) — na Fundusz Samo- obrony Społecznej — po raz 28-my — \$ 50,00	F. 420,00
Doc. Emilia Meister, El Paso, TX (USA) — jako protest prze- ciwko mającemu się odbyć procesowi Korowców i działaczy „Solidarności” — \$ 10,00	F. 84,00
Na Apel „Konfederacji 76”, Oddział Boston, USA wpłacili na pomoc więzionym obrońcom praw ludzkich w Polsce: G. Kliszewska, Los Angeles — zamiast kwiatów na trumnę śp. dr. Szczepana Zimmera — \$ 20,00 i zamiast kwiatów na grób Adama Krzemuskiego — \$ 10,00; p. Jaffe z Los Angeles — \$ 20,00; Klub Polskich Seniorów w Ocean Grove — zamiast kwiatów na grób śp. Wł. Michalaka, ostat- niego uczestnika strajku polskich dzieci we Wrześni w latach 1901-1902 — \$ 50,00 — ogółem: \$ 100,00 ..	F. 840,00
N.N. z Argentyny: — na pomoc dla intelektualistów w Polsce — \$ 2.500,00 ..	F.20.525,63
— na pomoc dla więźniów politycznych i ich rodzin w Polsce — \$ 2.500,00	F.20.525,63

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 159)

Ratujcie Sacharowa i jego żonę

Na oczach całego świata odbywa się w Gorkim mord, doko-
nywany na Sacharowie i jego Żonie. Nie ma potrzeby przypominać
historii dwojga wspaniałych i szlachetnych Rosjan, chorych i
szczutych, walczących przeciw przemocy ogromnego imperium o
coś więcej niż własne życie, o prawa człowieka. Znają tę historię
wszyscy. Ale zbliża się ona teraz do tragicznego epilogu. Zbliża
się tak szybko, że nie jesteśmy niestety pewni, czy nasz apel
dotrze do adresatów na czas, czy nie wyprzedzi go wiadomość
o dobiegu zabijanych stopniowo i metodycznie małżonków Sa-
charow. Póki jednak żyją jeszcze, trzeba wołać wielkim głosem:

Kierujemy nasz apel do zachodnich uniwersytetów, instytu-
tów naukowych i indywidualnych uczonych. Tylko od nich może
przyjść ratunek, jeśli zdecydują się zagrozić bojkotem sowieckich
instytucji naukowych, stawiając jako warunek zwolnienie obojga
zesłańców i umożliwienie im powrotu do Moskwy z prawem swo-
bodnego stanowienia o swojej przyszłości. Niech nikt nie zasła-
nia się obłudnym argumentem, że groźba takiego bojkotu wy-
mierzona byłaby w praktyce nie przeciw prześladowcom Sacha-
rowa i jego Żony, lecz przeciw sowieckim uczonym, kolegom
akademika Sacharowa. Koledzy Sacharowa dali dowód tego co
myślą odmawiając — mimo rządowych nacisków — wyrzucenia
go z Akademii Nauk. Potraktowaliby oni zapewne w duchu uży-
cie przez zachodnich uczonych jedynej w tej chwili broni — boj-
kotu — jako świadectwo i akt solidarności z sowieckim światem
naukowym.

Są zresztą chwile, gdy żadne kalkulacje nie mogą i nie powin-
ny mieć wpływu na naturalny, spontaniczny odruch powstrzyma-
nia ręki mordercy i taka właśnie chwila nadeszła teraz. Jeżeli
nie zostanie podjęta ta najbardziej dziś realna próba uratowania

około dwóch godzin siedząc — jeszcze razem — w niedużym pokoiku, cały czas pilnowani przez zmieniających się milicjantów, raczących nas uwagami typu: „Czy to warto było?“, „No i widzicie, teraz my mamy robotę, a tak i wy i my mielibyśmy spokój” itd. W końcu nas rozdzielono — zobaczyliśmy się dopiero po wyjściu z Mokotowa.

Zawieziono mnie do domu — chodziło oczywiście o rewizję (której szczegółowy opis zmuszony jestem pominąć). Jedyny naprawdę istotny fakt, jaki miał wtedy miejsce — to było spotkanie z rodziną, które uświadomiło mi ostatecznie, podkreśliło to co tracę.

Gdy odwieziono mnie do Pałacu, był już wieczór. Byłem nawet z tego „zadowolony”, gdyż niedługo po moim znalezieniu się w celi zgaszono światło. Pozwoliło mi to uniknąć kontaktów z innymi aresztantami, na co nie miałem najmniejszej ochoty.

Na urządzenie celi składała się tak zwana „grzędą” (było to podwyższenie, na którym kładło się materace, mogło się ich zmieścić pięć do sześciu oraz przymocowane na stałe do podłogi i ściany ława, stół i kibel. Ludziom, z którymi zostałem zamknięty, przyjrzałem się dopiero następnego dnia przy śniadaniu, które zjedliśmy bezpośrednio po wstaniu. Po pobudce oczywiście leżeliśmy jak długo było to możliwe. Zauważyłem wtedy, że niektórzy z nas mieli pościel, a inni — tak jak ja — dostali tylko materace, koce i poduszki, *nota bene* nie prane chyba nigdy. Dowiedziałem się wtedy, że pościel przysługiwała tym, którzy mieli tak zwane sankcje (czyli byli zatrzymani na mocy postanowienia prokuratora), natomiast zatrzymanym na 48 godzin — a do takich się jeszcze zaliczałem — nie. Z faktu przebywania razem z zatrzymanymi z sankcją prokuratorską wynikała jeszcze inna korzyść — przysługiwał im półgodzinny spacer w ciągu dnia — tylko im — ale oczywiście nas nie zostawiano w celi gdy oni wychodzili. Spacerniak jest na jednym z wewnętrznych dziedzińców Pałacu. Jest on dodatkowo ogrodzony kilkumetrowej wysokości siatką, o tak drobnych oczkach, że trudno byłoby w nie włożyć palce.

Dwie osoby w celi posiadały sankcję — młody chłopak, który już tyle razy przed moim przybyciem zdążył opowiedzieć za co siedzi, że nikt już nie chciał tego słuchać — tak że dowiedziałem się tylko że był złodziejem, podobnie jak drugi, dużo starszy. Ten opowiadał, jak złapano go w pół godziny potem, gdy „obrobił” willę badylarza. Ukradł wtedy dwie walizki różnych rzeczy, które wyceniono na 600.000 złotych. Miał to być jego dziewiąty wyrok, a odsiadanie poprzedniego skończył niecałe 48 godzin przed ponownym aresztowaniem. Jak twierdził „udało mu

się zachować ciągłość pracy”. Trzeci zatrzymany — podobnie jak ja, na razie na 48 godzin — był zamieszany w bardzo skomplikowaną kradzież telewizora i radia, w której jego udział polegał na pożyczeniu znajomemu samochodowi. Była to jego pierwsza styczność z wymiarem sprawiedliwości, moja zresztą też. Był bardzo zdenerwowany, ciągle chodził po celi, starał się przekonać wszystkich że jest niewinny i że muszą go przecież zaraz wypuścić, choć zdawał sobie chyba sprawę, że na nikim nie robiło to większego wrażenia.

Reakcją weteranów systemu penitencjarnego na moje zamknięcie się w sobie, było stwierdzenie: „Słuchaj, tu jest więzienie i tu się nie myśli, myśleć trzeba było na wolności, a jak siedzisz i myślisz, to tak, jakbyś odsiadywał dwa wyroki”. I rzeczywiście — przypomnianie sobie szczegółów aresztowania, spekulacje na temat jak do tego doszło, myślenie w więzieniu o wolności jest tylko samoudręczaniem się, nie prowadzącym do niczego. Druga, dosyć istotna nauka udzielona mi przez złodzieja dotyczyła spędzania czasu: „jak śpisz, to nie siedzisz”. Przez półtora dnia spędzonego w Pałacu — poza przesłuchaniem, o którym potem — nie działało się dosłownie nic. Zatem zaśnięcie w ciągu dnia choćby na pół godziny, oznaczało wykreślenie tego czasu z niekończącej się nudy. Co prawda w celi było kilka książek, ale lektura ich nie bardzo była możliwa z uwagi na tematykę. Jak powiedzieli moi nowi znajomi: „nie czytaj tego, to komuna”. Były to jakieś socrealistyczne powieści dla młodzieży o rewolucji październikowej.

Czas wypełnialiśmy sobie przede wszystkim niekończącymi się rozmowami. Najbardziej ekscytującym tematem było, oczywiście, jak kto z nas tu trafił, wałkowane niezliczoną ilość razy. Szczególnie zabawne było dla mnie omawianie przypadków kradzieży. Zabawne ze względu na całą zaangażowaną w to głęboką wiedzę, polegającą raczej na rejestracji nieskończonej ilości przypadków szczególnych w najrozmaitszych ich odmianach, niż na jakichkolwiek uogólnieniach, i uzupełnioną znajomością na parę artykułów Kodeksu Karnego i Kodeksu Postępowania Karnego.

Moja sprawa była prawdziwym rarytasem. Proszono mnie wielokrotnie o opowiadanie tego, co mi się przydarzyło. Pamiętając o tym, że w celi może być konfident — mówiłem tylko o samym aresztowaniu, jako o sprawie i tak znanej milicji.

Więźniowie kryminalni odnosili się do mnie jako do więźnia politycznego z wyraźną sympatią. Moja obecność skierowała rozmowę na Solidarność. Dowiedziałem się, że po Sierpniu w więzieniach nastąpiła zdecydowana poprawa warunków. W miejsce chleba, który — jak mi opowiadano — można było przylepić do ściany i rozgotowanej kaszy, pojawiły się dwudaniowe obiady,

klawisz nie śmieli odnosić się do więźniów z normalną (zdaniem więźniów) brutalnością itd. Starszy z dwóch złodziei podsumował swoje wynurzenia na temat Solidarności w następujący sposób: „No cóż, ja nie byłem działaczem, ale popierałem, popierałem...”.

Zdumiewające i szokujące było dla mnie spotkanie z ludźmi, dla których spędzenie dwóch trzecich życia w więzieniu było czymś oczywistym, dla których czymś zwykłym było czekanie na wolność, po to tylko, by znów wrócić do więzienia, dla których możliwe jest tylko życie w samotności, bo nikomu nie można zaufać.

Po spacerze zostałem wezwany na przesłuchanie, które przebiegało całkowicie zgodnie z opisami zawartymi w takich publikacjach, jak na przykład „Obywatel a prawo”, wydanej jeszcze przez Solidarność. Oczywiście nie było żadnego protokołu, a dwóch milicjantów przekonywało mnie o bezsensowności milczenia. Ich tok rozumowania był mniej więcej taki: już wpadłem, spowodowałem tyle kłopotów sobie i innym, więc powinienem dążyć do poprawienia mojej sytuacji, a tylko złożenie wyczerpujących wyjaśnień mogłoby ją polepszyć, podczas gdy milcząc pograżam się coraz bardziej. No, a poza tym, jest bardzo prawdopodobne, że oni i tak już od dawna wiedzą wszystko, co ja mógłbym powiedzieć, więc po co mam milczeć. A przede wszystkim wiedzą doskonale, że jestem tylko płótką, która milcząc — z zupełnie niezrozumiałych powodów — sprawia wrażenie, że naprawdę ma coś istotnego do ukrycia, czyli, że jest grubą rybą. Czy ja zastanawiałem się, jak doszło do mojego aresztowania? Przecież Służba Bezpieczeństwa nie miała tego adresu tak z powietrza. Po prostu zostałem wystawiony przez tych, których kryję. A czy zdają sobie sprawę, jakie pieniądze niektórzy robią na wydawnictwach niezależnych? Właśnie na pracy takich naiwnych jak ja. Itd. Itd.

Pierwszym pytaniem po powrocie do celi było, czy bardzo mnie bili. W to że nic takiego nie miało miejsca moi współwięźniowie wprost nie mogli uwierzyć. Potem dowiedziałem się, że dla nich bicie jest najzwyklejszym elementem i konsekwencją wpadki. Zawsze po złapaniu następuje bicie, niekiedy do nieprzytomności — po prostu nie zdarza się żeby było inaczej. A kolejny szok przeżyli, gdy powiedziałem im, że w ogóle nie zeznawałem. Takie postępowanie, ich zdaniem, jest pozbawione sensu. Po wpadce — szczególnie na gorącym uczynku — nie ma nic do ukrycia, każdy jest sam i normalne jest mówienie prawdy, czy też kłamanie, a nawet obciążanie innych, jeśli tylko poprawi się w ten sposób swoją sytuację. Nie wolno tylko sypać pozostających na wolności, choć i to się zdarza. Natomiast po-

wyższą sytuację należy odróżnić od stałej współpracy z milicją, co jest godne najwyższego potępienia. Należy tu zwrócić uwagę na zbieżność poglądów kryminalistów i milicjantów prowadzących śledztwo na sprawę postawy zatrzymanego. Tym samym więźniowie polityczni zupełnie nie mieszczą się w obowiązujących dotychczas regułach postępowania, gdzie wszystko podporządkowane jest dążeniu do minimalizacji wyroku.

A następnego dnia klamka zapadła. Nawet nie przekraczając terminu 48 godzin o więcej niż 2 godziny, wręczono mi sankcję. Dokonał tego prokurator, którego widziałem wtedy po raz pierwszy i ostatni. Nawet nie próbował mnie przesłuchiwać, tylko spytał, czy odmawiam składania wyjaśnień i było widać, że oczekuje odpowiedzi twierdzącej. Musiało to wynikać z jego dotychczasowych doświadczeń z więźniami politycznymi i było bardzo pocieszające, szczególnie w świetle opowieści więźniów kryminalnych.

Niedługo potem przewieziono nas — obu złodziei i mnie, trzeci nie dostał jeszcze sankcji — na tak zwaną sieczkarnię. Są to pomieszczenia w gmachu sądów, gdzie są zwożeni zatrzymani z różnych komend i dzielni na areszty i więzienia. I tak na przykład obaj złodzieje pojechali do Białołęki, a ja do więzienia mokotowskiego. Sieczkarnia posiada swoistą atmosferę. Można tu kupić za pośrednictwem pilnujących milicjantów papierosy, następuje wymiana informacji o sytuacji w więzieniach, a nawet o znajomych. Tutaj po raz pierwszy usłyszałem w pewien swoisty sposób wymawiane słowo „amnestia”, wraz z komentarzami typu: „muszą wreszcie zacząć wypuszczać”, „przecież więzienia nie są z gumy”, „przecież są takie przepelnienia”. Dowiedziałem się wtedy, że takie nadzieje na amnestię pojawiają się co jakiś czas w więzieniach, a mój rozmówca potrafił nawet wymienić lata kiedy to miało miejsce. Po półgodzinnym mniej więcej pobycie w „sieczkarni”, zostałem wezwany po nazwisku i razem z kilkunastoma innymi zatrzymanymi zamknięto mnie w tak zwanej „suce”, czyli ciężarówce specjalnie przystosowanej do przewozu więźniów.



Po wyjściu z suki nie było nawet czasu na rozejrzenie się wokół siebie. Wprowadzono nas natychmiast na jakiś korytarz, ustawiono i mnie jako pierwszego wezwano, tak że nie zdążyłem się nawet porozumieć z pozostałymi. Wprowadzono mnie do pomieszczenia o zakratowanych oknach i — jak na pocztce — dwóch okienkach. Z ciekawością przystąpiłem do lektury napisów na ścianach. Odnalazłem tam kilka nazwisk osób znanych

w całym kraju. Przy niektórych nazwiskach były napisy „odmawiam zeznań”, przy prawie wszystkich daty przybycia.

Po dłuższym oczekiwaniu okienka otworzyły się i rozpoczęły się czynności administracyjne: spisywanie danych, oddanie pieniędzy i zegarka do depozytu i, co najistotniejsze, zamiana ubrań „cywilnych” na miejscowe. Pozwolono mi tylko zostawić sobie spodnie, skarpetki i buty, reszta podlegała wymianie. Zamiast koszuli i swetra dostałem, według tutejszej nomenklatury, marynarkę, czyli płócienną koszulę z długimi rękawami w kolorze brązowo-brunatnym. Ponadto dano mi czapkę, koc, poduszkę z podszewką, dwa prześcieradła i osławione „platory” czyli cynową miskę, także talerz i łyżkę pochodzącą niewątpliwie z harcerskiego niezbędnika.

Potem, już jako więźnia, poprowadzono mnie do pawilonu trzeciego. Zobaczyłem wtedy po raz pierwszy rzędy drzwi z judaszami, schody z siatkami, kamery, charakterystyczny, granatowo-brunatny kolor mundurów.

Po wejściu do celi, moje obawy o to, że będę musiał w dalszym ciągu przebywać w towarzystwie więźniów kryminalnych, rozwiały się. Już po kilku wymienionych zdaniach wiedziałem, że to mi nie grozi. Zostałem też zakwalifikowany — po krótkim scharakteryzowaniu mojego przypadku — do kategorii „Solidarności” — w odróżnieniu na przykład od „handlu zagranicznego” czy też „administracji państwowej”. Ale na tym zainteresowanie pozostałych moją sprawą skończyło się. Po ciągłych rozmowach na ten temat w Pałacu, wydawało mi się to wręcz nienaturalne. Ale jak się później okazało, należało to po prostu do tutejszego *savoir-vivre*'u.

Cela była czteroosobowa — 11 m² i nie miała „grzędy” lecz piętrowe łóżka, normalny stolik, taborety i szafki. Oczywiście był kibel, a oprócz tego umywalka. Kraty w oknie były tak skonstruowane, że umożliwiały tylko uchYLENIE go, a przez matowe szyby i tak nic nie można było zobaczyć.

Moi nowi współtowarzysze z wyraźną przyjemnością zabrali się do wyjaśniania mi co, gdzie, jak i którędy. Zostałem wprost zasypany informacjami dotyczącymi korespondencji, paczek, talonów, rozkładu dnia, książek, przesłuchań itd. Niewiele z tego docierało do mnie, ale nie przejmowałem się tym, wiedząc, że z czasem i tak wszystkiego co będzie mi potrzebne, tutaj się nauczę. Szokująca była natomiast dla mnie postawa ich wobec sytuacji, w której się znajdowali. Ja ciągle jeszcze żyłem tym wszystkim, co właśnie mi się urwało, do czego będę mógł powrócić dopiero kiedyś, albo do czego nie będzie już powrotu

— dla nich sprawą podstawową była partia kości, do której właśnie zostałem zaproszony, należąca do codziennego rytuału. Nie mogłem uwierzyć, że ja również zdołam w tym stopniu zaadaptować się do warunków aresztu — co oznaczało, w jak największym stopniu odgródzenie się od normalnego świata — zapomnienie o nim, myślenie o nim jako o czymś nie za bardzo realnym, a jeszcze lepiej niemyślenie wcale.

Zauważyłem wtedy pewne przewartościowanie słowa „wolność”. Wypowiadane w więzieniu nie dotyczyło ono stanu, lecz oznaczało miejsce, każde miejsce nie będące więzieniem.

Utrzymanie chronologii jest możliwe tylko na początku, gdy ciągle coś się dzieje. Potem kolejne dni są identyczne w najdrobniejszych szczegółach, tak więc w pamięci pozostaje tylko jakiś uogólniony dzień i wiele wrażeń, myśli, wspomnień dotyczących różnych zdarzeń, trudnych do umiejscowienia w czasie.

Rozkład dnia wyglądał w skrócie w ten sposób: dzwonek o 6-tej budził nas i zaraz potem do celi wnoszono kostkę, czyli nasze ubrania i buty wystawione wieczorem na korytarz. Następnie miał miejsce apel, podczas którego klawisz dyżurny sprawdzał, czy kogoś nie brakuje. Później rozdawano produkty (bez chleba) na śniadanie i kawę. Obiad dostawaliśmy około 13-tej, a około 16-tej roznoszono pieczywo na kolację i śniadanie dnia następnego oraz *Trybunę Ludu*. Potem była kolacja i apel wieczorny. Około 19-tej nasze ubrania były wynoszone na korytarz (zostawaliśmy tylko w bieliznie), a o 21-ej gaszono światło. Półgodzinny spacer mógł mieć miejsce w każdej chwili, a przesłuchania na ogół między 10-tą a 16-tą z przerwą na obiad, choć zdarzały się także wyjątki.

Przyzwyczajanie się do rytmu dziennego było sprawą odrobinę trudniejszą niż nauka gry w kości. Niemniej regularność czynności dziennych była dosyć wygodna, ponieważ zastępowała zegarek odebrany przy wejściu. Innym sposobem na ocenianie czasu było słuchanie sygnałów radiowych dochodzących z sąsiedniego pawilonu szpitalnego (chyba, że okna celi wychodziły na drugą stronę budynku), ewentualnie z okolicznych telewizorów — czyli z wolności. Szczególnie wyraźnie słychać było codziennie sygnał dziennika telewizyjnego.

Poza umiejętnością oceny czasu wyrabiał się w każdym z nas ogromne wyczulenie na odgłosy dobiegające z korytarza — jako że był to dla nas przedśmiatek całego świata. Rzeczywista przydatność informacji płynących stamtąd była żadna — nic nie

wynikało na przykład z faktu, że właśnie dzisiaj dużo osób poszło na przesłuchania.

Ale nie tylko tego się nauczyłem, nie tylko do tego przyzwyczaiłem. Musiałem zaakceptować dosłownie unoszącą się w celi obsesję czystości. Wyrażała się ona w codziennym myciu podłogi — choć regulamin przewidywał robienie tego raz na tydzień — czy też w myciu muszli klozetowej po każdym jej niemal użyciu. Początkowo wydawało mi się to śmieszne, ale po pewnym czasie zaakceptowałem to dziwactwo, gdyż umożliwiało ono spędzenie przynajmniej krótkich chwil w ciągu dnia na robieniu czegoś pożytecznego, a właściwie nie tyle pożytecznego, co absorbującego uwagę i wyrwywającego z beczynności. Natomiast względy higieniczno-sanitarne, choć im właśnie było to podporządkowane, nie odgrywały — przynajmniej dla mnie — istotniejszej roli.

Innym dziwactwem, które uderzyło mnie od pierwszej niemal chwili była sprawa własności. W momencie przybycia do aresztu na ogół nie ma się niczego z choćby najbardziej podstawowych rzeczy jak mydło czy szczoteczka do zębów. Oczywiście wszystkie te niezbędne akcesoria życia codziennego dostanie się od współtowarzyszy w celi, jako że wszyscy oni posiadają pewne zapasy tego typu artykułów. A poza tym nie ma potrzeby oddawania tego co się otrzymało, ponieważ gdy do celi przyjdzie nowy, trzeba go będzie poratować w ten sam sposób. Z tego punktu widzenia, ta rotacja miała swoje dobre strony, ale powodowała też pewne kłopoty. Mianowicie nie było możliwości wyrwania się z raz przyjętego obyczaju, czy też reguły postępowania. Gdy do celi przychodzi nowy, spotyka trzech więźniów, postępujących w jakiś sposób i dostosowuje się do nich. Gdy któryś z nich opuszcza celę i przychodzi kolejny nowy, styka się z tą samą sytuacją. Na przykład w niektórych celach więźniowie wprowadzają dyżury dla wykonywania prac porządkowych. Gdy po pobycie w celi, gdzie wszystkie czynności związane z utrzymaniem jej w czystości wykonywało się razem (co miało ogromne znaczenie integrujące), zostałem przeniesiony do celi, w której obowiązywały dyżury, próbowałem przekonać mieszkańców o wyższości tamtego systemu podziału (a raczej braku podziału) prac. Proponowana zmiana okazała się absolutnie niemożliwa do przyjęcia dla moich nowych współmieszkańców, choć pierwotni autorzy systemu dyżurów w tej celi już dawno ją opuścili.

Wracając do kwestii własności — otrzymywanie wielu artykułów codziennego użytku od innych było dla mnie kłopotliwe, tym bardziej gdy dostrzegałem wyraźną potrzebę akcentowania swojej własności. Tak więc każdy używał swojego mydła, jadło się tylko ze swojej miski — choć poza zadrapaniami i napisami

niczym się one między sobą nie różniły — swoją łyżką, piło się ze swojego kubeczka, które to naczynia samemu się myło po każdym posiłku — co swoją drogą łączyło się ze sprawą wypełniania sobie czasu.

Z początku wydawało mi się śmieszne, żeby dorośli ludzie tyle uwagi poświęcali sprawie tak pozbawionej znaczenia. Jednak moje poglądy na tą kwestię zmieniły się po otrzymaniu pierwszej paczki. Rzeczywiście, myśl, że ta mydelniczka jest moja, czy też żeby dostać kartkę z tego zeszytu trzeba otrzymać moją zgodę, sprawiały mi ogromną przyjemność. Innym skutkiem tej potrzeby posiadania było gromadzenie zapasów wszelkich artykułów. Źródłem tych zapasów były paczki i tak zwane wypiski. „Wypiska” była to możliwość kupienia różnych podstawowych artykułów (sanitarnych, piśmiennych, jedzenia — w bardzo ubogim wyborze) w więzieniu, o ile ma się pieniądze na miejscowym koncie. Owe zakupy robiło się dwa razy w miesiącu, przy czym dodatkowym ograniczeniem była suma 500 zł, których nie mogła przekroczyć wartość nabywanych jednorazowo towarów. Robiąc kolejne zakupy bardzo trudno mi było powstrzymać się od nabycia następnej papeterii, mydła, czy zapasowej pasty do zębów.

Respektowanie prawa własności było niezmiernie istotnym elementem miejscowego *savoir-vivre'u*. Wprost nie do pomyślenia było skorzystanie z czyjegoś przedmiotu bez zgody właściciela. Oczywiście, poza wyjątkowymi i rzeczywiście uzasadnionymi przypadkami, zgoda owa była formalnością. Niemniej trzymanie się tego obyczaju, jak również dbałość o zachowanie jak najdalej posuniętej uprzejmości w każdej chwili, było w sytuacji stałego przebywania czterech osób na około 11 m² absolutną koniecznością.

Nieco inaczej wyglądała realizacja prawa własności odnośnie żywności pochodzącej z paczek i wypiski — a zatem żywności prywatnej. O żywności tej mówiło się, że jest własnością wspólną celi, ale podczas jadalospisu przed posiłkiem — a niestety nie zawsze było się nad czym zastanawiać — również wypadało spytać ofiarodawcę, czy nie ma nic przeciwko temu, aby właśnie jego kiełbasa była rozpoczeta przy okazji zbliżającej się kolacji. A każdy dokładnie pamiętał, z czyjej paczki pochodziły które puszkę, a nawet która wędlina. Natomiast żywność pochodząca z wypisek — nie posiadająca żadnych cech indywidualnych — była rzeczywiście traktowana jak własność wspólna, mimo że nie wszyscy mogli ją kupować, jako że osoby zaopatrujące się w papierosy i tak miały ustawiczne kłopoty ze zmieszczeniem się w pięćsetzłotowym limicie, podczas gdy niepalącym z trudem

udawało się wydać trzysta złotych — nawet kupując żywność dla całej celi.

Przeżyciem dostarczającym wielu spostrzeżeń jest przyjsię do celi nowego. Ja poczułem się wtedy jak stary weteran systemu penitencjarnego — choć mój staż wynosił tylko parę tygodni. Ale patrząc na jego zagubienie w tym świecie jedenastu metrów kwadratowych, lęk, napięcie, jakąś nieporadność, niemożliwość spokojnego wykonania najprostszej czynności, a nawet poprawnego zbudowania zdania, zobaczyłem siebie samego sprzed nie tak długiego czasu i stwierdziłem, że moja adaptacja dokonała się szybciej, niż kiedykolwiek mógłbym przypuszczać. Adaptacja ta polegała na pogodzeniu się ze skrajnie nienaturalną, niezgodną z naturą człowieka sytuacją więzienia, co oznaczało odsunięcie istniejącego gdzieś świata zewnętrznego — rodziny, wszystkich zajęć, po prostu wolności — na dalszy plan, niemal wykreślenie go z codziennych myśli, zainteresowań.

Oczywiście nie było się całkiem pozbawionym kontaktu ze światem zewnętrznym. Wkraczał on codziennie za pośrednictwem *Trybuny Ludu*. A atmosfera aresztu śledczego bardzo sprzyjała właściwemu odczytywaniu wszystkich absurdów i całego surrealizmu rzeczywistości malowanej w tym organie. Ale nie ta możliwość kontaktu z wolnością była godna jakiegokolwiek uwagi. W więzieniu na nic nie czeka się tak bardzo jak na listy i paczki — paczki nie ze względu na to, że niosą w sobie oczywiście ułatwienia, ale dlatego, że są znakiem, sygnałem świadczącym o pamięci, cieplej myśli, zainteresowaniu z zewnątrz. Niemniej jest to kontakt dosyć iluzoryczny. Nawiązanie normalnej wymiany informacji przy pomocy korespondencji nie jest możliwe, ponieważ na odpowiedź na każde pytanie czeka się od czterech do sześciu tygodni — normalnie, a nierzadkie są przecież przypadki przetrzymywania listów. A tak długi okres czasu z reguły dezaktualizuje odpowiedź. Ale nie to było w kwestii listów — przynajmniej dla mnie — najistotniejsze. Mianowicie list — jako ten sygnał z wolności — był tym, na co czekało się najbardziej — o wyjściu na wolność w areszcie śledczym tak bardzo się nie myśli — ale jednocześnie był on czynnikiem najbrutalniej niszczącym spokój, równowagę wewnętrzną polegającą właśnie na pomijaniu, odgradzaniu się od spraw wolności. Po każdym takim wtargnięciu normalnego życia do mojego sztucznie obojętnego na wszystko świata, musiałem przez jakieś dwa dni dochodzić do siebie — czyli kolejno wykreślać z myśli wszystkie sprawy opisywane w listach. Sygnałem, że już to nastąpiło, było pojawienie się nowego oczekiwania wiadomości.

Dlaczego w areszcie śledczym nie myśli się o wyjściu na wolność, nie to jest tym, na co czeka się najintensywniej? Wiąże to się ze sprawą przesłuchań. Jednym z podstawowych chwytów śledzi — czyli oficerów śledczych — jest „granie” na chęci wyjścia: „No, przecież milcząc nie poprawia pan swojej sytuacji, a pańskie zachowanie w śledztwie będzie miało podstawowy wpływ na decyzję sądu. Chce pan wyjść stąd jak najprędzej, a na pewno pierwszym krokiem w stronę wolności jest złożenie wyjaśnień. A jeśli powie pan wszystko, to wtedy może pan liczyć na uchylenie tymczasowego aresztowania — to się nawet bardzo często zdarza, prowadziłem wiele takich spraw, może mi pan wierzyć. No, niech pan sam powie, ile czasu jeszcze chce pan tu spędzić?” Odpowiedź na to może być tylko jedna — w śledztwie do trzech lat i maksymalny wyrok. Takie stawianie sprawy dosyć skutecznie wykluczało możliwość prowadzenia przesłuchań w ten sposób. Jest to tym bardziej słuszne, że — jak podczas jednego z późniejszych przesłuchań śledź sam mi powiedział — wyrok w takich sprawach jak moja, nie ma nic wspólnego z zachowaniem podczas śledztwa, ani nawet z samym przekroczeniem prawa, a jest tylko i wyłącznie funkcją aktualnej sytuacji politycznej.

Nastawianie się na najgorszą ewentualność, wbrew pozorom, nie było żadnym samoudręczeniem, a wręcz odwrotnie — pozwalało uniknąć stresów związanych z niespełnieniem nadziei. Przykładem takiej sytuacji była amnestia. Byłem wtedy w celi z dwoma podejrzanymi o przestępstwa gospodarcze. Od momentu, gdy w *Trybunie Ludu* pojawiły się wyraźne sygnały o zbliżającej się amnestii, jak na przykład apel PRON-u, obaj moi współtowarzysze — w przeciwieństwie do mnie — byli głęboko przekonani o tym, że ich kłopoty dobiegły końca. Trudno sobie wyobrazić ich załamanie, gdy *Trybuna* przyniosła pełny tekst amnestii.

Kolejnym elementem aresztu śledczego są przesłuchania. I do nich trzeba przywyknąć, i w nich trzeba znaleźć swoje miejsce.

Bardzo trudno jest pogodzić się z myślą, że nie ma się już żadnego wpływu na swoją — przynajmniej najbliższą — przyszłość, i przyjąć całkowicie bierną postawę wobec nowego otoczenia. Jedyną drogą, poprzez którą można wywierać jakikolwiek wpływ — jak się niesłusznie zresztą wydaje — na swoje losy, są właśnie przesłuchania. Więc chce się mówić, mówić cokolwiek, rzeczy rzekomo nieistotne lub znane przesłuchującemu, nieprawdę, wystąpić z jakąś linią obrony. Zdecydowane i konsekwentne milczenie jest połączone z wrażeniem pozbawiania się

całkowicie możliwości jakiegokolwiek obrony, choć w rzeczywistości takie możliwości po prostu nie istnieją. Więc musiałem się przełamać, przekonać się, że nawiązanie dialogu ze śledziem nie prowadzi do nikąd, że muszę okazywać brak zainteresowania wobec wszelkich jego sugestii, jak na przykład wyrazić zdecydowaną niechęć czytania protokołów przesłuchań innych, którzy rzekomo się posypali. Dopiero gdy uzyska się pewność siebie płynącą ze świadomości, że to przesłuchiwany jest w ostatecznym rozrachunku panem przesłuchania, ponieważ, jeśli wszystko odbywa się zgodnie z prawem, może zawsze odmówić złożenia podpisu pod protokołem, dopiero wtedy na przesłuchania chodzi się nawet z ciekawością. Mianowicie, przesłuchania dostarczają informacji — choć mogą one być mylące — o stanie sprawy, a jednocześnie nie ma już ryzyka, że coś się powie. W tej sytuacji kilkutygodniowa przerwa w przesłuchaniach może być nawet źródłem niepokoju. Ale i to podejście do przesłuchań jest niewłaściwe, ponieważ oznacza ono zaangażowanie się w pewną grę ze śledziem. Po pewnym czasie wezwania na trzecie lub czwarte piętro pawilonu III, gdzie mieszczą się pokoje przesłuchań, nie wzbudzały we mnie żadnych emocji, poza żalem, że być może stracę spacer tego dnia.

Równie ciekawa, choć nie wzbudzająca takich emocji, była ciągła styczność z funkcjonariuszami służby więziennej, czyli tak zwanymi klawiszami. Byli to ludzie posiadający wyraźny kompleks niższości w stosunku do nas — więźniów. Widać to było wyraźnie poprzez potrzebę stałego akcentowania faktu posiadania władzy, sprawiania wrażenia, że posiadają informacje, które dla nas nigdy lub znacznie później będą dostępne. Niektórym z nich wyraźną przyjemność sprawiało przyłapywanie nas na jakimś przekroczeniu regulaminu — jak na przykład leżeniu na łóżku w ciągu dnia — gdyż to dawało okazję do zwrócenia uwagi, niekiedy w wyjątkowo niewybredny sposób. Jednocześnie u klawiszy można było zaobserwować zachowania typowo urzędnicze. Klawisze przede wszystkim chcą mieć spokój, zatem unikają sytuacji, która wymagałaby od nich cienia wysiłku, nie mówiąc już o inicjatywie. Jeśli klawisza poprosi się o cokolwiek, to aby uniknąć dyskusji odpowie, że oczywiście, że zaraz to załatwi, ale w dziewięciu przypadkach na dziesięć nie robi nic.

Przez pewien czas przebywałem w celi, która klawiszy traktowała jak służbę. Było to przyczyną masy codziennych uciążliwości i chamstwa. Kiedy później zostałem przeniesiony do celi, której mieszkańcy odnosili się do klawiszy uprzejmie, odczułem

ogromną ulgę. Klawisze traktowanie ich jak kogoś równego sobie odbierali jako komplement — co *nota bene* wskazuje właśnie na ich kompleksy. Dotyczy to tylko funkcjonariuszy służby więziennej niższego szczebla, z którymi stykałem się na co dzień. Klawisze — oficerowie, których widzi się tylko przy wyjątkowych okazjach, zawsze traktowali więźnia w ten sposób, jakby był śmieciem.

Podczas jednej z wizyt u wychowawcy dowiedziałem się, że jestem „częściowo ubezwłasnowolniony”. Abstrahując od trafności tego określenia, sens jego zaczął być dla mnie całkowicie zrozumiały dopiero po kilku tygodniach, czyli wtedy, gdy codzienne życie nie kryło już żadnych niespodzianek. Przedtem, to znaczy począwszy od momentu aresztowania i znalezienia się w Mokotowie zrozumiałem, co oznacza „nie być wolnym” — nie móc podejmować samodzielnych decyzji i realizować ich. Potem dostrzegłem nie będący tym samym fakt „bycia ubezwłasnowolnionym”. Złodzieje mówiący „... teraz już jesteś w więzieniu...” właśnie to, między innymi, starali mi się przekazać. Oznaczało to, że stałem się przedmiotem, przesuwany w różnych kierunkach, przez nieznaną mi do końca „siłę”, kierującą się niezrozumiałymi dla mnie motywami. Dodatkowo jasne było, że bezpośrednio wykonawcy owej wyższej woli — czyli klawisze — też nie zdawali sobie sprawy, co jest celem niektórych ich czynności. Zresztą to ich nie interesowało. Ale fakt ten jeszcze bardziej podkreślał izolację od wszystkiego, co naprawdę decydowało o moim życiu, pogłębiał owe „częściowe ubezwłasnowolnienie”. „Częściowe” — ponieważ, jak mi wyjaśnił wychowawca, miałem prawo do pisania odwołań i zażaleń.

Podporządkowanie się instytucji, w której władzy się znalazłem, biurokratyzowaniu, którego stopień trudno jest nawet określić, wzbudzało we mnie niemal respekt. Otóż w więzieniu wszystko załatwia się przy pomocy karteczek z prośbami, czy też podaniami. I tak na przykład, gdy chce się otrzymać jakikolwiek przedmiot z zewnątrz, trzeba wystosować podanie do naczelnika aresztu. Ja wystąpiłem o zezwolenie na przysłanie mi przez rodzinę pewnego lekarstwa. Od momentu napisania podania do otrzymania talonu — czyli dopiero zezwolenia na paczkę zawierającą tylko to lekarstwo — minęło ponad cztery tygodnie. Przyczyny tego stanu rzeczy raczej upatruję w dosyć skomplikowanej drodze służbowej, którą moje podanie musiało przebyć, niż w świadomej złośliwości, czy też chęci utrudnienia mi życia przez system penitencjarny. (Aczkolwiek zdarzają się często przypadki, w których zła wola tegoż systemu jest widoczna z daleka).

Przypuszczam, że droga służbowa, którą musiała przebyć moja prośba wyglądała w sposób następujący. Prośba o lekarstwo, jako adresowana do naczelnika, musiała powędrować najpierw do niego. Ponieważ dotyczyła lekarstwa, została przesłana do lekarza w celu zaopiniowania, a następnie, zaopatrzona w ową opinię, wróciła do naczelnika, który po podjęciu pozytywnej decyzji przesłał ją do wychowawcy, którego obowiązkiem było wystawienie talonu, co nastąpiło. Ale otrzymanie talonu to dopiero połowa sukcesu. Talony w odróżnieniu od listów, nie podlegają cenzurze, ale idą równie powoli. Tak więc paczkę z lekarstwem otrzymałem po trzech tygodniach od wysłania talonu. Cała operacja trwała zatem około siedmiu tygodni, od momentu zgłoszenia mej prośby.

Z najróżniejszymi absurdami stykałem się dosyć często. Na przykład w okresie upałów dostawaliśmy dodatkową kawę około południa. Idea sama w sobie słuszna, natomiast groteskowy był fakt, że ową kawę otrzymywaliśmy dopiero drugiego lub trzeciego dnia trwania upałów, a wydzielanie jej przerywano również drugiego lub trzeciego dnia chłodniejszego. Tę inercję tłumaczyłem sobie ową specyfiką drogi służbowej, którą musiały przebyć polecenia naczelnika, gdyż tylko on mógł decydować o jakiegokolwiek zmianie rozkładu dnia.

Natomiast ilość absurdów związanych z funkcjonowaniem miejscowej służby zdrowia była wprost nieskończona. Generalnie rzecz biorąc, usług więziennych lekarzy i pielęgniarek należy unikać, co swoją drogą nie jest trudne, ponieważ nie narzucają się oni ze swoją pomocą. Niestety, nie zawsze jest to możliwe. Na stałe w pawilonie przebywa pielęgniarka, której w zasadzie niczego nie wolno — bez zezwolenia lekarza. Internista ma dyżury tylko w poniedziałki i piątki, natomiast dentysta tylko we wtorki. Co się stanie, gdy kogoś rozboli ząb w środę — nie wiadomo. Zapewne byłby przeniesiony do pawilonu szpitalnego. Prośby o proszek od bólu głowy pielęgniarka kwitowała na ogół smutnym stwierdzeniem, że trzeba się najpierw zapisać do lekarza. A ten może być na przykład dopiero za dwa dni. Chociaż, gdy przebywałem w celi uprzejmie traktującej „obsługę”, zdarzało się, że pielęgniarka rozumiała, że głowa może zaboląć w inny dzień, niż poniedziałek lub piątek, i otrzymywało się zbawczy proszek.

W konsekwencji „częściowego ubezwłasnowolnienia” nie można robić żadnych planów, jak również trzeba unikać przyzwyczajania się do czegokolwiek, gdyż może to stać się w każdej

chwili źródłem stresu, zawodu, a to z kolei obniża sprawność i odporność psychiczną. Ale zdarzają się sytuacje, w których nie sposób tego uniknąć. Mianowicie, jeżeli stosunki w celi układają się bez większych konfliktów, po pewnym czasie zaczyna się lubić swoich współtowarzyszy, a znając dokładnie ich przyzwyczajenia, gusty, zalety i wady, ma się jakiś okrucuch pewności, czegoś, na czym można się oprzeć. Tym samym, w momencie rozdzielenia mieszkańców celi, które może nastąpić w każdym momencie, następuje zniszczenie tego oparcia, przeżywa się znowu niepewność.

Jak już wspominałem, spotkani w Pałacu Mostowskich bywalcy systemu penitencjarnego mówili mi, że dzięki „Solidarności” jakość jedzenia w więzieniach bardzo się poprawiła. Na temat jakości pożywienia nie mogę się wypowiedzieć, bo nie mam żadnej skali porównawczej (poza wolnością), natomiast jeśli chodzi o ilość, to w areszcie śledczym głodnym być nie można. Zjedzenie dziennej porcji przekraczało zdecydowanie możliwości każdego z nas. Działo się tak dlatego, ponieważ — jak sądzę — codzienne jadłospisy podporządkowane były jakiemuś normatywowi kalorii, który każdemu więźniowi musiał być dostarczony. Zatem stosując prakseologiczną zasadę minimalizacji nakładów przy określonym celu, nie pozostawało nic innego jak minimalizacja kosztów — stąd obfitość posiłków opartych na jak najtańszych tłuszczach i w ogóle nie zróżnicowanych, nie zawierających jarzyn ani owoców. Uwzględnienie zdrowia konsumentów w tym rachunku wydaje się surrealistycznym żartem. Dlatego też nie dającym się uniknąć skutkiem tej diety była awitaminoza, której nie były w stanie zlikwidować paczki, aczkolwiek ich znaczenia i tak nie można przecenić.

Przytłaczające było uczucie marnowania czasu. Jakikolwiek chęć samokształcenia nie prowadziły do niczego, ponieważ rozbiły się o zgodę prokuratora i naczelnika więzienia na otrzymanie podręczników i książek z zewnątrz. Natomiast dostępna wszystkim biblioteka więzienna zawierała tylko beletrystykę. Przy wymianach książek, co miało miejsce raz na trzy, cztery tygodnie, rzadko zdarzało się dostać więcej niż dwie zamawiane pozycje na cztery otrzymywane. Niemniej do następnej wymiany czytało się wszystko — nawet książki dla dzieci, jeśli ktoś akurat takie otrzymał. (A swoją drogą, interesujące jest, co książki dziecinne robią w bibliotece tego typu). Wymiana książek, a więc okres kiedy się jest ich pozbawionym, trwał na ogół około

tygodnia i wtedy dopiero naprawdę nie było co robić. *Trybuna Ludu* czytaliśmy po dwa razy od deski do deski i bez końca graliśmy w kości.



Czas w więzieniu biegnie bardzo nierównomiernie. Nakładają się tu na siebie dwa rytmy: dzienny i tygodniowy. Dnie, niczym prawie nie różniące się między sobą, wloką się okropnie. Istnieją jednak drobne różnice między dniami tygodnia, pozwalające dostrzegać ów rytm tygodniowy — biegnący szybko. Są pewne różnice w tygodniowym ułożeniu zajęć między poszczególnymi oddziałami (czyli piętrami) pawilonu. Na przykład na oddziale trzecim (na drugim piętrze) rytm tygodniowy wyglądał następująco: poniedziałek — zawsze nieprzyjemny początek tygodnia — oraz golenie, we wtorek nic się nie dzieje, środa — łaźnia oraz zmiana bielizny, czwartek — znowu golenie i często listy, piątek — niby nic, ale koniec tygodnia już blisko, a w sobotę jest *weekend*, praktycznie nie ma przesłuchań, w niedzielę wstaje się o godzinę później, to jest o 7-ej. Rytm ten był o tyle istotny, że czas liczyło się tygodniami, a nie dniami, ani tym bardziej miesiącami. Nieużywanie miesiąca jako jednostki czasu można wytłumaczyć dosyć łatwo. Otóż miesiące mają niejednakowe ilości dni, a dzień w więzieniu to bardzo dużo. Zatem informacja o odsiedzeniu na przykład czterech miesięcy jest zbyt nieprecyzyjna. Natomiast liczenie czasu przy pomocy dni byłoby bardzo uciążliwe ze względu na ich niesłychanie powolny bieg. Pozostają zatem tygodnie. I tak na przykład sankcja to nie trzy miesiące, ale trzynaście tygodni.

Regularność dziennych czynności też nie pozostawała bez śladu. Na przykład fakt, że w niedzielę pobudka była godzinę później nie miał żadnego praktycznie znaczenia, bo i tak budziłem się jak zwykle o 6-ej. Wpływ regularnego trybu życia dawał się również zauważyć na przykład wtedy, gdy spóźniał się obiad. Jak już pisałem, być głodnym w areszcie jest trudno, niemniej gdy zbliżała się pora jedzenia, odczuwałem narastające ssanie w żołądku, które mijało wraz z porą posiłku, nawet jeśli go wskutek opóźnienia nie było.



Podczas przesłuchań słyszałem wielokrotnie, że teraz jestem sam, że wszystko zależy już tylko ode mnie, itd. I rzeczywiście, w areszcie jest się mimo wszystko samotnym — tym większą wagę przywiązuje się do wszelkich znaków pamięci czy też pomocy z zewnątrz. Znaczenie Prymasowskiego Komitetu Pomocy

jest istotne nie tylko ze względów materialnych. Wydaje mi się nawet — a w moim przypadku na pewno tak było — że istotniejsze jest uczucie wsparcia duchowego, pojawiające się w momencie otrzymywania paczek, o których wiadomo, że pochodzą od Św. Marcina. Natomiast to, że kolejne paczki pochodzą z tego samego źródła zrozumiałem w momencie, gdy zauważyłem, że moi dwaj współtowarzysze, choć byli mi całkowicie obcy, otrzymywali paczki o podobnej zawartości. Dopiero później informacja przemyciona w liście potwierdziła mój domysł.



Jest wiele sposobów porozumiewania się między zatrzymanymi, choć w areszcie śledczym wszystko jest podporządkowane niedopuszczeniu do jakichkolwiek kontaktów między aresztowanymi. Podstawowym sposobem jest stukanie Morsem w ścianę. Listy można przysyłać na sznurku przez okno do sąsiedniej celi (tak zwany sposób „na chabetę”) lub zostawiać w ustalonych miejscach na spacerniakach. Ponadto można prowadzić rozmowy przez okna cel. Zdarzało się to prawie codziennie, przeważnie po apelu wieczornym lub po zgaszeniu światła. Bardzo często słyszałem wtedy powtarzane z wielu cel „dobranoc”. Dawało to poczucie integracji, przynależności do pewnej społeczności, tak bardzo rozdzielonej, a mimo to istniejącej.

Wszystkie te sposoby porozumiewania się miały oczywiście wady. Morse'a stukanego w ścianę lub w kratę słyszeć może wiele osób, a rozmowy prowadzone przez okno — wszyscy, w tym oczywiście również osoby niepowołane. Przy przysyłaniu listu „na chabetę” łatwo o wpadkę, a wtedy list trafiał prosto do śledzcia. Z kolei wadą zostawiania listów na spacerniakach było to, że nigdy nie wiedziało się po jakim czasie dotrą one do adresata, i czy w ogóle dotrą. Pawilon III miał 6 spacerniaków i nigdy nie było wiadomo, na który się pójdzie w danym dniu. Ponadto ukrycie czegoś w kwadracie gołej ziemi 4,5 na 4,5 metra z chodnikiem wokół 3-metrowych murów nie było takie łatwe, tym bardziej, że często przed spacerami wybiegi były kontrolowane przez klawiszy. No, a najtrudniejsze było wcześniejsze umówienie się z adresatem przyszłych listów co do szczegółów przysyłania korespondencji tą drogą. Tu już mógł pomóc tylko szczęśliwy przypadek, ale jak miałem okazję się przekonać, takie przypadki się zdarzają, nawet w areszcie śledczym.



Jednym ze skutków odizolowania w więzieniu jest wykreśle-

nie pewnego fragmentu życia. O wszystkich wydarzeniach społecznych, ekonomicznych, politycznych zaistniałych w tym okresie dowiadywałem się z krzywego zwierciadła *Trybuny Ludu*, którą — choć dotyczyła teraźniejszości — czytałem trochę jak książkę historyczną, jak coś, co dotyczyło mnie raczej pośrednio.

Najważniejszym wydarzeniem, bezpowrotnie straconym, była oczywiście wizyta Papieża w Polsce. Pamiętałem doskonale atmosferę towarzyszącą wizycie Papieża w 1979 roku i domyślałem się, że teraz przebiegać musiała ona podobnie, lecz nic nie było w stanie przenieść tego przeżycia do więzienia. Pełne entuzjazmu i nadziei listy doszły już dawno po wyjeździe Papieża. Przez cały tydzień z okolicznych radioodbiorników słyszeć było religijne pieśni, a *Trybuna* zachowywała zdumiewającą powściągliwość, ograniczając się w zasadzie do faktów — co prawda tylko niektórych. Ale przecież nie fakty były tym, co stanowiło o wadze tego wydarzenia.

Natomiast administracja więzienia uczciła wizytę Papieża tak zwanym kipiszem, czyli bardzo szczegółową rewizją celi, oraz kilkukrotnym powiększeniem ilości pilnujących nas funkcjonariuszy. Tak że zawsze klawisz otwierający drzwi do celi był w towarzystwie trzech lub czterech dodatkowych strażników.

My natomiast, po kilkudniowych wieczornych wymianach zdań przez okna, zdecydowaliśmy się na tygodniową głodówkę. Owe rozmowy dotyczyły tylko momentu rozpoczęcia i zakończenia głodówki, gdyż propozycja tej formy poparcia walki o status więźnia politycznego pojawiła się w listach na spaceriakach ponad dwa miesiące wcześniej i została oczywiście zaakceptowana.

Pierwsze, co nastąpiło po ogłoszeniu głodówki, było poinformowanie nas przez klawisza, że jesteśmy jedynymi, którzy chcą głodować, więc nie mamy się co wygłupiać. Wobec naszej zdecydowanej postawy zostaliśmy przeniesieni do innej celi — chodziło o oddzielenie nas trzech głodujących od kolegi, który nie będąc więźniem politycznym, nie brał w głodówce udziału. Przejście do tej celi służyło, jak się okazało, tylko zrewidowaniu nas i odebraniu nam do depozytu naszej prywatnej żywności. Gdy wychodziliśmy na korytarz, zauważyłem wózek z torbami z żywnością osób, które były rewidowane przed nami. Ilość tych toreb oceniłem na około 30, a zatem poza nami głodowało co najmniej tylu więźniów, a na pewno trochę więcej, gdyż nie sądzę, byśmy byli ostatni.

W sumie głodówka nie pozostawiła mi specjalnie przykrych wspomnień. Pamiętam wyraźnie zauważalne osłabienie, począwszy od drugiego lub trzeciego dnia, wyrażające się na przykład niemożnością obliczenia wyników gry w kości, co zwykle robiłem,

oraz wrażenie ciągłego zmarznięcia. Oczywiście znowu zostałem wezwany na przesłuchanie, choć myślałem, że śledz już dawno o mnie zapomniał. Ale wtedy przesłuchania nie wzbudzały we mnie już żadnego lęku ani zainteresowania. Natomiast najtrudniejsze było powstrzymanie się od zbyt gwałtownego jedzenia po zakończeniu głodówki.

Z perspektywy czasu widać wyraźnie, że zarówno administracja więzienia, jak i organa prowadzące śledztwa, jeśli nawet nie były poinformowane o tym, że będzie amnestia, to spodziewały się tego. Przez ostatnie jakieś sześć, siedem tygodni wyraźnie dawała się zauważyć poprawa jakości jedzenia. Bielizna otrzymywana przy okazji cotygodniowych wymian była rzeczywiście czystsza niż przedtem (co nie znaczy, że była czysta), a dwa razy nawet zupełnie nowa, co przedtem było w ogóle nie do pomyslenia. Ostatnia wymiana książek zamiast tradycyjnego tygodnia trwała tylko dwa dni. Uzyskałem później informację, że wszystko to skończyło się — czyli wróciło do normy — gdy tylko ostatni amnestionowany opuścił więzienie mokotowskie.

Natomiast fakt, że — o ile wiem — śledztwa w tym czasie były przeprowadzane w zasadzie zgodnie z prawem był nie tyle skutkiem spodziewanej amnestii, co tragedii Grzegorza Przemyska.

Gdy wiedziałem już, że amnestia mnie obejmie, zgodnie z nastawianiem się na najgorszą ewentualność, sądziłem, że jeszcze posiedzę miesiąc, ponieważ taki ostateczny termin zwolnień widniał w ustawie. Tym przyjemniejsze było zaskoczenie, gdy wyszedłem już po kilku dniach.

Administracja więzienia, zgodnie ze swoimi biurokratycznymi obyczajami, pożegnała mnie żądaniem pokwitowania faktu, jakoby regularnie podczas pobytu w więzieniu otrzymywał mydło do prania — którego nawet nie oglądałem.

Tuż przed przekroczeniem bramy dzielącej nas jeszcze od wolności, jeden z kolegów powiedział: „No cóż, chodźmy na ten większy spaceriak”.

Jan KULCZYCKI

Pies ślepcy

Był to pies przewodnik. Prowadził ślepego. Ślepy był barczystym mężczyzną o ordynarnym głosie. Nosił pilśniowy kapelusz, martwe oczy osłaniał przydymionymi okularami i twarz okoloną miał czarną, połyskliwą brodą. Grywał na harmonii w ruchliwych miejscach miasta. Najchętniej pod domem handlowym i w pobliżu dworca. Siedział na kamiennym murku przed rozkładem jazdy pociągów, wystawiał metalową puszkę i wygrywał na harmonii smętne, staroświeckie melodie. Pies układał się obok i drzemał. Drzemkę przerywały mu natrętne muchy. Kłapał wtedy szczękami. Pysk miał posiwiwały, rzadką sierść na grzbiecie i zapadłe boki.

Psy przewodniki rekrutują się przeważnie z rasy owczarków nizinnych. Ten także był owczarkiem i służbę swą traktował sumiennie. Choć drzemał zazwyczaj, jednak nigdy nie tracił czujności i ilekroć jakiś złodziejasek próbował wybrać z puszek drobniaki, pies zrywał się i warcząc groźnie przeganiał niegodziwca.

Wieczorem jego ślepy pan przenościł się pod luksusowy hotel dla cudzoziemców. Zgarniał pieniądze do kieszeni i gwizdał. Pies zrywał się natychmiast i ślepiec chwycił go za rzemienny pałąk przytwierdzony do grzbietu. Pies ruszał przodem, a jego pan za nim. Znał szlaki wędrówek żebraka i pewnie torował sobie drogę wśród tłumu przechodniów śpieszących do dworca. Zatrzymywał się przed światłami i ostrożnie wiódł swego pana przez przejścia pozbawione świateł. A kiedy zdarzało się, że znaleźli się na jezdni osaczeni przez sunące w dwie strony auta, pies zatrzymywał się jak wryty. Raz nawet uratował swemu panu życie. Zza zakrętu wynurzyła się z nadmierną szybkością wywrotka załadowana żwirem. Byli akurat naprzeciw niej i pies

silnym szarpnięciem rzemiennego uchwytu pociągnął człowieka za sobą. Wywrotka potoczyła się tuż, potrącając harmonię przewieszoną przez ramię żebraka. Z suchym grzechotem posypał się na asfalt żwir. Ślepiec nie zorientował się w niebezpieczeństwie. Stał na szeroko rozstawionych nogach, barczysty, w przydymionych okularach i kłął tubalnym głosem. Zdzielił psa białą laską po grzbiecie. Dopiero widzowie tego dramatycznego zdarzenia wyjaśnili mu przyczynę zachowania psa.

— Panie... — powtarzali. — Co za wspaniały pies!

Żebrak zamruczał coś niezrozumiale i ruszył dalej. Wilczur sunął przed nim z powagą. Trucht swój zestarzał dokładnie z krokiem ociemniałego. Docierali do hotelu i tu przebywali do późnej nocy. Cudzoziemcy wchodzili i wychodzili frontowym wejściem ozdobionym marmurowymi kolumnami i nieraz do puszek ślepego wrzucali obcą walutę, przeważnie w monetach, choć zdarzały się również banknoty. Ociemniały żebrak zamawiał u portiera butelkę wódki. Pić zaczynał na miejscu. Wreszcie niepewną ręką chwycił rzemienny pas w pałąk przytwierdzony do grzbietu psa. Rozkołysanym krokiem ruszał w powrotną drogę. Potykał się i złorzeczył. Potrącał ludzi, którzy rozstępowali się przed nim w milczeniu. Złość swą skupiał na psie. Kopniakami zmuszał go do przyspieszania lub zwalniania, boleśnie kłął laską pod ogon. Pies humory swego pana znosił cierpliwie i tylko niżej opuszczał łeb ze stulonymi uszami. Brnęli ciemnym, opustoszałym miastem. Pies przewodnik i jego pan. Dochodzili do przystanku i oczekiwali na tramwaj. Pies wprowadzał swego pana przednim wejściem do wagonu, a ludzie ustępowali mu miejsca. Pies kładł się pod ławę. Jechali do pętli na krańcu miasta. Ślepiec mieszkał na dalekim przedmieściu. Była tu niegdyś cegielnia. Pozostał po niej jedynie komin i zarośnięte trzciną gliniarki. Ślepiec miał tutaj swój dom. Piętro wy, z prefabrykatów. Piętro jeszcze nie zostało wykończony. W domu tym mieszkała oprócz niego młoda kobieta, która ubierała się z przesadną elegancją. Była jego kochanką i ślepiec często kłócił się z nią po powrocie. Posądzzał ją o niewierność. Szukał obcego mężczyzny.

Niekiedy, rozjuszony do ostateczności, rzucał się na nią zniechęca i jeżeli w porę nie odskoczyła, chwycił ją za włosy i bił pięścią, gdzie popadło. Pies krył się pod łóżko. Długo w noc rozlegały się przekleństwa, płacz kobiety i ciężkie, niezgrabne przetaczanie się ociemniałego mężczyzny. Aż wreszcie zmęczony ślepiec zwał się na łóżko i zasypiał.

Trwało to latami. Młoda kobieta opuściła ślepcę. Pojawiła się następna. Chuda i brzydka. Czasem ona zabierała ślepcę z jego żebraczych posterunków. Przeważnie jednak po dawnemu

zajmował się tym pies przewodnik. Ostrożnym truchtem, z nastrozonymi czujnie uszami, wędrował wraz z człowiekiem w chaosie ludzi i samochodów. Ślepiec nie dbał o swego psa. Często zapominał o nakarmieniu go i nieraz, gdy przerywał muzykowanie, żeby posilić się samemu, pies skomlał cicho przypominając o swojej obecności. Ślepiec nie zwracał na niego uwagi. Wtedy pies trącał wilgotnym nosem jego dłoń.

— *Paszot won!* — odpędzał go ślepiec.

Pies był już stary i niedołąźniał w sposób widoczny. Poruszał się coraz wolniej. A od pewnego czasu postępował niedowład jego tylnych kończyn. Właściwie w pełni sprawne pozostały jedynie przednie łapy. Mozolnie włókł za sobą zad. Przykry był to widok, kiedy zniechęcał się pies prowadził swego ociemniałego pana.

Ten wieczór nastąpił po zwykłym dniu ślepcy. Z rana siedział na murku przed halą dworca i grał na harmonii. Potem przeniósł się pod hotel dla cudzoziemców. Pies prowadził go cierpliwie. Nadal był uważny i wyczekiwał na zmiany światła przy przechodzeniu jezdni. Roztropnie kluczył pełnymi przeszkód ulicami miasta. Niekiedy przechodnie odwracali się za nimi. Kuśtykający pies i ślepiec. Obraz nieszczęścia. Pod hotelem ślepiec uraczył się obficie wódką, chwytynymi palcami przeliczył żebraczy utarg w metalowej puszcze, przesypał monety do przepaścistej kieszeni kurtki i złożył harmonię. Instrument wydał ostatni, płaczliwy dźwięk. Pies na ten znajomy sygnał był gotów i ruszył w drogę powrotną. Jechali jak zwykle tramwajem do pętli i stamtąd podążyli krętymi uliczkami wśród parterowych domków w stronę opuszczonej cegielni. Pijany ślepiec wyrwał do przodu, pies natomiast wyraźnie ustawał. Ślepiec kopał psa w bezwładny, wlokący się po ziemi zad.

— Bładź! — powtarzał uporczywie.

Mysłał zapewne o tej chudej i brzydkiej kobiecie, która czekała w domu na przedmieściu. Też jej nie wierzył. Też ją posądzał o rozliczne zdrady. Pies przewodnik dyszał i rzeził. Daremnie próbował wesprzeć swój korpus na tylnych łapach, które gięły się zaraz jak łądygi i osuwały. Dotarli już na to brzydkie, ciemne pustkowie. Czerniał komin cegielni, widoczny doskonale w księżycową dziś noc. Od wiaduktu kręta droga między gliniankami prowadziła do domu ślepcy. Tu pies utknął. Nie mógł już. Zwalił się na ziemię. Dyszał jak człowiek. Jego ociemniały pan brutalnie szarpnął rzemienny pałak umocowany na grzbiecie zwierzęcia. Pies nie wstał jednak.

Wtedy ślepcy ogarnęła furia. Zamachnęła się laską. Uderzył psa w grzbiet. Raz, drugi i trzeci. Pies zaskomlał cicho. Ślepiec

obracał laską. Kopał psa w zapadłe boki, które poruszały się jak miechy harmonii. Pies skowyczał coraz bardziej żałośnie. Aż zaciął w pewnej chwili. Sierść na grzbiecie zjeżyła mu się jak grzebień i dźwignął z ziemi swój kościsty korpus. Stał, chwiejąc się na niepewnych łapach. Jednocześnie zawarczał. Był to warkot z głębi piersi, bulgotliwy, wilczy jakiś. Ślepiec opuścił laskę. Zastłuchał się, jakby nie wiedząc, skąd płynie ten dźwięk. Pies cofnął się gwałtownie i rzemienny uchwyt wysunął się z dłoni żebraka. Ślepiec odstał krok w jego stronę i wyciągnął rękę. Szukał rzemienia. Warkot psa stał się bardziej groźny, zgoła ostrzegawczy. Ślepiec zatrzymał się. Cofnął dłoń. Wyciągnął z kieszeni zawiniątko z jedzeniem.

— Na, na! — powtórzył kilkakrotnie łagodnym głosem.

Wabił psa. Czuł jego bliskość. Nawet ciężki, starczy oddech. Ale pies pokiwał niezdarnie w przeciwną stronę.

Ociemniały żebrak pozostał samotny na ścieżynce między gliniankami. Słyszał szelest trzciny. Kumkanie żab. Nie słyszał już psa. Długo tak stał. Jeszcze zatoczył wokół siebie ostatni krąg wyciągniętą laską i zawołał ochryplym głosem. Jednak bezskutecznie. Psa już dawno nie było.

Może zwyczajem starych zwierząt dotarł gdzieś na ustronie i tam zdechnie.

A żebrak? Rankiem znaleźli go rybacy w gliniance. Przy trzcinach pływał jego kapelusz. A nieco dalej w niegłębokiej wodzie spoczywało ciało ociemniałego. Pod nim, jak kamień, który pociągnął go do dna, tkwiła w mule przewieszona przez ramię harmonia. Wyciągnęli go bosakiem. W zaciśniętej dłoni trzymał białą laskę.

Marek NOWAKOWSKI

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ • PRZEKŁADY Z JEZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI

Katalogi bezpłatnie wysyłamy na każde żądanie

Wróżba

Aleksander Bytomski, starszy kelner restauracji „Extra Lux”, przewrócił się podając dewolaja gościom na pięterku i wyłożył dewolaja na parkiet.

Świadkiem, między innymi, był uczeń Państwowego Technikum Gastronomicznego, Wawrzoniewicz. Zaledwie godzinę temu Bytomski kopnął go boleśnie i znieważył słownie w przejściu od kuchni do sal jadalnych.

— No tak — powiedział Bytomski jakby do siebie. Następnie podniósł się z podłogi i dodał:

— Ja nienaumyslnie, panie pułkowniku.

Pułkownik Żniwo, Szef Departamentu, spojrział na niego jakby w zadumie. Zaprosił był Mariolkę, uczestniczkę Zespołu Baletowego „Orzeł Biały”, na kolację w celach przedkoplacyjnych. Więc mimo osobistego zmęczenia i trudnej sytuacji w kraju uznał, że powinien wykazać przed nią swoją potencjalność.

— Wasze nazwisko? — zapytał Bytomskiego.

— Ja zaraz sprzątnę! — krzyknął Bytomski i padłszy na kolana już miał gołymi rękami zgarnąć kurę w masełku, gdy...

— Nie — sprzeciwiła się Mariolka, która już była napita. — Niech pan zostawi.

— A? — zwrócił się ku niej Żniwo z takim właśnie zapytaniem.

Lecz ona, zamiast odpowiedzi, pochyliła się chwiejnie nad ptakiem i przyglądała mu się z mozolnie napinaną uwagą. Bytomski klęczał przed Żniwem oczekując od niego dalszych decyzji.

— Widzę zwycięstwo socjalizmu na całym świecie — oświadczyła Mariolka. Żniwo oddalił Bytomskiego lekkim skinieniem. — Widzę, jak nasz obóz pokoju i socjalizmu zatyka sztandary na gruzach imperializmu i kapitalizmu.

— Gdzie pani to widzi? — zapytał Żniwo rzeczowo.

— Tu — Mariolka wskazała na kurę. — Umiem wróżyć z ptaków. O! I jeszcze coś widzę!

— Może już wystarczy? — zaoponował Żniwo łagodnie. — W zasadzie zobaczyła pani wszystko.

— Widzę męczyznę na czymś białym... jakby na koniu. O! Właśnie wjeżdża przez bramę, ja go skądś znam...

— Skąd? — zapytał pułkownik odruchowo.

— Zaraz, zaraz, gdzie to jest, takie piękne miasto, duży kraj... Acha! Już widzę, to jest Paryż, on jest we Francji.

— Ale kto?

— Pan. Tak, teraz poznaję. Będzie pan mianowany gubernatorem Paryża.

— Coś w tym jest — zgodził się Żniwo. — Są perspektywy. Choć ja nie wierzę we wróżby.

Niemniej skinieniem ręki zezwolił, aby Bytomski powróciwszy z odległości uprzątnął dewolaja definitywnie. Już go nie pytał o nazwisko.

Jeszcze tego samego wieczoru Bytomski skopał Wawrzoniewicza na zapleczu.

Wawrzoniewicz powrócił do domu i nie położył się spać, ale zaczął studiowanie dzieł szlachetnie urodzonego Bakunina, księcia pana Kropotkina i jaśnie wielmożnego Saint-Justa.

Stawomir MROŻEK

POLAND WATCH

KWARTALNIK POŚWIĘCONY POGWAŁCENIOM
PRAW CZŁOWIEKA I POLITYCZNEJ OPOZYCJI
W POLSCE

Sprawozdania • Analizy • Materiały Źródłowe •
Wywiady

„Nikt zainteresowany napięciami wewnętrznymi i przyszłością Bloku Sowieckiego nie może sobie pozwolić na pominięcie POLAND WATCH”

— Zbigniew Brzeziński

Prenumeraty indywidualne: Kanada i USA — \$ 25;
inne kraje .. — \$ 35.

Adres Redakcji:

Poland Watch Center
1901 18th Street, N.W., Washington D.C. 20009,
USA

Za czerwonym murem

Nie poszedł prosto do bramy fabrycznej, tylko skręcił w pierwszą przecnicę i po kilkuset krokach znalazł się nad Dunajem. Było jeszcze pół godziny do rozpoczęcia rannej zmiany, postanowił więc wykorzystać ten czas na przechadzkę, bo wiosenne słońce pięknie świeciło. Dobrze mu to robi, bo głowa go rozboleła.

Za rzeką, po stronie Pesztu, ciągnął się długi szereg szarych budynków, chyba magazynów, a trochę dalej stado mew ślizgowym lotem przefruwało pod mostem. Dość silny zachodni wiatr marszczył powierzchnię wody, a z nabrzeża unosił pył i śmiecie. Chwilami wzbijał tumany żółtego piasku, który zaciemniał słońce. Nad samym brzegiem wody walały się śmiecie i odpadki. Bezpański wychudzony pies o długiej sierści zaniepokoił się na widok nadchodzącego człowieka, ale nie przestał obwąchiwać wyschniętych ludzkich odchodów.

Wysoki mur z czerwonej cegły, który otaczał całą fabrykę, chronił nieco od wiatru. Pod nim było co prawda jeszcze więcej śmieci, ale idącego omijały przynajmniej obłoki kurzu, kiedy silniejszy podmuch zahaczył o ziemię. Towarzysz Bodi zatrzymał się, oparł plecy o mur i wystawił chudą, nie ogoloną twarz ku słońcu. Już ruszał dalej, kiedy nagle tuż pod stopami spostrzegł zawiany piaskiem spory kawał nowego pasa transmisyjnego. Było tego ze trzydzieści albo czterdzieści centymetrów. Podniósł go, obejrzał i trzymając w ręku poszedł dalej.

Ledwie zrobił kilka kroków, kiedy tuż przed nosem przefrunął mu drugi taki sam kawał skóry, niemal zawadził o jego czapkę i upadł pod nogi. Zaraz potem spadł drugi i trzeci. Bodi postą chwilę, popatrzył na leżące kawałki skóry i poszedł dalej.

W tym miejscu po tamtej stronie muru znajdował się jeden z fabrycznych magazynów.

W szatni przebrał się w stary, poplamiony smarami kombinizon, żeby w fabryce nie niszczyć ubrania.

— A co to jest? — zapytał jakiś ślusarz, który rozbierał się obok.

— Co takiego?

Tamten zdejmował właśnie buty. Z dziurawej skarpetki sterczał duży, ciemny paluch. Robotnik delikatnie ściągnął skarpetkę i trzymając ją w dwóch palcach kręcił w prawo i w lewo.

— No, co to jest?

Bodi odsunął nieco twarz.

— Mnie pytacie?

— No, co to takiego? — powtórzył ślusarz huśtając skarpetką przed nosem Bodiego. Ten znów się o krok odsunął.

— Zabierajcie to! — powiedział spokojnie.

— Nie wiecie, co to jest? — nalegał ślusarz. — Oto skarpetka, jaką nosi człowiek pracy!

Z hali fabrycznej zaczęli wychodzić robotnicy po nocnej zmianie. Jedni się z Bodim witali, inni nie. Niektórzy od dwudziestu lat razem z nim pracowali w fabryce, ale mu nawet nie mówili dzień dobry. Przeciął na skos podwórze przedzierając się pod wiatr, który tutaj był aż gesty od unoszonych śmieci. Wszedł do biura, które mieściło się w drugim końcu zabudowań. Urzędnicy dopiero zaczynali się schodzić.

Za jednym biurkiem siedział tęgi mężczyzna o schorowanym wyglądzie, worki luźnej żółtej skóry zwisały mu pod oczami. Pomarszczona skóra na szyi zdawała się nie związana z ciałem.

— Dzień dobry — powiedział Bodi.

Mężczyzna skinął głową.

— Czy znowu się coś stało? — zapytał.

— Wymyślili coś nowego: kradną pasy transmisyjne — odpowiedział.

Mężczyzna przy biurku milczał.

— Na własne oczy widziałem.

— Gdzie?

— Z czwartego magazynu — mówił Bodi — wyrzucają kawałki skóry za mur. Szedłem właśnie z tamtej strony.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

— Potrzebują skóry na podeszwy — powiedział urzędnik krzywiąc się.

Przez pokój przeszedł wysoki przygarbiony mężczyzna, szpakowaty, w binoklach na nosie. Przywitał obecnych takim pokornym głosem i z taką miną, jakby się z tyłu spodziewał kopniaka, i zaraz zniknął za następnymi drzwiami. Jeszcze dwie osoby prze-

szy niemal jednocześnie przez pokój: rumiana pulchna dziewczyna, która przypominała świeżutką, tylko co zerwaną w ogródku peonię, i jakiś mężczyzna. Bodi odczekał, aż zamkną się znowu drzwi, potem oparł się obiema rękami o biurko. Teraz, nim się rozpoczęła praca, krótko obcięte paznokcie i dłonie były tak czyste, że aż prawie niebieskie.

— To się musi skończyć — powiedział. — Tego nie można tolerować. Muszą to sami zrozumieć: sami siebie okradają, chleb od ust sobie odejmują, niech to szlag trafi! Nie można na to dłużej pozwalać!

— Zajmę się tym — powiedział zmęczonym głosem otyły urzędnik wpatrzony w drzwi, za którymi zniknęła dziewczyna o rumianej buzi.

Wracając przez podwórze miał wiatr w plecy. Silniejszy podmuch pchnął pustą beczkę po ropie, która potoczyła się sama prosto na budynek pomp. Wiatr był rześki, czuło się w nim wiosnę. Szyby w oknach warsztatowych dzwoniły, przysłuszając nawet huk młotów.

W warsztacie już na niego czekano, w kantorku oddzielnym od hali fabrycznej oszkloną ścianą. Mimo zamknięcia, wciskało się tam przez szpary tyle brudu i pyłu żelaznego, że do wieczora twarz miał zupełnie uczernioną, a we włosach zgrzytały metalowe opiłki. W kantorze było pełno, robotnicy stali i na coś czekali, albo tylko na chwilę wybiegali. Majster przy oknie coś czytał. Na niego czekał oparty o ścianę robotnik, który nie podniósł głowy, dopóki Bodi nie usiadł.

— Dzień dobry, Feri — powiedział Bodi. — O co chodzi? Robotnik podszedł.

— Czy wiesz o tym? — zapytał.

Bodi popatrzył na kartkę, którą tamten drżącą ręką podsunął mu pod sam nos, skakała to w prawo, to w lewo.

— Jasne, że wiesz, musisz wiedzieć — mówił robotnik. — To twoja robota. Co to jest?

Towarzysz Bodi patrzył na drgający papier.

— Nie denerwuj się, Feri.

Kartka papieru wciąż drgała.

— Co wy sobie właściwie myślicie? — mówił dalej robotnik tak cicho, że brzęczenie szyb niemal zupełnie zagłuszało jego słowa. — Przy takiej normie chyba tylko na wodę zarobie! Półtorej minuty sztuka! Co wy sobie myślicie?

— Nie denerwuj się, Feri! — powtórzył Bodi.

Robotnik odłożył kartkę na stół.

— Skąd wzięliście tę cyfrę? — powtórzył równie cicho jak poprzednio. — Pokaż, jak to wyliczyliście. Jeżeli wyjaśnisz, nie

powiem ani słowa, pójdę z powrotem do maszyny. Tylko powiedz, jak doszliście do tej cyfry.

— Rano nie będzie się czekać na materiał — powiedział Bodi — w ten sposób od razu zyskasz pół godziny.

— Ach tak — powiedział kpiąco robotnik. — I co jeszcze? Bodi nie patrzył na niego.

— Przecież wiesz, że tak musi być, Feri. — Powiedział. — Zjadamy własną przyszłość przez to, że tak drogo produkujemy. Koszty własne są takie wysokie, że...

— Czyżby? — spytał robotnik.

Bodi spojrzął z boku, czy to nie są kpiny.

— Mówię całkiem poważnie, nie kpij.

— Ja? — zapytał robotnik.

Zapadła cisza. Towarzysz Bodi spojrzął na otwierające się drzwi, znowu ktoś szedł do niego. Złożył kartkę.

— Oblicz, ile przynoszę do domu — powiedział robotnik.

— Nie oddawaj mi zlecenia, tylko oblicz! Odejmiij potrącenia i zobacz, ile zostaje dla żony i trójki dzieciaków. No, oblicz sobie!

— Zabierz się do roboty, Feri! — powiedział Bodi. — Nadrobisz to w ciągu miesiąca.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, znad biurka spojrzął na tamtego. Po raz pierwszy od początku rozmowy robotnik spojrzął mu prosto w oczy. Bodi odwrócił głowę. Robotnik bez słowa zrobił w tył zwrot i wyszedł.

— Ten to was teraz będzie uwielbiał — powiedziała maszynistka.

Nieco później przechodził przez halę, bo dyrektor go do siebie wezwał telefonicznie i zauważył, że obrabiarka Feriego stoi. Wiatr wyrwał mu z ręki drzwi wyjściowe i zerwał z głowy czapkę, która się potoczyła w stronę wielkiej kałuży zaoliwionej wody, pozostałości po zeszlotygodniowych deszczach. Dwaj młodzi robotnicy z ironicznym uśmiechem patrzyli na fikającą czapkę. Trzeci, który szedł w tę stronę, mógł ją z łatwością złapać albo nastąpić na nią nogą, ale na widok biegnącego za nią Bodięgo zapatrzył się w bok udając, że nie widzi. Dwaj młodzi roześmieli się w głos. Czapka wpadła do wody, Bodi podniósł ją i otrząsnął. Poszedł dalej, ale czuł na plecach spojrzenia robotników.

Wracając od dyrektora obszedł budynek biurowy. Było tam za warsztatem ślusarskim i ceglany murem wąskie przejście, którym nikt nigdy nie chodził. Oparł się plecami o mur i wolno osunął się na ziemię. Głowa go znowu bolała. Świat dokoła zaszedł mgłą, oczy niemal wyskoczyły z orbit, łyż z bólu ciekły po twarzy i czoło pokryło się kroplistym potem.

Takie ataki bólu nawiedzały go przeważnie wieczorem, między ósmą a dziesiątą. Bóle głowy zdarzały się także w ciągu dnia, ale nie tak gwałtowne. Od dwóch lat mało wychodził z domu, nigdzie się nie ruszał ani po południu, ani później, chyba że go wzywano do organizacji partyjnej. Całą niedzielę z reguły spędzał w łóżku, wtedy ból chwycił go na dobre. Przez cały dzień łykał aspirynę i różne proszki przeciwbólowe, apteczne i według recepty. Pewną ulgę przynosiło mu leżenie na wznak z głową zwieszoną poza łóżko.

Tędy nikt nie chodzi, mogę spokojnie z kwadrans poleżeć — myślał. Przywarł do muru, żeby mieć jaką taką ochronę przed podmuchami wiatru wciskającymi się w wąskie przejście i niosącymi tumany pyłu. Pod kark wsunął pół cegły i zwiesił głowę do tyłu. Po niebie pędziły długie jak łodzie chmury, tak szybko, że od patrzenia kręciło się w głowie. Zamknął oczy. Wiatr gwizdał mu koło ucha. Czy pójść znowu do lekarza? — myślał. Po co? Przez dwa lata chodził do kliniki. Najpierw podejrzewano guz na mózgu: badania dna oka, prześwietlenia, encephalografia. Stamtąd skierowano go na wydział neurologiczny, potem na wewnętrzny. Przed pół rokiem zrobiono mu punkcję kręgosłupa. „Proszę zdjąć koszulę! Tylko spokojnie... Będę wbijał igłę w kark, nie wolno drgać, bo to może spowodować śmiertelne uszkodzenie. To boli tylko chwilę, niech się pan nie boi! Tylko spokojnie! Teraz!” Ból nie był zbyt silny, ale przy wbijaniu w kark długiej, grubej igły ogarnęło go uczucie, którego do końca życia nie zapomni. To było gorsze niż wszystkie bóle, jakich poprzednio doznawał.

— O co chodziło staremu? — zapytał w kantorku kierownik działu, podsuwając okulary na czoło.

Towarzysz Bodi wzruszył ramionami.

— Koszty własne?

— Jak zwykle.

— A poza tym?

— Kradzieże.

— Czy i to do nas należy?

— Do mnie tak — odpowiedział Bodi. — Jestem członkiem komisji dyscyplinarnej.

— Dobrze ci tak.

— Dowiedziałem się — opowiadał Bodi — że nie jestem dość energiczny. Że jestem offerma. Brak czujności. Brak zapału. Stary ma rację.

— Co takiego?

— Tak — powiedział Bodi. — Może i ma rację...

— Czemu przyzywasz oczy? — spytał majster. — Chory jesteś?

— Nic mi nie jest. Absolutnie nic.

Majster podszedł bliżej.

— Twarz ci zzieleniała. Wyglądasz jak trup — mruknął.

Bodi roześmiał się.

— Naprawdę nic mi nie jest — powiedział cicho. — Wczoraj odbyła się rozprawa Olajosa.

— To kretyn — powiedział majster. — Został skazany?

— Na sześć miesięcy.

Na typowej węgierskiej twarzy majstra z czarnym wąsikiem odmalował się gniew. Wlepił spojrzenie w Bodięgo.

— Masz się czym pochwalić, to przecież twoja zasługa — powiedział po chwili. — Sześć miesięcy! Ogłoś to w gazetce ściennej. Kara boska z tym wszystkim. Sześć miesięcy za parę metrów miedzianego drutu. Ile tego faktycznie było?

— Cztery czy pięć metrów — wyjaśnił Bodi.

— To dureń — powiedział majster. — Głupi bydlak. Dać się wsadzić na sześć miesięcy za pięć metrów drutu. Czy wyrok już jest prawomocny?

— Tak.

Majster wyjrzał przez okno. Przez podwórce dwóch ludzi pchało taczki załadowane brzęczącym złomem.

— Zwariowali — mruknął. — Głupi idiota! Na co był potrzebny ten drut?

— Dla żony, do wieszania bielizny. Miedź nie rdzewieje, nie robi plam.

Następnego dnia o świcie schwytano jednego ze złodziei, którzy kradli pasy transmisyjne. Był to czterdziestoletni tokarz, który miał współnika w magazynie. Odrzynał skórę i po kawałku wynosił pod kurtką z magazynu. Organizacja partyjna zwołała całą załogę na masówkę do hali obróbki mechanicznej. Zjawił się dyrektor i sekretarz organizacji partyjnej. Zeszło się około czterystu ludzi, stali i czekali.

Obu złodziejom kazano wejść na wielki stół warsztatowy pośrodku hali. Tokarz stał ze zwieszonymi ramionami, blady jak ściana, wpatrzony w grubą blachę, którą był obity stół. Stary robotnik z magazynu wodził spłoszonym wzrokiem po tłumie. Chwilami uśmiechał się. Jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje. Łysą głowę okrywał mu kanarkowego koloru beret, który machinalnie przesuwał z czoła na tył głowy i z powrotem. Musiał być zmęczony całonocną pracą, bo co chwila przestępował z nogi na nogę, przy czym słał na wszystkie strony błagalne spojrzenia otoczonych zmarszczkami oczu. Tuż nad jego głową głośnik wygrywał wesołe marsze.

Towarzysz Bodi przemawiał krótko, zaledwie kilka minut.

Ludzie słuchali ponuro, bez ruchu. Mówił wolno, a w przerwach między zdaniem, gdy robiło się zupełnie cicho, nawet w najdalszym kącie ludzie słyszeli zgrzytanie podkutych butów starego robotnika magazynowego na blaszonym stole. Z dalszych warsztatów ludzie schodzili się już podczas przemówienia, wokół stołu robiło się coraz tłoczniej. Żelazny pojemnik dźwigu-suwicy, zawieszony pod stropem na szynie, zwisał tuż nad stołem — siedziało w nim z pięciu czy sześciu ludzi, bezpośrednio nad głowami sądzonych złodziei. Tokarz nie ruszał się, pot ciurkiem mu spływał po bladej twarzy; stary robotnik bez przerwy przestępował z nogi na nogę i bezmyślnie się uśmiechał.

Tuż przed końcem zebrania z łysej głowy starego zsunął się kanarkowy beret i spadł na ziemię. Ktoś go podniósł i podał mu z powrotem, stary zaś, zmieszany, szybko go zmiął i wcisnął do kieszeni. Potem zapomniał wyjąć rękę. Wyglądał teraz, jakby sobie stał trochę lekceważąco, z ręką w kieszeni i uśmiechem na ustach, słuchając przemówienia towarzysza Bodiego. Ale stojący najbliżej stołu spostrzegli, że ze strachu zmoczył spodnie.

Nim skończyła się druga zmiana, po fabryce rozeszła się wiadomość, że tokarz popełnił samobójstwo: powiesił się w ustępie, na pętli z miedzianego drutu: wszedł na sedes, wsadził głowę w pętlę i zeskoczył. Kiedy go znaleziono, był już zimny.

— Coś ty o nim mówił na tym zebraniu? — zapytała żona, gdy Bodi wrócił do domu.

Towarzysz Bodi leżał na tapczanie z głową zwieszoną niżej. Jak co wieczór męczyły go kurczowe bóle głowy, poza tym był zupełnie spokojny. W dużym ciemnym pokoju paliła się tylko na nocnym stoliku mała lampka z czerwonym abażurem.

— A cóż miałem powiedzieć?

Chuda blada niewiasta krzątała się po pokoju. Teraz stanęła i załamała ręce.

— Boże mój, Boże! Kara Boska na nas spadnie! — lamentowała. — Ludzie na pewno powiedzą, że to przez ciebie. Coś ty o nim powiedział?

— Powiedziałem to, co do mnie należało.

— Ale co?

— To, co było trzeba.

Blada kobiecina załamywała ręce, a z oczu łzy płynęły ciurkiem.

— Nie kręć się tak! — powiedział Bodi.

— Co mówisz?

— Po co tak biegasz? Usiądź wreszcie! Aż mi się w głowie kręci.

Kobieta przysiadła na tapczanie i chłodną kościstą dłonią dotknęła jego czoła.

— Powiedz, coś o nim mówił.

— To, co było trzeba.

— Pan Bóg nas skarże — powiedziała kobieta. — Dlaczego właśnie ty musiałeś przemawiać?

— Bo dyrektor mnie wyznaczył — powiedział Bodi.

— Dlaczego właśnie ciebie?

Bodi milczał.

— Pan Bóg na pewno nas ukarze — jęczała. — Czemu właśnie ciebie wyznaczył?

— Bo ktoś musiał to powiedzieć.

— Ale dlaczego ty? — nalegała. — Pan Bóg nas skarże. Dlaczego ty?

Mężczyzna zsunął się jeszcze bardziej, głową niemal dotykał podłogi w miejscu, gdzie padał czerwony odblask od abażura.

— Jestem członkiem komisji dyscyplinarnej — mówiąc patrzył z dołu na spłakaną twarz żony. — Dlatego musiałem przemawiać. Nie mogłem odmówić.

— Coś powiedział?

— Nie kręć się! W głowie mi kołuje. Siądź z powrotem na tapczanie albo weź sobie krzesło.

Kobieta znowu przysiadła na tapczanie, w nogach męża.

— Pan Bóg nas ukarze — powiedziała. — To nie jest robota dla ciebie. Ty jesteś dobry człowiek, zdręczysz się. Ale co mówiłeś?

— Staralem się go oszczędzić — powiedział Bodi patrząc z dołu na twarz żony. — Powiedziałem o nim wszystko, co mogłem powiedzieć dobrego.

— Ale co?

— Że z niego jest dobry wykwalifikowany robotnik.

— Pan Bóg musi nas ukarać. Co jeszcze mówiłeś?

— Że już jedenaście lat pracuje w naszej fabryce. Że nigdy nie opuścił ani jednego dnia pracy. Że się nie spóźnia. Że przykłada się do każdego zobowiązania.

— Pan Bóg nas skarże — powtórzyła. — Co dalej?

Mężczyzna pięściami ścisnął skronie.

— Powiedziałem, że od czterdziestego piątego roku należy do partii, że jest dobrym komunistą. Że zawsze sumiennie wykonywał się ze wszystkich zadań, jakie nakładała na niego partia, dopiero w ostatnich czasach wymawiał się od pracy społecznej. Że jako komunista powinien służyć przykładem... że towarzysze muszą we wszystkim przodować...

— No tak — przytaknęła kobieta. — To jasne, żeś tak mówił!

— ...tak w produkcji, jak w dyscyplinie obywatelskiej...

— Naturalnie — powiedziała kobieta — to także musiałeś powiedzieć.

Towarzysz Bodi patrzył na nią od podłogi i widział na jej twarzy czerwony odblask lampy.

— No tak, powiedziałem to wszystko — mruknął. — A także i to, że jak komunista kradnie własność społeczną, to jego wina jest podwójna i dla takiego nie ma miejsca między uczciwymi robotnikami.

— Pan Bóg nas skarże — powtórzyła kobieta. — On kradł, bo za mało zarabiał.

Mężczyzna wolnym ruchem dźwignął głowę na tapczan.

— Każdy złodziej tym się broni.

— Popatrz na swoje własne buty — powiedziała kobieta.

— Kiedy będziesz miał na to, żeby kupić nowe?

Towarzysz Bodi patrzył nie na swoje buty, lecz na twarz żony. Biedna, w ciągu ostatnich kilku lat ogromnie się postarzała. Córka chrzestna, która przez kilka lat jej nie widziała, bo wyszła za mąż do Miskolca, podczas ostatniego pobytu w Peszcie ledwie ją poznała.

— Idź już spać! — powiedział. — Ja prześpię się tu, na tapczanie. Zgaś światło!

— Czy jeszcze ktoś zabierał głos? — zapytała żona.

— Tak.

— Ilu?

— Dwóch.

— Co mówili?

— Nic nie mówili — burknął. — Połóż się wreszcie! Zgaś lampę! Oni też byli wyznaczeni. Z robotników żaden nie zabierał głosu.

— Bo wszyscy kradną — powiedziała kobieta. — Biedaki, oj biedaki! Kiedy wreszcie biedni ludzie będą mogli żyć spokojnie?

Na trzeci dzień po samobójstwie ślusarza towarzysz Bodi powłókł się znowu za warsztat i złożył głowę na cegle. Głowa mu pękała z bólu. Porywisty wiatr podrywał z ziemi tumany śmieci i pyłu, które opadały jak welon w chwilach ciszy. Słońce to się ukazywało, to kryło za rozpędzonymi chmurami. Bodi leżał jakiś czas z zamkniętymi oczami, potem wstał, otrzepał spodnie i wrócił do warsztatu. W załomie muru natknął się na robotnika stojącego z dużą paczką pod pachą. Na widok Bodiego zaczął uciekać. Bodi spokojnie szedł swoją drogą.

Robotnik przystanął i zawrócił.

— Zrób donos! — powiedział. — Proszę bardzo, sypnij mnie, do ciężkiej cholery!

Bodi szedł dalej.

— Przecież na własne oczy widziałeś, ty śmierzdielu! — charczał tamten. — Możesz mnie wsypać! Czy myślisz, że mi na tym zależy? No to co, że zdechnę! Wydaj mnie!

— Nie wydam — odpowiedział Bodi.

— Kłamiesz, łachudro, już ja ciebie znam. Ale uciekać nie będę. No dalej, chodź, zaprowadź mnie do biura. Dowód rzeczowy mam z sobą. Łobuzy!

— Idź do diabła! — warknął Bodi.

Nazajutrz nie zjawił się w fabryce, tylko zawiadomił, że jest chory. Przez cały dzień kręcił się po mieszkaniu; naprawił kapiący kran: zmienił uszczelkę, owinął gwint pakułami, ale przedtem poszedł do warsztatu na tej samej ulicy i naciął nowy gwint. To mu zajęło czas do późnego popołudnia. Rozpuścił kleju stolarskiego i osadził rozkiwaną nogę stołu, wyczyścił także do połysku piec kuchenny. Drugiego dnia kupił białej olejnej farby i przemałował wszystkie kuchenne sprzęty. Skrzynię na śmiecie musiał jeszcze poprawić, bo za pierwszym razem zrobiły się zacieki. Cały tydzień przesiedział w domu, do końca miesiąca, dopiero pierwszego poszedł znowu do pracy.

Dzień był ciepły i słoneczny, powietrze nad rzeką stało nieruchomo jak drgająca kryształowa masa. Po drugiej stronie rzeki przycupnęły nieśmiało rzędy szarych magazynów, a kominy fabryczne wyskakiwały z horyzontu w jasne niebo. Dunaj gładki jak lustro płynął bezszelestnie. Gdyby nie przykra woń amoniaku dochodząca z fabryki i stopy śmieci na piasku, człowiek miałby ochotę leć na ziemi tuż przy wodzie.

W słońcu ceglany mur lśnił żywą czerwinią. W jakimś załamaniu, ale znacznie dalej od magazynu, towarzysz Bodi znowu znalazł kawał odciętego pasa transmisyjnego. Nie schylił się jednak, nie podniósł go, tylko poszedł dalej. Powiew wiatru znad rzeki odegnał na chwilę przykry zapach amoniaku.

— Jak się masz, Bodi, wszystko już dobrze? — przywitał go majster.

— Tak.

— Grypa?

— Chyba tak.

Majster przeglądał jakieś papiery.

— Z wiosną mnie też zawsze bierze. Najlepiej wtedy łykać Germicyd.

— Tak też robiłem.

Majster nasunął znów okulary i wstał. Idąc do drzwi poklepał Bodiego serdecznie po plecach.

— Głowa do góry, stary! I to też przeżyjemy — powiedział.

— Masz rację.

— A jak żona?

— Jakoś się trzyma.

— No to w porządku — powiedział majster i wyszedł. W otwartych drzwiach ukazała się rozchichotana młoda dziewczyna o buzi jak peonia. Towarzysz Bodi popatrzył na nią, westchnął i z powrotem siadł przy biurku.

Wieczorem żona postawiła kolację na stole i otworzyła okno. Roztaczał się przez nie widok na Dunaj i wyspę stoczni.

— Dobrze? — zapytała żona.

Towarzysz Bodi uwielbiał paprykarz z kartofli i klusek.

— Świetne — odpowiedział.

Kobieta naląła wody do szklanki i ukroiła chleba.

— Głowa cię nie boli?

— Nie.

— W dzień także cię nie bolała?

Bodi zastanowił się.

— Nie, ani razu.

Kobieta roześmiała się.

— Wiesz dlaczego się śmieję? Bo zawsze każesz sobie podawać chleb, nawet do paprykarza z kluskami. Zawsze od osiemnastu lat. Do wszystkiego: do zupy, jarzyn, klusek z makiem, makaronu, kwaszonej kapusty, nawet do strudła z makiem, z jabłkami i z serem!

Bodi patrzył na nią wyczekująco.

— Bo jak ci osiemnaście lat temu zrobiłam pierwszy obiad, to powiedziałeś: Lonci, ja strasznie lubię chleb, nawet do klusek i makaronu. Kładź mi zawsze jedną kromkę przy talerzu. Tak powiedziałeś, czy nie?

Bodi patrzył na żonę.

— Od osiemnastu lat zawsze ci kładę chleb przy talerzu — powiedziała.

Bodi kiwnął głową.

— Tak, zawsze kładziesz.

— Pewnie, że kładę zawsze chleb przy twoim talerzu — śmiała się kobieta. — Od osiemnastu lat. A ty go nigdy nie zjadasz.

Towarzysz Bodi przeniósł spojrzenie na nietkniętą kromkę przy swoim talerzu. Żona tak się śmiała, że aż zmarszczki na chudej twarzy się wygładziły, cała odmłodziła.

— Nigdy nie jesz chleba — mówiła dalej. — Siadasz do stołu, patrzysz, czy jest chleb, potem zjadasz swój paprykarz. A chleb leży nietknięty przy talerzu.

— To prawda — powiedział.

Kobieta śmiała się.

— Oj, stary już jesteś, Bodi!

— Cóż robić — zgodził się.

— Już ci chleb nie smakuje!

— Widocznie.

Kobieta spojrzała przez okno na pociemniały Dunaj.

— Zdaje się, że i wczoraj nie bolała cię głowa — powiedziała. — Prawda? Nie kładłeś się i nawet lekarstwa nie brałeś.

Mężczyzna odłożył łyżkę.

— Czy na pewno nie brałem?

— Nie. Już od czterech czy pięciu dni nie brałeś. Wiem, ile było. Chyba że kupiłeś drugie w aptece.

— Nie. Powiadasz, że już od czterech czy pięciu dni?

— Bogu dzięki! — westchnęła. — Widocznie Pan Bóg na nas łaskaw. Może i jutro nie będzie bolała?

— Może... — powtórzył Bodi. Spochmurniał nagle, wstał i spojrzał przez okno. — Może... — mruknął jeszcze raz sam do siebie.

1955

Tibor DÉRY

(Przełożyła z węgierskiego C.M.)

KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU

123, boulevard Saint-Germain, 75006 Paris

Tel. 326-04-42 — Telex 250302

Rok założenia 1833

Sprzedajemy i wysyłamy

KSIAŻKI POLSKIE

wydania zachodnie i krajowe

POLONICA FRANCUSKIE

w wielkim wyborze

KSIAŻKI ANTYKWARYCZNE I OKAZYJNE

ARTYSTYCZNE PLAKATY POLSKIE

Katalogi wysyłamy bezpłatnie

Własnymi słowami

W poniedziałek, na polskim-polskim przerabialiśmy czytanke z wypisów. Od sto pięćdziesiątej trzeciej do końca. Siedem stron. Dużo.

Nasza pani powiedziała, że w czytance jest ukryty bohater zbiorowy.

— Zobaczmy, czy go znajdziecie...

Jabłońska z pierwszej ławki pod oknem znalazła go od razu. Bohaterem zbiorowym byli robotnicy. Zapisaliśmy to w zeszytach.

Ci robotnicy z czytanki bez przerwy się o coś martwili. Najbardziej martwili się o zaległe komorne. Nie starczało im pieniędzy na spłaty i musieli wyprzedawać się ze wszystkiego, żeby w końcu nie wylądować na bruku. Pieniądzy nie starczało też robotnikom na życie. Zarabiali grosze, a w sklepach rosła drożyzna. Dzieci robotników to czasami aż płakały z głodu. Na obiad jadły samą wodziankę. Miesiącami nie widziały ani kawałek mięsa. Suchy chleb krajało się w kostkę, zalewało wrzątkiem i tyle.

Nasza pani powiedziała, że tak było w Polsce dawniej, przed wojną.

— Bieda z nędzą, głód i bezrobocie. Przed wojną w Polsce panowali kapitaliści, a kapitalistom chodziło tylko o wyzysk. Z ciężkiej pracy robotników żyli sobie jak hrabiowie. Naprawdę! Kto nie wierzy, niech zapyta po szkole tatusia.

— A dziadka można? — wyrwał się ten głupek Srokowski.

— Można — zgodziła się nasza pani. — Jeszcze lepiej.

Zapisaliśmy w zeszytach definicję. „Przed wojną” to był czas akcji. Każda akcja składa się z trzech części: wstępu, rozwinięcia i zakończenia.

W rozwinięciu akcji jeden z robotników zabrał się za partyjną robotę. Czytał zakazane książki, roznosił po domach bibułę i agitował za strajkiem, żeby wreszcie to wszystko zmienić, bo przebrała się miara i tak dłużej już być nie może. Ten robotnik to był Jan Waclawek. Inni robotnicy nazywali go: „Towarzysz Delegat”.

— Jak ktoś czegoś nie rozumie, to ręka do góry — powiedziała nasza pani, rozejrzała się po całej klasie, ale nikt nie podniósł ręki do góry, tylko Jabłońska z pierwszej ławki pod oknem poskarżyła, że Roguski zabrał Wawrzyckiej bibułę, spuścił na nią cały atrament z wiecznego pióra na tłoczek a teraz gapi się, jak atrament wsiąka.

Kiedy zaczął się strajk, do fabryki przyjechała policja na koniach. Rozpędziła wszystkich robotników. Robotnik Waclawek poszedł do więzienia. Siedział rok w wilgotnej celi. Wyszedł strasznie chory. Utykał na jedną nogę, zanosił się ostrym kaszlem i co chwila spluwał krwią do szklanego naczynia, które potem oglądał uważnie pod światło.

W zakończeniu akcji robotnik Waclawek znowu zabrał się za partyjną robotę. Znowu czytał zakazane książki, roznosił po domach bibułę i agitował za strajkiem, żeby wreszcie to wszystko zmienić, bo naprawdę przebrała się miara i tak dłużej już być nie może.

Zapisałiśmy w zeszytach punkty do charakterystyki postaci robotnika Waclawka. Była to charakterystyka zewnętrzna i wewnętrzna. Na charakterystykę wewnętrzną składały się cechy takie jak odwaga, spryt, wytrwałość i gotowość poświęcenia się dla swoich ideałów.

Nasza pani powiedziała, że w czytance wszystkie cechy ukazane są na prostych, życiowych przykładach. Wytrwałość robotnika Waclawka ukazana była na przykładzie górki w kamienicy starego Bluma. Na tej górce robotnik Waclawek mieszkał z żoną i pięciorgiem dzieci. Zimno tam było jak w psiarni, a w nocy cała podłoga aż chodziła od karaluchów.

Wyobraziłem sobie zaraz tę podłogę... Czarne rojowisko szleszczące jak celofan. Płaskie kadłubki na drgających, włochatych nóżkach... U mnie w domu karaluchy pokazywały się czasami w łazience. Wychodziły ze szpary za wanną, gdzie wpadały zaw sze małe kawałeczki mydła i zakrętki od pasty do zębów. Przypomniałem sobie, że niedawno dziadek chciał zalepić tę szparę gipsem i zacząłem myśleć, czy jak szpara będzie już zalepiona, karaluchy pokażą się jeszcze w łazience, ale nasza pani powiedziała, że czytanke przeczytamy z podziałem na role i od razu wyznaczyła mnie do roli robotnika Waclawka.

Przy czytaniu z podziałem na role nasza pani zawsze wyznaczała mnie do ważnej roli, a potem chwaliła i mówiła, że czytam najlepiej w klasie, bo nie zjadam znaków przestankowych. W roli robotnika Waclawka tylko raz, pod koniec, zjadłem myślnik, rozpędziłem się i niepotrzebnie przeczytałem za dużo: „— Zwycięzimy towarzysze, zwycięzimy — powtarzał Waclawek mocno zaciskając pięści”. Od „powtarzał Waclawek” powinien już czytać narrator, bo narrator czytał wszystko oprócz tego, co czytały postacie.

Jak skończyliśmy czytanie z podziałem na role, do dzwonka zostało pięć minut, ale nasza pani powiedziała, że nam jeszcze niczego nie zada, bo w czytance znajdują się trudne wyrazy i musimy je najpierw wyszukać.

— Kto wyszuka już swoje, to ręką do góry — przypomniała i zaczęła wpisywać coś do dziennika, a ja usłyszałem, jak z tyłu Awdjenko rozmawiał z Wawrzycką.

— Masz coś?

— Mam.

— To pokaż.

— Świątek-piątek, okryjbida, łamistrajk. A ty masz coś?

— Mam. Mogiłki.

— Mogiłki? Głupi! Nie wie, co to mogiłki. Mogiłki to wcale nie trudne.

Nasza pani trzasnęła dziennikiem w stół.

— Tylko proszę bez rozmów!

Ucichło. Awdjenko aż przykulił się w ławce.

Do domu zadane było pisemne. Streszczenie czytanki ze sto pięćdziesiątej trzeciej. Nasza pani uprzedziła, że czytanekę trzeba streszczać własnymi słowami. We środę będzie z tego pytać na stopnie.

Streszczenie wyszło mi na całą stronę. Czas akcji. Miejsce akcji. Charakterystyka postaci. Jabłońska z pierwszej ławki pod oknem napisała półtorej. We środę, na polskim-polskim od razu podniosła rękę.

— Jaaa... proszę paaani... jaaa... — wrywała się do odpowiedzi, ale pani wcale nie zwracała na nią uwagi i spytała od końca listy.

Pierwszy czytał swoje streszczenie Zbojna. Miał tylko parę zdań. Mało.

— No..., nie wysiliłeś się, Zbyszku — pani wzięła zeszyt Zbojny do ręki. — Nawet marginesy nie zrobione — przewróciła parę kartek. — O! I daty nie ma! Bardzo niestaranie prowadzisz zeszyty. Nie wstyd ci? No..., jak tak można?

Zbojna spuścił głowę. Wcale nie próbował się tłumaczyć. Stał i milczał. Dostał trzy z dwoma.

Po Zbojnie czytał swoje streszczenie Wężyk. Jabłońska nie mogła wytrzymać w ławce. Podniesioną ręką machała jak chorągiewką.

— Jaaa... jaaa... proszę paaani... — napraszała się bez przerwy. Bardzo jej zależało.

W drugim rzędzie podniosła też rękę Baniecka. Podniosła i opuściła. Znowu podniosła.

— Masz ochotę, Marysiu? — zapytała ją od razu pani i szybko kiwnęła głową na zgodę. — Proszę, proszę, czytaj!

Ojciec Banieckiej był niedawno w szkole. Zrobił naszej pani straszną awanturę. Sam słyszałem, jak krzyczał na korytarzu: „Nie życzę sobie takich uwag! Zrozumiała pani? Nie życzę sobie! Ja sam jej będę mówił, co jest słuszne!”. Nasza pani też zaczęła wtedy krzyżeć. O co się tak kłócili? Nie wiedziałem.

— Czytaj, czytaj. Śmiało!

Baniecka wolno podniosła się z ławki. Spod fartucha wystawały jej różowe podwiązki od pończoch. Baniecka była chuda i brzydka. Wyczytana przy sprawdzaniu listy, nie mówiła nigdy „jestem” ani „jest”, tylko „obecna” i od razu robiła się cała czerwona jak burak, a raz, na godzinie wychowawczej, kiedy nasza pani wpisywała sobie brakujące dane do dziennika i prosiła, żeby każdy według listy podawał jej miejsce pracy matki, to Baniecka nie chciała powiedzieć przy klasie i zaczęła płakać, a wtedy pani wyszła z nią na korytarz.

Od początku wiedziałem, że matka Banieckiej pracuje w domu i bierze pranie na krótkie terminy, bo co dwa tygodnie Babcia Stasia zanosila jej parę grubszych kawałków. Babcia Stasia mówiła nam, że Banieckich znała jeszcze przed wojną, że to zawsze byli bardzo przyzwoici ludzie, tylko teraz ten Baniecki niepotrzebnie bierze się za politykę, raz już się doigrał i musiał odejść z posady, ale jeszcze mu widać mało, wygrać z nimi nigdy nie wygra, a ta biedna kobiecina ręce sobie urabia... Zobaczycie, mówiła nam Babcia Stasia, zobaczycie, jeszcze kiedyś Banieckiego los smagnie...

Tak naprawdę nie wiedziałem, co to znaczy „los smagnie”, ale bardzo polubiłem powtarzać te słowa na głos, powtarzałem je przez zaciśnięte zęby, tak samo jak Babcia Stasia, i przypominałem sobie jedną scenę w książce z biblioteki w stołowym pokoju, scenę, w której stary hrabia smagał szpicrutą kochankę hrabiny, smagał go po twarzy grubszym końcem, szpicruta świszczała w powietrzu, a na twarzy kochanka hrabiny nabrzmiewały grube pręgi.

Któregoś dnia Babcia Stasia wzięła mnie ze sobą do Banieckich. Poszliśmy na Szwedzką, do drewnianych baraków za fabry-

ką Schichta. W tej fabryce wyrabiano mydło. Już z daleka śmierdziało w powietrzu łojem. Rynsztokiem, między kocimi łbami spływały jakieś męty. Za wysokim murem z brunatnej cegły sterczał fabryczny komin. W baraku na rogu Szwedzkiej strome schody nie miały poręczy i paru stopni. Wyglądały jak połamana drabina. Skrzynka na listy, zerwana ze ściany, leżała w kącie, zardzewiała i pogięta. Przegródki były w niej puste.

Matka Banieckiej rozmawiała z Babcią Stasią w kuchni. Ręce miała całe w mydlinach do łokci. Wycierała je ciągle o fartuch. Ojciec Banieckiej wcale nie rozmawiał z Babcią Stasią. Siedział za stołem, bardzo zajęty. Malował żołnierzyki z plastiku. Wyciągał je z dużej paczki. Brał jednego żołnierzyka delikatnie w dwa palce, maleńkim pędzelkiem malował zielony mundur, zmieniał pędzelek, dorabiał czerwone guziki, buty i czapkę, kładł żołnierzyka na stole i od razu wyciągał z dużej paczki nowego.

Rozejrzałem się po całej kuchni. Pod sufitem wisały na nitkach papierowe modele żaglowców. Łódź wikingów, wenecka galera, trójmasztowce z armatami na pokładach. Cała flota. W kłębach pary z buzującej na blasze wody żaglowce kołysały się lekko.

Ojciec Banieckiej oderwał się od roboty. Patrzył na mnie przez chwilę. Twarz miał surową, zawziętą.

— Rosną dzieci, rosną dla Polski Ludowej — powiedział ze złością nie wiadomo do kogo i roześmiał się dziwnie, jakby nagle koń parsknął.

— Chodź! Idziemy już! — pociągnęła mnie za rękę Babcia Stasia. — Nie przeszkadzaj panu.

Za progiem obejrzałem się jeszcze...

— No..., Marysiu! — powtórzyła znowu nasza pani. — Ile mamy cię zapraszać? Czytaj, słuchamy!

— Praca w domu — zaczęła Baniecka uroczyście. — Ja przepraszam panią bardzo, ale w tej czytance to się chyba komuś coś pomyliło. Jak przed wojną, za kapitalizmu, robotnicy mieli w Polsce aż tak bardzo źle, to na pewno teraz, za socjalizmu, chwalić Boga już piętnaście lat po wojnie, mają trochę lepiej, prawda? Bardzo pięknie, tylko może sprawdzimy to z ołówkiem w rękę. Jak przed wojną kilo mięsa kosztowało złoty pięćdziesiąt, to robotnik za miesięczną pensję mógł sobie kupić sto kilo mięsa i dostawał, co zechciał, a teraz, jak kilo mięsa kosztuje czterdzieści złotych, to robotnik za miesięczną pensję może sobie kupić pięćdziesiąt kilo mięsa i jeszcze dostanie same ochłapy. No więc pytam się, kiedy robotnik miał lepiej...

Baniecka czytała coraz szybciej. Na twarzy miała czerwone plamy.

— ... Coś się chyba komuś pomyliło, prawda? Albo weźmy te karaluchy. W czytance opisane jest, że na górcie, gdzie mieszkał towarzysz Waclawek, zimno było jak w psiarni, a w nocy cała podłoga aż chodziła od karaluchów. Ciekawe, kto w to uwierzy, bo wystarczy zajrzeć do encyklopedii i przeczytać wszystko czarno na białym. „Karaluch, blatta orientalis, owad z rzędu prostoskrzydłe, jak wskazuje nazwa przywędrował do nas ze wschodu, przykry mieszkaniem brudno utrzymanych domów, żyje i rozmnaża się w warunkach ciepłych”. Jak karaluch żyje i rozmnaża się w warunkach ciepłych, to na górcie towarzysza Waclawka było może zimno jak w psiarni, ale wtedy nie było tam wcale karaluchów, albo owszem, może były tam karaluchy, ale wtedy nie było tam wcale zimno jak w psiarni. Ktoś tu chyba zapomniał, że my, dzieci, uczennice i uczniowie klasy czwartej, dobrze już umiemy czytać, liczyć i myśleć!

Baniecka położyła zeszyt na ławce. Skończyła. W klasie zrobiło się bardzo cicho.

— Oj..., Marysiu, Marysiu — westchnęła po chwili nasza pani. Ona też miała na twarzy czerwone plamy. — Powiedz mi, ale tak całkiem szczerze... Po co ten twój tatuś tak się ciągle wyżywa? No po co? Powiedz mi, ale tak całkiem szczerze...

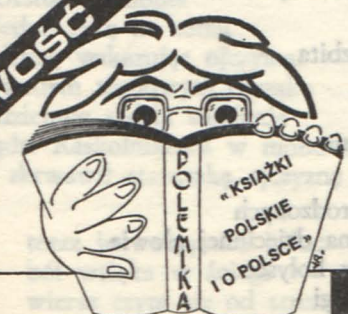
Baniecka nic nie powiedziała. Stała z opuszczoną głową i skubała fartuch, a ja pomyślałem, że na pewno zaczniesz zaraz płakać i wtedy pani wyjdzie z nią na korytarz.

Zbigniew MENTZEL

Opowiadanie skonfiskowane przez cenzurę w krakowskim Tygodniku Powszechnym.

P

Nowość



KSIĘGARNIA
POLEMIKA
 WYDAWNICTWA POLSKIE
 I OBCOJĘZYCZNE NA TEMAT
 POLSKI I EUROPY
 WSCHODNIEJ
 ANTYKWARIAT
 49, RUE GAY LUSSAC
 75005 PARIS
 TÉLÉPHONE : 354.25.48

MÉTRO : LUXEMBOURG
 AUTOBUS : 21-27 : FEUILLANTINES

nic nie widzę
ciemność szczelna
jak węgla bryła
wiersz ostatni
pęka w krwotoku

leży teraz powalony
przez ludzi tego samego języka
urodzonych na sąsiedniej ulicy
i w tamtej wiosce za strugą

kula jak czołg
poprzez zwoje słów
nawet ból oddzielił się
od poetyckiej materii

komu śni się Targowica
komu lis na piersi wychowany
co teraz wnętrzości wyjada
a komu nic się nie śni
pod czerstwą trupią powłoką
Sicińskich w alkoholowych Upitach

przejechana średniówka
i zmiądzżony rym

ta literatura co wierzyła w człowieka
weźmie teraz znów lekcję surową
u Szekspira i Dostojewskiego
w noc górnik zamordowany
będzie się zjawiał hamletom
z Ursusa i Lubina
z jedną ręką na sercu
a drugą wskazując ojczyzma
w samym rządowym orszaku
podziemny sędzia sumienia
osądzi Raskolnikowa w mundurze
co skrwawił staruszkę ojczyznę

teraz już wszystko jedno
ból wsiąka w śniegi
wiersz czyta się od strony śmierci
to jest noc a poza nią

Wiersze

Jacek TRZNADEL

LEKCJA O LITERATURZE POLSKIEJ

(prawie centon)

*Żadnego narodu zniewolić nie można
bez udziału członków tego narodu.*

C. Norwid

*Jestem Polakiem, doprowadzonym do
ostateczności przez Historię.*

W. Gombrowicz

naród królów i hetmanów
których głowy na tykach
zdradą nie splamione
wnosili azjatyccy najeźdźcy

moja lampka rozbita
moja głowa
krwią zlepiona
w śnieg wdeptana

naród powstańców urodzonych
w hełmie za dużym na dziecinnej głowie
z lichą dubeltówką w kołyście
albo z butelką na czołgi
okupanta z zachodu i wschodu

tak późno zacząć pisać
polską pieśń o Rolandzie
gdy huczy kłęską złoty róg
nad powalonym szlachetnym
w niecnym wozie historii
weźże od niego rękawicę
poezjo archaniele Gabrielu

ty musisz teraz poezjo
osądzić rękę co gorszy
wyłupić oko co gorszy
odciąć język co kłamię

ale ten wiersz śmierci
bez pogardy dla poezji
nie ma szans na wyjście
ze zmiążdżonej czaszki stylu

o nagi trupie Leonidasa
bij się w piersi Hellado
zdrajcy też byli Grekami

i myśl jeszcze ocalić
by inni myśleli ją dalej
bez słuchania analogii
jak syren głosu

a w narodowej dramie
gdzie jeszcze stokroć szlachetny
a jak zdrajcy
trup leży twój ponizony
Samuelu Zborowski

wysłany na śmierć
jakim prawem
przez zabranie duchowi ciała
kłęską ponosi sam naród
przyznał Słowacki

na scenie gdzie śmiech spodlonych
bił brawa sztuczkom Stalina
w tej naszej tragiszopce
w zapach siarki ubrany
już nie niemczyk kusy
z główką trupią na czapce

i car-lucyfer enkawudysta
muszą się teraz pojawiać
lecz własny Szela pomnożony w bandę
chłopców morowców co piłami tną
dobrych Polaków i kości im łamią
wkłada Szela ciemne okulary
stroi się Szela w generalski mundur
i naszym współczesnym się staje
i przychodzi na krwawe zapusty
a w narodowej tragedii
przyjdzie myć krwawą podłogę
przez cały następny wiek
sztandary zbrukane prac
ręce myć nie będzie znać
na czole plamę poznać

ale przerwijcie dawną pieśń
gdy pogrzebane uszy
ten wiersz jak lampka górnicza
po nieobecnych
niech się zapuści
w noc nie wyrąbanych chodników

na cmentarzu narodowej pamięci
za ojców naszych grobami
pod murem gdzie zdrajców miejsca
tam widma żywych trupów
innego trupa włóczą
bo każdy z nich przywiązany
i wspólny ciężar wlecze
to trup co pół Azji przygniata
nad Europą wyciągnął ramiona
a oni ciągnąc go włóczą
ciężki jest trup komunizmu
w kole tak chodzą dalej
prosząc o jadło napitek
nie masz nie masz litości
oni nas zabijali
dzieci małe męczyli
i starcom dni skracali

przeszłość nawet szlachetna
jest tylko skrzydłem złamanym
i żadnym upewnieniem

nie masz skrzydeł u ramion
masz tylko terażniejszość
co cięży jak kajdany

o biada literaturo co musisz
sen senatora zmienić na sen generała
tańczącego na Kremlu trepaka
w komnacie której posadzka przez diabłów
głowami polskich patriotów brukowana

nie patrz do tyłu
ślepy wierszu we krwi
naucz się widzieć przed sobą
gdzie nic jeszcze nie widać

jak niedźwiedź na rozpalonej podłodze
rycz narodowa mitologio
co widzisz hańbę Kordianów
już nie padają nieprzytomni
nie skaczą ponad bagnety
lecz z bagnetami przy plecach
osaczają Sowińskich na Woli
w małym kościółku przy ołtarzu
kaleków z nogą drewnianą
lub pilnują egzekucji Trauguttów
z maszynowej policyjnej broni

jak polonez kto pójdzie górą
kto legnie w dolinie słyszę
nowy śpiew na dawną nutę

żali nie przyznasz się do hańby polskie Jeruzalem
jeżeli nie wyznasz zdrady Warszawo
jeśli przełkniesz podłość Warszawo
dzieci twoje janczarskie
sprzedane na pola azjatyckich bitew
padną pod napalmem i kulowymi bombami

któż wtedy napisze księgę anhellich
w obozach polskiej ziemi sybirskich
kto niezłomnych śpiących rycerzy
górników pracowników podziemi ojczyzny
co wykuli kształt myśli już gotów
gdy się w konwulsjach tarzało imperium

ja nie śpię ja wiersz w bluzie górniczej
ja konam na śniegu
i płoną wszystkie obrazy
w kształt ognistego napisu:
Przeszłość jak lustro puste
nie odbije terażniejszości demona

kto historię jak zwierciadło wstawia
w okno i zasłania noc jak oko wykol
ten pisze tym pisaniem tylko:

jeśli nie włożysz lancetu w ropiejącą ranę sumienia
poezjo kto napisze testament twój
kto ze światłem prawdy pójdzie przed narodem
aby pozbierać z szańców ducha ludzi jak kamienie
i posągom przywrócić krew ciało i oddech

nie w posąg się kona lecz w ziemię
przyszłość nie otwarła jeszcze ciemnych ust
jak łatwo o ten żywy obraz
przebrać górników w mundur szwoleżerów
gdy głowa moja wbita w śnieg
śpiewać

oto powstał król duch narodu
i przemienia kaźnie w strażnice
i przemienia więzienia w kaplice
lecz straszny jest gdy podłe liczby
i płaci mieczem bezkrwawym
i przed narodu pamięcią
pod pręgierz sumienia kładzie

a ci tutaj prawdę niosący
są jak chłop polski
co pszenicy snop obejmując
dźwiga słońce szeleszczące promienne
i z czoła historię ociera krwawą
tak prawda słoneczna trzodzi
tragarzy dobrej nowiny polskich ludzi

gdy w długim maratonie biegnie sprawiedliwy
i pada bez tchu wierząc i głosząc przyszłe zwycięstwo
dziejotwórcy człowieka

a ja wiersz w głowie górnika
 co śnieg chce stopić ostatnim tchem
 zdzieram welon z króla ducha
 niech widzą że to ciało
 czołgiem zmiążdżone
 i ziarno także jest krwawe
 a bezimienny chór unisono
 to fałsz
 to rozdarty kontrapunkt milionów głosów
 moja strużka krwi z ust
 jest nieartykułowana lecz wiem

mój dziad i pradziad mitem są
 ich przecierpiane są już rany
 mnie krwawa pięść ból wydziera nieznany
 nie przykrywajcie zmarłych
 zużyty całun przeszłych dni
 niech starczy noc gdy kaszlą czołgi
 jak pancerne hieny
 pieśni dawnej
 w usta zmiążdżone nie kładź nam
 tutaj będziemy żyć nie grać
 polski los to znaczy
 w ciemność złamaną rękę kłaść
 a także prawo mieć
 w dłoń miskę niewolniczą wziąć

ja głowa wiersza okrwawionego
 gdy pijacki śpiew oprawców
 zacicha w noc
 wiem że lekcja
 polskiej literatury
 oznacza także to

czasem piosenkę śpiewaną nad kolebką
 przez niepiśmienną nianię
 gdy moja rana tu i noc i krew i śnieg
 a czasem złoty to jest sen
 bujany stopą matki
 śpij mój maleńki ty
 masz szkaplerz wszyty w ciało
 ochroni ciebie on
 bądź jemu wierny

pusty jest szkaplerz ten
 przed tobą nie ma map
 ani drogowskazów
 przed tobą czarny blask
 co było nie musi być
 co będzie nie wiadomo
 lecz jeszcze możesz chcieć
 wolności miejsca na
 posuwanie się w ciemność
 która nie ma jądra
 która jest rozlana
 odłupywanie czarnych bloków
 w sumieniu
 z lampką poległego
 ale też wolno tobie i im
 łyżkami wybijać niewolników marsz
 w obozowe miski blaszane
 na porannym lagrowym apelu

lampka górnicza zgaszona
 wdeptana w mrok i śnieg
 ostatnia myśl wiersza zdmuchnięta
 z okrwawionej już czarnej głowy
 teraz się otwiera literatury polskiej
 rozdział nieznany rozdział nowy

Paryż, 1982 - 1983

Jacek TRZNADEL

Jerzy ZAGÓRSKI

GAJKA

Jasnożółta trumna płynie na ramionach,
 W trumnie śpi Grażyna jak ptak zestrzelona.

Nie w zielonym gaju ptasznik pisklę chwycił:
 Klatką jej więzienie, potem biały szpital.

Jacyż to myślicywy wybierali z domów
 Tak wątłe istoty nocą długich łomów?

Był po grudniu styczeń, a po styczniu luty:
Ziąb z wilgocią w celach, za murami druty.

W maju nie wróżyli życia już lekarze,
W listopadzie cmentarz płakał Ojczyzną.

Cizby żegnającej kościół nie pomieścił,
Dzwon powietrzem targnął jak eterem wieści.

Ostatnim zwarzonym liściem jesion broczył,
Kiedy mąż za trumną, mąż więziony kroczył.

Cóż ci to za łaska, łaska ironiczna
Gdy na pożegnanie kilka dni wylicza?

Możesz widzieć syna, że już wypuszczony
Idzie też w orszaku swej matki, twej żony.

Lecz rodziców twoich już nie widzę przy was:
Są za grobem, który Grażynkę przyzywa.

Jak to zniesiesz teraz? Jak się oprzeć razem
Młota, który na stal przekuwa żelazo?

Ktoś przemawia już nad wykopanym dołem.
Ktoś zaczyna śpiewy. Podchwytują społem.

Ktoś zacina usta, lśni komuś łza w oku,
Kopiec kwiatów rośnie, jest górą wysoka

Wieńce i egzekwie przecie nie powiedzą
Jak odsunąć rozpacz, gdy się staje wiedzą

O ciężarze świata, który chmurnym niebem
Na wpół przejaśnionym zawisł nad pogrzebem.

30. XI. 1982

Jerzy ZAGÓRSKI

Archiwum polityczne

Sprawy niezłatwione

Od czasu klęski politycznej, jaką Moskwa poniosła w sprawie rozmieszczenia amerykańskich pocisków nuklearnych w Europie, tj. mniej więcej od pięciu miesięcy, między państwami Paktu Atlantycznego a blokiem sowieckim trwa swoiste moratorium. Kontakty są zredukowane do minimum. Wprawdzie działo jeszcze we Wiedniu konferencja rozpatrująca sprawę zmniejszenia liczebności wojsk lądowych z jednej i drugiej strony, ale pertraktacje te trwają już od z górą dziesięciu lat. Dotychczas nie dały one żadnych konkretnych rezultatów. To samo można powiedzieć o konferencji rozbrojeniowej 40-tu państw w Genewie. Stanowisko Moskwy nie zmieniło się: rozmowy w Genewie nie mogą być wznowione, póki NATO nie wycofa pocisków Cruise i Pershing II z Europy. Taka była pozycja Andropowa i to samo powtarzają Czernienko i Gromyko przy każdej okazji. Podczas wizyty w Moskwie włoskiego ministra spraw zagranicznych Giulio Andreotti w kwietniu, Gromyko i Czernienko powiedzieli mu, że rozmieszczenie amerykańskich pocisków nuklearnych we Włoszech i innych państwach zachodnioeuropejskich — „poważnie zwiększyło groźbę wojny”.

Należy zauważyć, że oficjalni i nieoficjalni przedstawiciele sowieccy dość często mówią o rzekomej groźbie wojny. Wycofanie się z rozmów w Genewie i ciągłe podkreślanie niebezpieczeństwa wojny, która jest, jakoby, konsekwencją polityki amerykańskiej jest, oczywiście, dalszym ciągiem szantażu, którego głównym celem jest rozbięcie zjednoczonego frontu państw zachodnich. Sytuacja jest zła i staje się coraz gorsza — mówi Moskwa; niebezpieczeństwo istnieje dlatego, że Stany Zjednoczone prowadzą agresywną politykę wobec Związku Sowieckiego. Stąd prosty wniosek: Amerykanie muszą udowodnić, że nie mają agresywnych zamiarów i dlatego muszą pójść na ustępstwa, muszą przede wszystkim usunąć swe pociski nuklearne z Europy. O sowiec-

kich rakietach SS-20 i innych, skierowanych na Europę Zachodnią, Moskwa oczywiście nic nie mówi. Kontynuuje ona swą poprzednią politykę zastraszania, licząc widocznie na to, że co się nie udało w zeszłym roku — może się udać teraz lub w niedalekiej przyszłości. Ale to już jest musztarda po obiedzie. Wycofać swych rakiet Amerykanie nie mogą, chociażby ze względów prestiżowych — nie mówiąc już o tym, że posunięcie takie mogłoby rzeczywiście doprowadzić do poważnych nieporozumień w obozie państw zachodnich. Zresztą żądania moskiewskiego nie należy brać całkiem na serio. Zajmując twarde stanowisko odnośnie rozmów genewskich, kierownictwo sowieckie podkreśla swoją gotowość do prowadzenia innych rozmów i ciągle mówi o konieczności wznowienia polityki *détente*. Jest to więc wyraźne zaproszenie do nowych pertraktacji, naturalnie na warunkach jak najbardziej wygodnych dla Moskwy. Ale Moskwa umie czekać. Z punktu widzenia interesów sowieckich chwila obecna nie jest stosowna do inicjowania jakiejś nowej polityki. Wybory w Stanach Zjednoczonych odbędą się dopiero na jesieni i tylko wtedy kierownictwo sowieckie będzie wiedziało z kim ma do czynienia — z Reaganem czy też z innym, mniej twardym prezydentem. Tymczasem, Czernienko i towarzysze korzystają z przerwy dyplomatycznej, by w miarę możliwości wzmocnić swoją pozycję.

Dotyczy to przede wszystkim tego, co się dzieje w Afganistanie, gdzie już piąty rok trwa wojna między wojskami okupacyjnymi sowieckimi, a partyzantami afgańskimi. W drugiej połowie kwietnia sytuacja zmieniła się radykalnie. Rozpoczęła się nowa ofensywa sowiecka w dolinie Panszyr, położonej na północ od Kabulu. Jest to teren operacyjny znanego dowódcy partyzantów Massuda. Ahma Szah Massud jest młodym i najbardziej znanym w Afganistanie i na Zachodzie watażką. Przysparza on dowództwu sowieckiemu mnóstwo kłopotów. Wojska sowieckie, wspólnie z wojskami komunistycznego rządu afgańskiego w Kabulu kilkakrotnie próbowały odebrać Massudowi tę strategicznie ważną dolinę, ale dotychczas bez skutku. Teraz po raz pierwszy rzucano do walki lotnictwo strategiczne, operujące z baz sowieckich w Uzbekistanie i Tadżykistanie. Równocześnie, według informacji przywiezionych do Paryża i do Londynu przez kierownika jednej z głównych grup partyzanckich, profesora Burhanuddina Rabbani, nie tylko aktywność ale też i stan liczebny wojsk sowieckich w Afganistanie od czasu objęcia stanowiska sekretarza generalnego KPZS przez Konstantego Czernienkę stale się zwiększa. Rabbani mówi, że liczebność wojsk sowieckich wzrosła bardzo wydatnie i dochodzi obecnie do 200.000 żołnierzy. Kierownictwo sowieckie widocznie postanowiło skończyć z tą wojną i zaprowadzić wreszcie porządek, choćby ze względów prestiżowych. Wydaje się jednak, że należy tu uwzględnić inne, ważniejsze przyczyny. Wojna ta, gdyby się miała ciągnąć jeszcze przez dłuższy czas, mogłaby wpłynąć ujemnie na postawę ludności muzułmańskiej w samym Związku Sowieckim. Londyński *Times*, powołując się na źródła dysydenckie, doniósł 30 kwietnia, że w stolicy

Tadżykistanu, Duszanbe, aresztowano ostatnio pięciu ludzi schwytanych na rozpowszechnianiu ulotek protestacyjnych. Żądano w nich zaprzestania wojny w Afganistanie. Według informacji z innych źródeł, partyzanci afgańscy już operują w sowieckich republikach muzułmańskich i dlatego, pisze *Times*, Kreml ma podstawę do niepokoju. Dalej, podkreśla się — w artykule *Times'a* i w innych pismach europejskich — że w sprawozdaniach nadawanych przez radiostacje zachodnie przytaczane są oświadczenia świadków naocznych, żołnierzy sowieckich wziętych do niewoli lub dezertersów. Ludność ZSSR obecnie w coraz większym stopniu zdaje sobie sprawę z tego, co się naprawdę dzieje w Afganistanie. Od 1979 roku więcej niż 20.000 sowieckich żołnierzy zabito lub poważnie pokaleczono w tej wojnie. Ale liczba ta, wymieniona przez *Times'a* wydaje się znacznie mniejsza od przytaczanej w innych sprawozdaniach. Co do rannych — nie mamy żadnych wiarygodnych wiadomości. Wojna w Afganistanie jest już omawiana na łamach prasy sowieckiej. Organ armii sowieckiej *Krasnaja Zwiezda* publikuje artykuły wychwalające bohaterstwo żołnierzy sowieckich. Inne pisma jak na przykład *Komsomolskaja Prawda* uskarżają się na obojętność miejscowych władz, które nie spieszą z pomocą rannym żołnierzom, powracającym z frontu.

Kilka dni temu byłem gościem w domu rosyjskim. Przy stole siedziałem razem z bardzo już niemłoda, ale przystojną i energiczną panią, która właśnie przyjechała z Moskwy do Londynu, by odwiedzić swoją córkę i jej męża, Anglika. Mówiliśmy o jedzeniu. Moja sąsiadka mówiła o chlebie angielskim z niesmakiem i wychwalała chleb moskiewski, różne jego gatunki, wszystkie, według niej, tanie i smaczne. Zauważyłem, że według tego co nam wiadomo na chleb trzeba w Moskwie wyczekać dość długo w kolejkach. „Na chleb? — oburzyła się staruszka — na chleb się teraz nie czeka. Mamy go tyle, że nie wiemy co z nim zrobić. Co do innych produktów, to rzeczywiście czasem się zdarza, że są trudności. Ale, co pan chce? Karmimy Polskę i karmimy także Afganistan”. W ten sposób dwa problemy jak najbardziej aktualne politycznie, pojawiły się w tej dość długiej rozmowie o Rosji tylko w swym aspekcie aprowizacyjnym. Wynika z tego, że Polska i Afganistan używane są jako pretekst, by wytłumaczyć niedomagania gospodarki sowieckiej. Było to zresztą zrobione, o ile mogłem sądzić, bez żadnych intencji propagandowych. Moja sąsiadka mówiła o tych i o innych podobnych sprawach ze spokojem i obojętnością, tak jakby była na kolacji u znajomych w Moskwie.

Widać jednak, że tej udanej obojętności nie da się dłużej utrzymać, jeśli wojna w Afganistanie będzie trwać dalej. Chodzi tu nie o chleb, lecz o krew, o życie synów, mężów i braci. Za długo ta wojna trwa, za wiele się zaczyna o niej mówić. Właśnie dlatego Czernienko postanowił skończyć raz na zawsze z „bandytami” afgańskimi. Ale skończyć jak? Walki się toczą to tu, to tam. Partyzanci pojawiają się i znikają, uciekają do Pakistanu

i znowu wracają coraz lepiej uzbrojeni. Nikt nie myśli, że wojna może się skończyć zwycięstwem partyzantów. Jasne jest jednak, że może ona jeszcze trwać bardzo długo. Rozpoczynając tę wojnę, kierownictwo sowieckie i dowództwo wojskowe widocznie liczyły na to, że nie będzie się ona wlec tyle lat. Moskwa się przeliczyła i popełniła fatalny błąd. Wojna ta może się przyczynić do demoralizacji armii sowieckiej i — w pewnym stopniu — także społeczeństwa w muzułmańskich republikach sowieckich.

Są oczywiście i inne trudności. Na pierwszym miejscu stoi problem reform i reorganizacji gospodarki sowieckiej. Wiadomo, że Andropow dążył do wprowadzenia pewnych konspiracyjnych zmian i nawet wprowadził pewne mini-reformy eksperymentalne o ograniczonym zasięgu. O dalszych reformach jakoś nie słychać. Ale reformy są konieczne. Trzeba tu odróżnić dwa problemy. Pierwszy — to gospodarka ogólna. Jej stan jest ciągle bardzo niezadawalający, zwłaszcza jeśli chodzi o produkcję dóbr konsumpcyjnych. Jesteśmy wciąż bardzo daleko od chruszczowskiego gulasz-komunizmu. Drugi problem dotyczy tej części systemu, która pracuje na potrzeby sił zbrojnych. Jak wiadomo, wojsko, marynarka i lotnictwo mają absolutne pierwszeństwo na zapotrzebowanie wszystkiego co jest konieczne dla realizacji sowieckich planów strategicznych. Największym źródłem niepokoju w Moskwie jest rozwój wyższej technologii amerykańskiej i sukcesy jej astronautów. Perspektywa wojny w kosmosie, czy też obrony kosmicznej jest szeroko omawiana w sowieckich pismach naukowych. Rzecz jasna, że realizowany obecnie program takiej obrony, zgodnie z zapowiedzią Reagana, jest przedmiotem wielkiego zainteresowania w Moskwie. 30 kwietnia w *Prawdzie* ukazał się artykuł profesora Jewgenia Welichowa, jednego z wiceprezesów sowieckiej Akademii Nauk o planie Reagana. Welichow pisze, że kosmiczny system obrony, tj. taki system, który uniemożliwiłby agresję ustawiając obronę przeciwrakietową nie na Ziemi lecz na satelitach krążących wokół Ziemi, że taki system może służyć nie tylko dla obrony, ale również dla agresji. Według uczonego sowieckiego, ma to dać Amerykanom możliwość pierwszego uderzenia. Dalej, Welichow mówi, że Związek Sowiecki nigdy nie dopuści do tego, by Stany Zjednoczone zajęły pierwsze miejsce w technologii wojennej. „Pokazaliśmy niejednokrotnie, że mamy możliwość, techniczną i ekonomiczną, przeciwstawić się należycie w najkrótszym czasie wszelkim możliwym środkom zagrażającym naszemu bezpieczeństwu”. Śmiało słowa ale, po pierwsze, niepotrzebne, bo nikt nie ma agresywnych intencji wobec Rosji Sowieckiej. Po drugie, słowa te są przykładem zwykłej dezinformacji, bo rzeczy mają się zupełnie inaczej. W ciągu ostatnich paru lat liczba sowieckich tzw. dyplomatów wydalanych z krajów zachodnich jako *personae non gratae* bije wszystkie rekordy. Szpiegdy sowieccy obecnie specjalizują się w wykradaniu wszystkiego co dotyczy nowej technologii, łącznie z nowymi maszynami wszelkiego rodzaju. Nawet przy największym wysiłku, przy koncentracji wszystkich możliwych

środków i sił naukowych, Sowiety pozostają coraz bardziej w tyle w dziedzinie badań naukowych. Gdyby Rosja Sowiecka była rzeczywiście tak pewna swych możliwości w dziedzinie nowej technologii, nie musiałaby organizować szpiegowstwa naukowego i przemysłowego na tak wielką skalę. Rozkwit tego szpiegowstwa przypadł oczywiście na krótki okres panowania Andropowa. Prawdopodobnie będzie się ono rozwijało dalej.

O Czernience. Mam wrażenie, że na Zachodzie go nie doceniają. Był on, przez dłuższy czas, protegowanym Breżniewa i przypuszcza się, że jest typowym aparatchykiem. Jeśli będzie kontynuował politykę swego patrona, nie można oczekiwać, by się zdobył na przeprowadzenie reform. Nawet gdyby chciał, nie będzie chyba miał na to czasu, bo jest w podeszłym wieku i słabego zdrowia. Ma trudności z mówieniem i częściowo zakłóconą równowagę z powodu, jak mówią, choroby ucha. Dlatego też uważany jest za człowieka przejściowego, zajmującego fotel sekretarza generalnego przypadkowo, na krótki czas. Ale kto wie? Może on potrwali jeszcze kilka lat, ku uciesze aparatu partyjnego, który widzi w nim obrońcę złotej wolności — przywilejów kacyków miejscowych, tj. najgorszych cech systemu sowieckiego: łapownictwa, samowoli, przywiązania do tradycji totalitarnej. Ten chłop syberyjski żądnymi zaletami intelektu się nie odznacza. Jest chytry, brutalny, niesłuchanie zarozumiały i bezwzględny. Jeśli chodzi o sprawy międzynarodowe, można od niego oczekiwać że będzie prowadził twardą linię w stosunku do „bratnich” partii i, o ile będzie mógł, także wobec państw „kapitalistycznych”. Od ekscesów w tej dziedzinie będą przypuszczalnie go chronić bardziej doświadczeni członkowie Politbiura, tacy jak Gromyko, Ustinow i Tichonow. Jest rzeczą dość znamienne, że od czasu powstania państwa komunistycznego, żaden z najwyższych przywódców nie był rdzennym Rosjaninem. Lenin urodził się w Symbirsku, z matki Żydówki, i do Petersburga się przeniósł dopiero w wieku 23 lat. Stalin był Gruzinem, z domieszką krwi osetyńskiej. Chruszczow był zrusyfikowanym (zruszczałym) Ukraińcem. Andropow pochodzi z greckiej rodziny z domieszką krwi żydowskiej. Wszyscy ci ludzie, to ludzie „ukrainni”, pochodzący z dalekich kresów olbrzymiego imperium. Otoczenie ich składało się z takich samych, przypadkowo wyrzucanych na powierzchnię życia, półinteligentów. Żaden z nich nie był związany z Europą i żaden z nich, oprócz Lenina, nigdy nie mieszkał w Europie Zachodniej przez dłuższy czas. Można powiedzieć, że Czernienko jest nie bardzo przyjemnym uosobieniem właśnie takiego typowego sowieckiego przywódcy.

Na zakończenie, kilka słów o podróży prezydenta Reagana do Chin. Nie ulega wątpliwości, że Reagan przesadził w swych zabiegach. Proponowana przez niego współpraca, gdyby była przyjęta przez Chińczyków, równałaby się demonstracji antysowiec-

kiej — właściwie przyłączeniu się do demonstracji antysowieckiej pod egidą Amerykanów. I nie tylko demonstracji, ale powzięcia zobowiązania, że będą oni prowadzić w przyszłości politykę antysowiecką wspólnie z Ameryką. Na to Chińczycy nie mogli się zgodzić. Zamiast tego zorganizowali oni swoją własną demonstrację, podkreślając swą niezależność i samodzielność swej polityki. Tym niemniej, jest jasne, że Chińczycy chcą i będą współpracować z Ameryką bo tylko Ameryka i jej sojusznicy mogą dać Chinom to, czego one najbardziej potrzebują. Poza tym jest ciągle do załatwienia sprawa Tajwanu. Kiedy będzie ją można załatwić? — nie wiemy. Z drugiej strony Chiny nie mają zamiaru łatwo rezygnować ze swych pretensji terytorialnych w stosunku do imperium sowieckiego. Pretensje te wynikają z „niesprawiedliwych” umów zawartych w XIX wieku między Rosją carską a Chinami, wtedy bardzo osłabionymi. Obecna zimna wojna między Ameryką a Związkiem Sowieckim bardzo Chińczykom odpowiada. Pozwala ona Chinom prowadzić politykę równowagi między Waszyngtonem a Moskwą. Po zawarciu umowy zezwalającej na sprzedaż Chinom pewnej ilości amerykańskich elektrowni nuklearnych i innych technicznych urządzeń, niedługo rozpoczną się rozmowy chińsko-sowieckie dotyczące modernizacji sowieckich zakładów przemysłowych, dostarczonych Chinom w latach 50-tych, zanim Chruszczow przekreślił umowę o współpracy gospodarczej z Chinami i wycofał wszystkich doradców i specjalistów sowieckich w roku 1960. Chodzi o 156 zakładów przemysłu ciężkiego i lekkiego: stalownie, fabryki traktorów, nawozów sztucznych, itd. Zakłady te jeszcze pracują, ale są już przestarzałe. Chodzi więc o dostarczenie nowego typu maszyn i nowych zakładów. Rozmowy o tym będzie prowadzić delegacja sowiecka na czele z wicepremierem Iwanem Archipowem. Archipow był głównym sowieckim doradcą w tych sprawach w Pekinie w okresie chińsko-sowieckiej przyjaźni. Rozmowy sowiecko-chińskie nie doszły jednak do skutku.

A więc! Wyższa technologia z Ameryki, podstawowa z Rosji. Chiny będą również współpracować z Europą Zachodnią i Japonią. Prowadząc taką politykę, Chiny nie mają nic do stracenia, a wszystko do wygranania.

Witold RYSER-SZYMAŃSKI

Kiedy Rosjanie wejdą do Polski

Nowy Jork, 24 kwietnia 1984.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Otrzymałem od przyjaciół z Kraju taśmę z tekstem, który zgodnie z prośbą przepisałem. Znam Pana Redaktora i Pan mnie zna, ale niestety nie

mogę się podpisać, bo ewentualne osoby trzecie po drodze mogłyby łatwo zidentyfikować Autorów.

Autorzy byłiby wdzięczni, gdyby Pan Redaktor mógł tę rzecz wydrukować w Jego Wydawnictwach. Zdają sobie sprawę, że opracowanie redakcyjne jest niezbędne; zgadzają się na wszelkie poprawki, jeżeli tylko główna teza pozostanie niezmienniona.

Tezę tę byłem początkowo zbulwersowany, ale w miarę słuchania „nawróciłem się” na nią. W jej świetle wiele rzeczy inaczej wygląda, np. pamiętniki Haiga, których Autorzy w rękę mieć chyba nie mogli. Nota bene pamiętniki te są żenujące, nie tyle z uwagi na ostatnie stanowisko ich autora (takie rzeczy się zdarzały) ile na jego przeszłość natowską.

Łączę serdeczne pozdrowienia, pozostając w nadziei, że Autorzy będą mogli się ujawnić, jeszcze za ich życia.

Pański sługa

Jednym z najczęściej powtarzanych frazesów w latach 1980-1981, a właściwie i przedtem, i potem, i jeszcze dziś jest twierdzenie, że istotnym elementem, który trzeba brać pod uwagę jest możliwość wkroczenia wojsk ZSSR do Polski. Przekonanie o takiej możliwości stało się niemal dogmatem kształtującym nie tylko politykę wolnych Polaków i niektórych kolaborantów ale i wpływowych sił na Zachodzie. Przekonanie to ułatwia samousprawiedliwianie się tych, którzy mogli więcej zrobić dla Polski na dłuższą metę. Zwłaszcza zachodni Niemcy obłudnie oddychają z ulgą i zapewniają że nie jest najgorzej, bo przecież Rosjanie nie weszli do Polski.

Stereotyp wejścia Rosjan umacniany przez zachodnie *mass-media* (bo wielu fachowców myśli przecież inaczej) jest tak irytujący, że niżej niepodpisani postanowili zawiązać małą fachową komisję analizującą czy rzeczywiście wejście Rosjan groziło i, co ważniejsze, czy grozi w bliższej lub dalszej przyszłości.

Nie możemy się, niestety, przedstawić, możemy tylko powiedzieć, że są wśród nas politycy opozycyjni, historycy i inżynierowie, a nawet lekarz. Większość z nas brała udział w drugiej wojnie światowej, a nasz status wojskowy określa najlepiej: oficer rezerwy z cenzusem przygotowującym do rozwiązywania technicznych problemów nowoczesnej wojny. W sytuacji gdy Czytelnik nie zna Autorów, nie ich kwalifikacje a tylko siła argumentów może (lub nie) przekonać do naszej tezy.

A jest nią: Rosjanie a raczej Sowieci, wejście i autentyczną bezpośrednią okupację Polski zawsze uważali, uważają i uważać będą za najgorsze rozwiązanie spraw Imperium i jest bardzo wątpliwe by kiedykolwiek na takie rozwiązanie poszli.

W rozważaniach naszych pomijamy dane liczbowe, wykresy i szczegóły techniczne, skupiając się na wnioskach. Niestety jednej ilustracji nie możemy pominąć. Wiemy że *Kultura* nie lubi

materiału ilustracyjnego, przynajmniej nie widzieliśmy go w żadnym z numerów które do nas dotarły. Jeżeli więc nie da się wydrukować zarysów mapy Europy Środkowo-Wschodniej to przynajmniej prosimy Czytelnika, by spojrzeć na prostokąt ograniczony Łabą i Kijowem oraz północnym krańcem Finlandii i Tessalonikami. Widzimy państwa uzależnione od ZSSR, większość z nich jest zwana popularnie demoludami i — tu się zaczyna pospolity błąd rozumowania — wrzucanie do jednego worka, bez rozróżniania ich charakteru i znaczenia dla ZSSR w walce o podbój świata. Wyróżnić musimy grupę trzech państw, które nazwiemy frontowymi: Niemcy Wschodnie, Czechosłowacja i Węgry. Z nich musi wyjść bezpośredni, decydujący *Blitz* na Europę. Wbrew pozorom, inne państwa graniczące z resztą świata — Finlandia i Bułgaria — nie są państwami frontowymi: ani nie można z nich rozsądnie i skutecznie uderzyć, ani też nic na ich granicach Rosji nie zagraża.

A Rumunia i Polska? Te państwa nic wspólnego z frontem nie mają i są tylko buforem, szlakiem transportowym i łącznościowym i służą do produkowania bielizny dla armii (jak Łódź za cara) no i szeregu innych rzeczy niezbędnych do prowadzenia wojny, jednakże tylko w czasie pokoju, na ogół na zapas, bo na produkcję wojenną tak blisko frontu w czasie wojny nie ma co liczyć. Świadomość Rosjan o odrębności roli państw niefrontowych przewija się konsekwentnie od roku 1945, a nawet coraz bardziej się krystalizuje. Klasycznym przypadkiem jest Rumunia: pajacowaty reżim rodziny Ceausescu nie przysparza kłopotów, trzyma naród w nędzy i dyscyplinie, dostarcza ekonomii ZSSR czego trzeba, choć nie za dużo, oddaje usługi (czasem dyskretne) w kontaktach z Izraelem i Chinami, a pozory samodzielności na arenie międzynarodowej są nawet dla Kremla korzystne (w głębi serca Rosjanie szczerze się nimi bawią). Z Bułgarią jest trochę inaczej — sami z siebie dają ZSSR więcej niż by ta śmiała zabrać (spójrzcie na półki sklepów spożywczych w Moskwie!). Z „Wielką Siostrą” Bułgarzy nie mieli krwawych zatargów więc i to państwo niefrontowe można odfajkować. O Polsce pomówimy oczywiście szerzej, trochę później.

Tymczasem spójrzmy uważnie na państwa frontowe. Tu Rosjanin musi stać na każdym skrzyżowaniu, tu trzeba dać ludności trochę lepsze życie, żeby był spokój. Tu pozwala się Węgom na małe eksperymenty, bacząc by ich partia obrzydliwych oportunistów pilnowała wszystkiego i sprawnie raportowała do Moskwy. Jednocześnie utrzymuje się garnizony wielkości miasteczek widoczne nawet z pociągu. Praktycznie to samo mamy w NRD i Czechosłowacji.

Okupacja pełna, jaką widzimy w trzech krajach frontowych,

jest niesłychanie kosztowna, sytuację ratuje tylko stosunkowo mały obszar tych rubieży Imperium. Jednakże nawet na tym małym obszarze trzeba było zaangażować w Czechosłowacji 1968 roku nie tylko wojska własne ale i PRL, NRD, WRL i BRL gdy potrzebne było szczególnie duże nasycenie militarne, a własne oddziały elitarne, jak wojska desantowe, były liczebnie skromne. Nie chodziło jedynie o większe upokorzenie Czechów i Słowaków, nie chodziło tylko o manifestowanie jednolitości bloku ani o wypróbowanie sprawności wspólnego działania — przede wszystkim chodziło o zmniejszenie kosztów własnego działania wojskowego.

Czy Polska może się kiedyś stać państwem frontowym jak NRD, CSRS i WRL? Raczej nie, skoro po drugiej stronie Bałtyku siedzą wystraszone jeszcze do dziś sowiecką okupacją Bornholmu duńskie króliczki. Szwedzi boją się może trochę mniej, ale to także nie są ci Szwedzi sprzed wieków. Zresztą co do Bałtyku: Stalin gwałcąc na oczach zbaraniałego świata obydwie oficjalne podstawy przesunięcia granic Polski, tzn. rekompensatę za Ziemie Wschodnie (argument dla Churchilla) i powrót na Ziemie Odzyskane (argument dla Polaków) zaanektował jakby nigdy nic północną część Prus Wschodnich, w ogóle się nie tłumacząc. Swoją drogą, dziś generałowie ZSSR zanoszą chyba przed obradami modlitwę dziękczynną do swego Szatana za genialność Wodza, bo inaczej „Solidarność” byłaby nie tylko w Szczecinie i Gdańsku ale i w Królewcu! Żeby skończyć z Wybrzeżem: Stalin z Mołotowem (gratulacje z okazji 94-ej rocznicy urodzin!) i dobrze już wówczas ustawionym praktykantem Gromyką nie chcieli, oj nie chcieli, dać Szczecina Polakom, nie chcieli. Bąkali coś o Czechach, o Wolnym Mieście. Praktykant ówczesny dziś zapewne żałuje, że Stalin okazał moment niesowieckiej słabości.

Polska mogłaby stać się Krajem Frontowym tylko w przypadkach nagłych i tylko częściowo. Nawet wtedy wejście Rosjan i ich bezpośrednia okupacja Polski musiałyby mieć charakter terytorialnie ograniczony, np. do utrzymania korytarzy transportowych i komunikacyjnych. W pozostałej części pozostawiono by coś w rodzaju nieokupowanej Francji lat 1940-1944. Gdyby ustały korzyści gospodarcze płynące z Polski to Kremlowi byłoby nawet obojętne czy ktoś na tych terenach przeżyje czy nie. Może by nawet pozostawiono jakąś republikę partyzancką. Druga wojna światowa wykazała, że w czasie działań totalnych pozostawienie takich połaci samym sobie jest zupełnie dobrym wyjściem z sytuacji. Wypadki partyzanckie, mimo swej efektywności są najwyżej śwędzeniem skóry słonia — no, może świerzbem, dodaje lekarz, członek naszego zespołu.

Jeszcze raz spójrzmy na mapę: Polska jest ogromnym, gęsto zaludnionym krajem. Nie można jej traktować geograficznie jak Czechosłowacji, NRD lub Węgier. Można jednak się domyślić, że sowieckie gry wojenne przewidują różne warianty „półokupacyjnego” traktowania Polski. Niektóre fragmenty są już przecież realizowane. Linie przesyłania energii zaczynają omijać Polskę, na Bałtyku tworzy się linię promową Litwa-NRD. Czy tak postępowano by przewidując poważnie opcję pełnej okupacji Polski? Można się już dziś domyślić, któredyś pójdzie korytarz przez Polskę, biorąc pod uwagę wszystkie potrzeby techniczne nowoczesnej wojny, z elektroniką, komputeryzacją, satelitami, itd. Ale dość, po co mają wiedzieć, ile my wiemy?

Wspomniane już analogie z Francją lat wojny narzucają się same przez się. Jak wiemy, Hitler był przerażony perspektywą wiązania sił na sporej bądź co bądź Francji. Szczęśliwie nawinął się Pétain i uradowani Francuzi zabrali się ostro do pracy, stwarzając ważny element potencjału wojskowego Niemiec: od ciężarówek, ulubionego pojazdu Gestapo (dwóch z nas miało nie szczęście być przewożonymi francuską budą), po zegarki na rękach oficerów Wehrmachtu. Ujawnione w tym względzie fakty, przy gorących protestach Francuzów i ich przyjaciół, są przerażające ale i pouczające. Doprawdy osiągnięcia tzw. Ruchu Oporu są żałosne wobec szkód, jakie wyrządziła sprawie reszta Francji.

Narzucają się i dalsze analogie. Jaruzelski to taki Pétain dla ubogich. Też postać tragiczna — jak mówi o Jaruzelskim Helmut Schmidt. Ale pamiętajmy, że Wolna Francja dla „tragicznego” Pétaina miała tylko jeden wyrok.

Kto nadal nie jest przekonany, że Rosjanie nie będą okupować Polski, niech sobie urządzi własną prywatną grę wojenną. Niech sobie policzy z mapy samochodowej i kolejowej ile punktów trzeba obsadzić. I co dalej? Mianować na każde stanowisko kierownicze Rosjan? Najskromniejszy rachunek wykaże konieczność zaangażowania około miliona ludzi. Skąd ich wziąć? Może mają to być żołnierze i funkcjonariusze z narodów nierosyjskich? A może zaprosić Litwinów do okupacji Białegostoku? A na południu Czechów i Słowaków (może wystarczy gdzieś do Poronina, może do Przemysła?). A przecież opór Polaków nie będzie polegał, jak opór Czechów, na odwracaniu drogowskazów! Trzeba będzie wreszcie dorzucić jeszcze ze sto tysięcy KGB żeby pilnowali samych okupantów, którzy mogą zarazić się tym i owym od Polaków. Okupacja to ciężka choroba dla okupanta. Dla ludzi o słabej pamięci jeszcze fakty z ostatniej Wojny Światowej. Mało kto wie, że działa obrony przeciwlotniczej w Niemczech strzelające do samolotów angielskich i amerykańskich były obsłu-

giwane przez Własowców i innych HiWi. Niemcom brakowało ludzi już nie tylko do okupowania ale i do walki frontowej. Kocioł Stalingradu nie doszedłby do skutku, gdyby uderzenie sowieckie nie poszło w wojska rumuńskie. Już w tym czasie Niemcy nie mieli wystarczająco liczebnego własnego wojska.

ZSSR już dzisiaj, zważywszy na większe rozciągnięcie frontów, jest w tej samej sytuacji i obsadzić Rosjanami wszystkich ważnych miejsc nie może. Dopiero skrócenie frontu, na przykład, przez nieuchronne zresztą opuszczenie Dalekiego Wschodu mogłoby coś zmienić, ale zamiana dzielnych obrońców Oceanu Spokojnego na okupantów Polski byłaby chyba końcem Imperium.

A więc Rosjanie do Polski nie wejdą w zakresie większym niż już są i kto o tym nie jest przekonany to niech dalej nie czyta tego felietonu, tylko wsłuchuje się na przykład w głosy z RFN, które jeszcze w roku 1984 w oficjalnych, rządowych przedrukach po angielsku z prasy niemieckiej (kto dziś poza niemiecką strefą językową czyta po niemiecku?) rozpowszechnianych też po Warszawie z cichą aprobatą zadowolonych generałów PRL, zachwyca się jakim to mężem opatrnościowym jest Jaruzelski, od jakiego to straszego nieszczęścia — okupacji rosyjskiej — wybawił Polaków. A gazeta *Wall Street Journal* zapewnia, że w Polsce wszystko się stabilizuje, panuje porządek, należy tylko podretuszować sprawę długów i w ogóle jest lepiej niż w bałaganie Południowo- i Środkowo-Amerykańskim. Gdybyż ci Niemcy i Amerykanie zapytali się swoich fachowców wojskowych, to by się dowiedzieli prawdy.

Niewątpliwie część publicystów zachodnich rzeczywiście nie wie i bezmyślnie powtarza bajkę o wejściu Sowietów do Polski. Część jest zapewne po prostu zdezorientowana lichą jakością służb wywiadowczych Zachodu. Pamiętamy jak to Brandt uskarżał się po powrocie z pamiętnego klęczenia przed pomnikiem Getta i spotkaniu z Gomułą, że nie był ostrzeżony przez osławionego Gehlena, że jedzie na rozmowy z trupem politycznym! Dodajmy, że o szykującej się inwazji ZSSR na Afganistan wiedziały tysiące Polaków podróżujących lub szykujących się do podróży trasą Duszanbe-Kabul i dalej do Indii; tylko przereklamowana CIA o tym nie wiedziała. Trzeba jednak przyznać, że w grudniu 1981 amerykańskie *mass-media* wyjątkowo uczciwie informowały, że nie ma większych niż normalne koncentracji wojsk ZSSR nad granicami Polski. A więc trzeba przyjąć, że są politycy i publicyści na Zachodzie, którzy zdają sobie sprawę — jak autorzy niniejszego artykułu — że Rosjanie nie wejdą do Polski. A jednak milczą, bo taktycznie wygodniej im popierać pogląd, że mogą wejść.

Czy z faktu, że Rosjanie nie wejdą mamy się smuć czy cieszyć? Na pewno nie ma powodu do radości, chociażby z powodu gorszego traktowania w bloku Państwa Niefrontowego. Ale polityka to nie teatr do śmiechu lub płaczu, tylko pole do działania. Można i należy zacząć myśleć politycznie w innej kategorii: sowieckich uzasadnionych oporów do pełnej i własnoręcznej okupacji Polski. Jaruzelski nie jest żadnym wyjątkowym mężem opatrnościowym. Łże w żywe oczy twierdząc, że to on uratował Polskę przed okupacją lub wojną z ZSSR. On był po prostu pierwszym kolaborantem, który zgodził się na propozycję Kremla. Nie wiemy, może byli i inni do których Rosjanie się zwracali. Niewykluczone, że Jaruzelski sam wystąpił z taką propozycją, choć nie posądzamy go o myślenie. Można wyrazić przekonanie, że Moskwa zgodziłaby się na wiele korzystniejszych dla nas (i dla niej) rozwiązań zastępujących nieprawdopodobną okupację sowiecką. Oferta „Solidarności” została odrzucona, nie mieściła się w głowach Kremla, tak samo jak nie mieściła się w jeszcze bardziej oczywisty sposób opcja sowieckiej okupacji. Ale pomiędzy „Solidarnością” a okupacją jest ogromne spektrum możliwości. Wersja Jaruzelskiego jest najbliższa okupacji sowieckiej, najtańszej *chwilowo* dla ZSSR, ale na dłuższą metę też mało opłacalna. Pogłębienie katastrofy ekonomicznej przez rządy niekompetentnych generałów (wojsko umie przecież tylko brać od narodu, rekwirować a nie produkować) odbija się w końcu na wspomnianej produkcji gaci dla armii (dziś jeszcze dochodzą telefony, helikoptery, części lotnicze, statki itd., itd.). Nie liczymy że reżim Jaruzelskiego przesunie się w spektrum ku liberalizacji lub choćby rozsądkowi. Żaden PRON — dopóki jego sekretarz jest jednocześnie sekretarzem KC — nie uzyska zaufania narodu. Ale Jaruzelski musi wiedzieć, że nie jest alfą i omegą, że jest nie jedynym rozwiązaniem także dla Rosjan, którzy nie mogą Polski okupować, a jednocześnie chcą mieć z niej jakieś korzyści. Szatański plan okupacji sowieckiej Polski za jej własne pieniądze i własnymi ludźmi jest patem bez wyjścia. Nadchodzące wybory byłyby szansą wyjścia z twarzą z tej sytuacji i stworzenia nowej koncepcji Państwa Niefrontowego w bloku. Znając Partię i system sowiecki szanse są niewielkie ale sądzimy, że poważne potraktowanie przez wszystkich naszej tezy, że ZSSR nie może okupować Polski z przyczyn techniczno-ekonomiczno-politycznych powinno powiększyć te szanse.

Artykuł wypada nam zakończyć krótkim listem otwartym do generała Jaruzelskiego, zredagowanym w zwięzłym stylu wojskowym:

„Panie Jaruzelski! Niech Pan przestanie nas straszyć i niech

Pan przypomni sobie co powiedział w Sejmie o straszących Pański starszy kolega Cyrankiewicz, gdy przez kilka sekund zdało mu się, że jest Piłsudskim. Przecież Pan wie lepiej niż ktokolwiek inny, że Rosjanie nie wejdą. Jeżeli chce Pan jeszcze cokolwiek uratować w staczającym się w dół Państwie, jeżeli chce Pan uratować coś ze swej reputacji (jeżeli to możliwe, ale nigdy nie jest za późno) to niech Pan porzuci kapraleskie metody, które nie dają nic prócz pogłębiania nędzy materialnej i duchowej Polaków. Niech Pan raczej weźmie pod uwagę realia ZSSR i zacznie grać trochę inaczej. Nic gorszego niż jest już Pan nie wytworzy, a może uniknie Pan błędów Pétaina i nieuchronnego wyroku Narodu i Historii. A towarzysze radzieccy, pyta Pan? Zrobił Pan dla nich więcej niż sobie wyobrażali. Teraz Pana stać na to, by okazać się mężczyzną, zacząć myśleć i działać!”

Z, Y, X, V, U, T, S, R, P, O, N, M, L

(Nazwiska i adresy tych trzynastorga autorów są absolutnie nieznanie Redakcji).

Korespondencja z Rzymu

„Małe trzęsienie ziemi” w Watykanie

CyrogRAF papieski, czyli dokument, w którym Jan Paweł II powierza nadzwyczajne pełnomocnictwa Sekretarzowi Stanu odnośnie Państwa Miasta Watykańskiego (*Stato della Citta del Vaticano*), wywołał zaskoczenie w samym Watykanie oraz duże poruszenie i liczne, nieraz mylne, interpretacje w prasie światowej. Specjalny mandat udzielony Kard. Casaroliemu dotyczy władzy świeckiej. Umożliwi to Papieżowi skoncentrowanie się na właściwej jego misji apostołskiej, pasterskiej i pedagogicznej.

Trzeba pamiętać, że władza Papieża łączy w sobie trzy funkcje: Biskupa Rzymu, Głowy Kościoła Powszechnego oraz Szefa Państwa Miasta Watykańskiego. Obecna reforma modyfikuje tylko tę trzecią sferę działania poprzez delegowanie Sekretarzowi Stanu sprawowania władzy nad Państwem Watykańskim. Niektóre tutejsze gazety nazwały kardynała Casaroliiego „wicekrólem”. Jego atrybuty władzy uległy niewątpliwie rozszerzeniu. Casaroli stał dotychczas na czele Komisji Kardynalskiej dla Miasta Watykańskiego oraz równocześnie na czele Administracji Dóbr

Stolicy Apostolskiej, jednej z dykasterii Kurii Rzymskiej. Nakładało to na niego, jako na „premiera”, zbyt ciężkie obowiązki związane z bezpośrednią gestią sektora gospodarczo-finansowego. Obecnie Papież mianował na te stanowiska kardynałów Baggio (Włocha) i Rossiego (Brazylijczyka), którzy podlegają zwierzchnictwu Casaroliego. Dzięki tej reformie strukturalnej Papież nie będzie uwikłany w konkretne spory, jak np. nierozwiązany konflikt z rządem włoskim (i zagranicznymi wierzycielami) w sprawie bankructwa mediolańskiego *Banco Ambrosiano*, w co jest włączony Instytut Dzieł Religijnych (I.O.R.), zwany potocznie Bankiem Watykańskim. Dotychczasowy prezes tego banku, abp Marcinkus (Amerykanin pochodzenia litewskiego), zachował wprawdzie to stanowisko i „do czasu” również stanowisko wiceprzewodniczącego papieskiej Komisji dla Miasta Watykańskiego, ale jako „koadiutor” mający nad sobą nie tylko nowomianowanego przewodniczącego, kard. Baggio, ale również super-nadzorcę w osobie kard. Casaroliego. Tutejsi obserwatorzy przewidują, że tym samym kariera Marcinkusa, zaplątanego w różne niefortunne afery finansowe, została zablokowana, a możliwość otrzymania purpury kardynalskiej — bardzo osłabiona.

Dokonane zmiany nie sprowadzają się wyłącznie do reorganizacji rządów w Państwie Watykańskim. Wśród kilkunastu przesunięć i nominacji na kierowniczych stanowiskach Kurii Rzymskiej trzeba wymienić zwłaszcza awans Murzyna z Beninu, kard. Gantina, który został prefektem najważniejszej, kluczowej Kongregacji dla Biskupów; powołanie kardynałów względnie biskupów spoza Kurii Rzymskiej: Francuza, kard. Etchegaraya, Irlandczyka, abpa Ryana, Murzyna z Nigerii, abpa Arinze, Węgry, abpa Kada. Tym samym Jan Paweł II dokonał dalszego kroku w kierunku umiędzynarodowienia Kurii Rzymskiej, a wybór nominatów nastąpił pod wyraźnym kątem dowartościowania kwalifikacji pastoralnych. O reakcjach członków Świętego Kolegium Kardynalskiego na te decyzje Papieża, a zwłaszcza na wzmocnienie władzy Sekretarza Stanu, będzie można dowiedzieć się dopiero za kilka miesięcy, kiedy Papież zwoła generalne zgromadzenie kardynałów. Zwołał je już dwa razy, w 1979 i 1982, dla debaty nad sprawami organizacyjnymi i gospodarczymi Kurii Rzymskiej. Już dzisiaj jednak pewne zastrzeżenia budzi rozszerzenie atrybutów władzy Sekretarza Stanu jako sprzeczne z postulatem reformy Kurii w kierunku decentralizacji. To wzmocnienie odciąża co prawda Papieża, niektórzy twierdzą jednak, że w rzeczywistości władza Papieża ulegnie redukcji. Oddzielenie bowiem władzy duchowej od świeckiej (rządu w Państwie Watykańskim) jest sztuczne — gdyż stanowią one naczynia połączone. Inni jeszcze błędnie oceniają tę decyzję jako premię dla kardynała Casaroliego za długoletnią pracę na rzecz dialogu, zapominając iż cyrografu papieskiego nie można traktować *ad personam*. Dotyczy on bowiem także jego następców. Ks. V. Levi, b. zastępca dyrektora *Osservatore Romano* pisze m.in. na łamach mediolańskiego *Il Giornale*: „Reorganizacja i zmiany personalne w Ku-

rii Rzymskiej są zawsze użyteczne, wlewają bowiem nowe energie. Jan Paweł II kontynuuje działalność swych poprzedników, odmładzając Kościół i uniwersalizując jego posłannictwo. Papież, zrzekając się rządzenia w pierwszej osobie Państwem Miasta Watykańskiego, wykazuje, że pragnie zajmować się jeszcze bardziej swym najwyższym Urzędem Nauczycielskim”.

Przeprowadzona reorganizacja i zmiany w obsadzie dykasterii Kurii Rzymskiej wynikają — moim zdaniem — przede wszystkim z konieczności racjonalizacji funkcji i usprawnienia pracy, od czego nie może uchylić się także Państwo rozpościerające się na obszarze 40 hektarów. Kościół Powszechny, chociaż zdecentralizowany w świecie, staje się bardziej scentralizowany tam, gdzie bije jego serce.

Polacy w Watykanie

Na liście kilkunastu nominatów nie figuruje żaden Polak. Równocześnie ubył jeden na kierowniczym stanowisku: abp Andrzej Deskur, przewodniczący Papieskiej Komisji d/s Środków Społecznego Przekazu. Niezorientowani rodacy, zarówno w kraju, jak i na emigracji, ubolewali, że jego następcą nie został polski kapłan. Wymieniano nawet nazwiska rzekomych kandydatów, ignorując fakt, że ambicje nie wystarczą, zwłaszcza kiedy są odwrotnie proporcjonalne do kwalifikacji. Na to stanowisko przyszedł znany tu od lat, wybitny ekspert, Amerykanin ks. J. Foley, wyświęcony 8 maja na biskupa przez kard. J. Króla.

Dymisja A. Deskura z powodu stanu zdrowia, niespodziewane odwołanie ks. prałata J. Janusza, audytora nuncjatury w Bonn i inne niepokojące pogłoski o dalszych grożących ubytkach, wywołują wrażenie początku wykruszania się naszego stanu posiadania w Watykanie. Wbrew mylnym wyobrażeniom, Polacy w obecnym pontyfikacie bynajmniej nie uzyskali mocniejszej pozycji. Wzrosła wprawdzie ilość etatowych pracowników instytucji watykańskich w związku z utworzeniem polskiej edycji *L'Osservatore Romano* i rozszerzeniem sekcji polskiej Radia Watykańskiego. Odnosi się to jednak jedynie w nieznacznym stopniu do dykasterii Kurii Rzymskiej, czyli organów, w których koncentrują się wpływy danego kraju w Stolicy Apostolskiej, chociaż niewątpliwym postępem było utworzenie polskiej sekcji w Sekretariacie Stanu*. Wzrosła natomiast liczba członków i kon-

* Nie byłoby w tym nic dziwnego, bo przesunięcia po 4 latach służby w watykańskiej karierze dyplomatycznej są stosowane, choć nie automatycznie. Odwołanie to dotyczy jednak najważniejszej placówki dyplomatycznej w Europie i nastąpiło w okolicznościach, świadczących o antypolskim ostrzu tej decyzji oraz wbrew przyjętym zwyczajom: bez konwencyjonalnego uprzedzenia episkopatu RFN i w sytuacji, kiedy nuncjusz również odchodzi (praktyka zaś przewiduje, że nie odwołuje się naraz nuncjusza i jego zastępcy).

sultorów tych dykasterii: biskupów, kapłanów i świeckich, dojeżdżających na okresowe sesje.

Kościół polski nie zajmował nigdy silnej pozycji w Stolicy Apostolskiej. Na przestrzeni dziejów napotykalimy w Watykanie na niezrozumienie kulturotwórczej roli Kościoła i Polski na Wschodzie. Rozczarowań nie brakło, bo „Polska zawsze wierna” nie otrzymywała z Rzymu tego, na co zasługiwała. Z drugiej jednak strony Kościół polski notorycznie zaniedbywał sprawę ugruntowania naszej obecności, tzn. obsadzania stanowisk w Kurii i jej „okolicach”, w przeciwieństwie do Francuzów, Niemców czy Hiszpanów, nie mówiąc oczywiście o Włochach. Także wraz z inauguracją nowego pontyfikatu zabrakło świadomości wytworzenia czegoś w rodzaju *lobby*, czyli grupy intelektualnie przygotowanej do reprezentowania polskich interesów i wywierania wpływu w kierunku ich obrony.

Zjawisko niedostatecznego zrozumienia przez Polaków roli Stolicy Apostolskiej jako instytucji, centralnego rządu Kościoła, pokutuje do dziś dnia. Wypływa ono stąd, że autorytet papieski w Polsce łączył się w naszych dziejach nie tylko z władzą publiczną Głowy Kościoła — jak twierdzi znany historyk, prof. J. Kłoczowski — ile z funkcją ojcowską traktowaną bardziej w kategoriach religijno-moralnych, aniżeli prawnoinstytucjonalnych. Odbiło się to negatywnie w historii naszych stosunków z papiestwem. Wynikiem tego stanu rzeczy było i jest powstawanie różnych iluzji związanych z zasadniczym i niebezpiecznym nieporozumieniem co do rozmiarów i znaczenia wątku polskiego w obecnym pontyfikacie. Już z okazji pierwszej rocznicy pontyfikatu biskup J. Tokarczuk ostrzegał rodaków na łamach *Tygodnika Powszechnego* by „nie żyli ciągle w nastroju taniego triumfalizmu”. Wezwanie do rozważań nie pomogło i, jeśli ten stan rzeczy jest w jakimś stopniu wybaczalny u przeciętnego pielgrzyma z kraju, nie sposób zastosować taryfy ulgowej wobec katolickich luminarzy.

Polskę współczesną reprezentują tutaj nie tylko etatowi pracownicy dykasterii Kurii Rzymskiej i pomocniczych instytucji watykańskich. Obraz polskiego społeczeństwa tworzą także, w oczach Włochów i cudzoziemców, przewijające się wciąż grupy pielgrzymów i indywidualnych przedstawicieli środowisk krajowych, zarówno duchowni, jak i świeccy. Niestety nie można powiedzieć, by zawsze pozostawiali po sobie dobre wspomnienie. Przenoszą bowiem na tutejszy teren swe nawyki myślowe i styl postępowania, nie licujące często z majestatem urzędu papieskiego, z powagą instytucji i z prestiżem kraju, który dał Kościołowi Powszechnemu pierwszego Papieża-Słowianina. Razi Włochów i przedstawicieli innych nacji w Kurii Rzymskiej, a także licznych korespondentów watykańskich, nieustający stan euforii wokół osoby Papieża, prowincjonalna megalomania i sposób patrzenia i reagowania na obecny pontyfikat, tak jakby sprawa polska znajdowała się w centrum zainteresowania świata. Oczekuje się od Papieża załatwienia rzeczy niemożliwych, zapominając, że

stwarza on jedynie sprzyjające warunki do „załatwienia”. Sygnały zaś jakie rzuca, nie kto inny, ale właśnie Polacy powinni prawidłowo odbierać. Stałe zachłystywanie się nie oddaje mu przysługi.

Oceniając krytycznie brak wykorzystania dla polskiej kultury szansy historycznej stworzonej przez pontyfikat Jana Pawła II, Stefan Frankiewicz w wywiadzie w *Więzi* (którego fragmenty *Kultura* opublikowała w numerze kwietniowym) wzywa do pokory i roztropności, do powściągliwości i zaprzestania demonstrowania triumfalizmu. Ta ważna, pierwsza wypowiedź krytyczna, zwróciła także uwagę *Kroniki Rzymskiej*, pisma redagowanego przez ks. K. Sokołowskiego i O. K. Heymę O.P., ponieważ zdobyła uznanie na najwyższych szczeblach hierarchii watykańskiej.

Szczególna odpowiedzialność spoczywa w tym zakresie na tych, którzy jeszcze przed kilkoma laty byli najbliższymi współpracownikami Papieża, do których żywi zaufanie i ludzką słabość. Słyszysz tu coraz częściej narzekania, także w środowiskach zachodnich tradycyjnie nam życzliwych, na „krakowski partykularz”, dbający o rozgłos i utrzymanie pozycji monopolu informacyjnego i opiniotwórczego w otoczeniu Papieża, z wyraźnym uszczerbkiem dla dobra sprawy. I z „obiektywną szkodą dla samego Papieża, z czego ci ludzie niestety nie zdają sobie sprawy” — jak powiedział niedawno pewien dziennikarz katolicki, bardzo wpływowy w Watykanie. Nadszedł czas, aby wybitni przedstawiciele innych, równie zasłużonych, środowisk katolickich w kraju, z Warszawy, Lublina czy Wrocławia, znaleźli dostęp do Papieża i by również ich głos usłyszała za Śpizową Bramą (nie tylko z „drugiej ręki”).

Pod znakiem stagnacji

Komunikat z ostatniej konferencji plenarnej Episkopatu Polski, datowany 3 maja, zapowiada „zorganizowanie Krajowego Kongresu Eucharystycznego”, bez podania daty tego ewenementu. Kongres ten — jak informują wiarygodne źródła — jest zaplanowany na rok 1986. Biskupi liczą, że dojdzie wówczas do skutku trzecia wizyta Papieża w ojczystym kraju.

Tymczasem ogólny zastój w życiu publicznym w oczekiwaniu na wyjaśnienie stanowiska sowieckiego odbija się również na odcinku stosunków Kościół-Państwo. Projekt ustawy o uznaniu statusu prawnopublicznego Kościoła utknął na jednym ze szczebli partyjno-rządowej weryfikacji. Po zatwierdzeniu go przez mieszaną komisję ekspertów napotkał na większą trudność polityczną, niż pierwotnie zakładano. Rząd, uzależniony od sowieckiej pomocy gospodarczej, uchyla się od uczynienia kroku zbyt śmiałego i ryzykownego, który mógłby okazać się niestrawny zarówno dla Moskwy i Pragi, jak i partyjnego „betonu”. Wolałyby więc zastąpić tę zablokowaną ustawę „wspólną deklaracją”, regulującą prawnoinstytucjonalne aspekty wzajemnych stosunków.

Episkopat stara się zrozumieć motywy powściągliwości władz, nie może jednak przystać na rozwiązanie pozbawione legislacyjnych gwarancji. Ten stan rzeczy spowodował odłożenie ustabilizowania stosunków dyplomatycznych pomiędzy Stolicą Apostolską i PRL. Wprawdzie, jak się wydaje, dyplomacja watykańska byłaby skłonna akceptować formułę „wspólnej deklaracji”, nie może jednak ignorować twardego stanowiska polskich biskupów. Jest więc prawdopodobne, że dojdzie do rozwiązania przejściowego, tzn. mianowania delegata apostolskiego akredytowanego równocześnie przy rządzie w charakterze kierownika watykańskiej delegacji do spraw stałych kontaktów roboczych (obecnie, jak wiadomo, rezyduje on w Watykanie, choć jego kontrahent rządowy rezyduje w Rzymie). Delegat apostolski korzystałby faktycznie z szerokich uprawnień i mógłby wpływać na kolegiałność biskupów, reprezentując poparcie Papieża także wówczas, kiedy Kościół musi zawierać niepopularne kompromisy. W momencie zaś, kiedy powstałyby odpowiednie warunki dla ustabilizowania stosunków dyplomatycznych, zostałby automatycznie mianowany pronuncjuszem. W dyplomatycznej praktyce watykańskiej mamy nieraz do czynienia z analogicznymi sytuacjami, żeby wymienić chociażby stosunki pomiędzy Stolicą Apostolską i Meksykiem czy też ze Stanami Zjednoczonymi (przed niedawnym wznowieniem stosunków dyplomatycznych).

Dominik MORAWSKI

Pisane 12 maja 1984

**POLSKA KSIĘGARNIA NA MANHATTANIE
POLISH BOOKS & ARTS, INC.**

**97 EAST 7th STREET, NEW YORK, NY 10009
Tel.: (212) 254-8457**

Książki polskie. — Książki w języku angielskim dotyczące spraw polskich. — Słowniki. — Podręczniki. — Płyty i kasety. — Bogaty wybór polskich plakatów.

Przyjmujemy książki w komis.
Realizujemy zamówienia pocztowe.

Kraj

Tezy o frakcjach

Mechanizmy, organizmy i różne inne złożone całości skłaniają do tego, by zajrzeć do środka, znaleźć części, odróżnić je i ponazywać. Zdobycie takiej wiedzy jest ciekawe i może być przydatne. Wielu ludzi chce wiedzieć, co dzieje się w partii i w innych instytucjach sprawujących władzę w państwach komunistycznych, i często mówią wtedy o frakcjach. Autor pragnie sformułować kilka tez na ten temat, wypowiadających zresztą stanowisko, które w innych pracach już zajmował.

1. Trudno zaprzeczyć, że ludzie różnią się między sobą i choćby byli najbardziej podobni, różnice między nimi istnieją.
2. Ludzie często nawzajem za sobą nie przepadają, a nawet się nie lubią, zwalczają się i sobie nawzajem szkodzą. Nawet gdy w jakichś sprawach współpracują, mogą co do pewnych szczegółów mieć inne zdanie, spierać się o to i kłócić.
3. Praca biurowa (nawet gdy biuro nazywa się polityczne i również wtedy gdy jest polityczne) nie eliminuje różnic (punkt 1) i może sprzyjać niesnaskom (punkt 2) wśród pracowników, działaczy, aktywistów, przywódców — jakkolwiek by ich nazywać.
4. Warunek 1 (istnienie różnic) jest spełniony zawsze, warunek 2 (istnienie i wyrażanie antypatii) jest często spełniony. Ale to nie wystarcza by uprawnione było mówienie o frakcjach.
5. Frakcje to względnie stałe zespoły ideowo-programowe, a więc różniące się między sobą nie byle jak, i takie, które jeśli podejmują walkę, to nie o byle co, lecz o działanie polityczne.
6. Statut PZPR zakazuje „działań o charakterze frakcyjnym”, co stwierdza się w punkcie 19 w wersji z lipca 1981 roku: „nie dopuszczalne są działania o charakterze frakcyjnym, polegające na tworzeniu sformalizowanych grup w partii, które upowszechniają odrębny program, linię polityczną, zasady organizacyjne i tworzą autonomiczny ośrodek dyspozycyjny wobec władz partyjnych”. Sformułowanie statutowe dość dobrze zresztą określa,

co to są frakcje. Podobne (choć zwykle mniej precyzyjne) zakazy można znaleźć w statutach innych partii komunistycznych.

7. Mimo zakazów statutowych — frakcyjopodobne działania w partiach komunistycznych są podejmowane, ale są one bardzo zredukowane pod względem jawności, liczebności, zorganizowania, jasności programowej, stałości i trwałości członkostwa (jeśli w ogóle można tu o członkostwie mówić). Ze względu na niestałość i ograniczony polityczno-programowy charakter grup, nazwa „frakcji” nie bardzo jest odpowiednia i często grupy te trzeba by nazywać inaczej (są to ugrupowania, sitwy, kliki, luźne, często milczące, porozumienia).

8. Jasnemu i jawnemu określaniu się ugrupowań jako frakcji przeciwdziała charakter władzy i organizacji sprawujących ją w państwach komunistycznych. W statucie PZPR pisze się o politycznej i organizacyjnej jedności partii (cytowany punkt 19 w „liberalnej” wersji z lipca 1981 roku). Propagandyści partyjni zwracają uwagę, że partia nie powinna na istnienie frakcji zezwalać — pod groźbą błędu „socjaldemokratyzmu”. Frakcje byłyby anomalią, frakcyjopodobne grupy są niepełne i niedorozwinięte.

9. Różnice wśród rządzących (porównaj punkt 1) jednak istnieją, a do ich zaznaczania się skłania „samo życie”, to znaczy podejmowanie przez nich działań, co do których możliwe są różne opinie i wyrażanie tych opinii lub dawanie ich do zrozumienia (choćby sobie nawzajem).

10. Zawsze możliwe są rozstrzygnięcia „twardsze” i „mniej twarde”, to znaczy bardziej lub mniej wyraźnie skierowane przeciw społeczeństwu, posługujące się przemocą (lub grożące jej użyciem) w większym lub mniejszym stopniu. Zawsze można zastanawiać się, czy kolektywizację zarządzić od razu, czy z tym poczekać (jak długo czekać i jak tymczasem utrudniać chłopom gospodarowanie i odbudowę kapitalizmu); czy wpływ Kościoła ograniczać przy pomocy terroru, czy na razie tylko utrudniać duszpasterstwo najbardziej niepokornym księżom; czy autorów ulotek skazywać na grzywnę, czy przeciętnie na rok więzienia, czy może na pięć lat. Takie zagadnienia rządzący mogą między sobą dyskutować, mogą w tych sprawach podejmować różne decyzje i następnie te decyzje zmieniać.

11. Marksисти twierdzą, że państwo jest „aparatem przemocy”. Istnieją jednak instytucje państwowe, które w stosowaniu przemocy się specjalizują (policja, wojsko, w Polsce ostatnio w górnych partiach zrosnięte). Wewnątrz tych instytucji często formułuje się i popularyzuje rozstrzygnięcia „twardsze” i grupy reprezentujące te instytucje mogą skłaniać władze centralne, by wybierały takie decyzje, które szybciej i bardziej zauważalnie odbierają swobody społeczne (gdy te w jakimś zakresie istnieją). Nacisk odbywa się zwłaszcza przez selekcję informacji i przez sprzyjanie działaniom, które mogą uzasadnić zastosowanie środków gwałtownych (to nazywa się czasem prowokacjami).

12. Aparat terroru w wielu przypadkach nie musi szczególnie na władze centralne naciskać. One same wiedzą, co jest ostateczną podporą ustroju. Dobrze zdawali sobie z tego sprawę Bierut i Gomułka. Gierek, zdaniem jego następców, był nieco za miękki i o swym liberalizmie chciał przekonać kraje zachodnie, zaś ludzi w Polsce czasem tylko chciał terroryzować, ale wolał przekupywać (co prawda na kredyt) i kilka razy ustąpił (w latach 1971, 1976 i 1980). Kania szedł w ślady Gierka, ale Jaruzelski błędy poprzednika skorygował.

13. Nie jest łatwo we władzach komunistycznych znaleźć zdecydowanych przeciwników terroru — ci zasługiwali by na nazwę kontrrewolucjonistów (może nawet pełzających). Ludzi miękkich eliminują okoliczności i koledzy. Natomiast istnieją osoby i luźno związane ugrupowania, o których można stwierdzić, że wolałyby takie decyzje, w których terror odgrywa stosunkowo mniejszą rolę lub jest jakoś ograniczony (na przykład: terror — dobrze, ale nie przeciw nam, ale nie na zbyt dużą skalę, niezbyt widoczny, nie powinien zbyt utrudniać produkcji, można go stosować, ale po co o tym mówić).

Ograniczanie terroru może odbywać się pod hasłem praworządności, czyli stosowania przez władze prawa, które władze te ustanowiły (niepraworządne jest stanowienie prawa, a następnie przekraczanie go przez władze). Praworządność jednak nie kłóci się z terrorem: wystarczy ustanowić prawo, które daje władzom duże możliwości. Można dostosować prawo stanowione do praktyki władz. Publicyści stanu wojennego chwalili i stan wojenny i praworządność, powtarzając *dura lex sed lex*.

Osoby, które dają do zrozumienia, że pod jakimś względem byłyby skłonne terror ograniczyć (lub które się o to podejrzewa) bywają w prasie zachodniej nazywane liberałami, na przykład Olszowski (w pewnym okresie), Rakowski (prawie zawsze), również Jaruzelski, i to w stanie wojennym, bywał nazywany liberałem. Trudno właściwie nie być liberałem, bo trudno o całkowitą pryncypialność i o domaganie się stosowania terroru również wobec siebie i swoich bliskich. Terror ograniczony może zupełnie wystarczać, zaś terror daleko idący może zantagonizować zbyt wielu ludzi i taki antagonizm może źle skończyć się dla władz. Dlatego ich zadaniem jest znalezienie optymalnej miary i optymalnego czasu trwania terroru bogatego i zaostrzonego. Jak twierdził generał Jaruzelski, stan wojenny nie powinien trwać ani chwilę dłużej niż to potrzebne, zaś rygory także nie powinny być przesadne. Powinno się działać akurat, na miarę. Wypowiedzi w tym rodzaju bywają przez komentatorów witane z entuzjazmem jako dowodzące umiarkowania (podobnie zresztą umiarkowania opozycji mają dowodzić wypowiedzi, w których stwierdza się, że lepiej osiągnąć za mało niż chcieć za dużo — i przegrać). I Jaruzelski, i opozycjoniści uprawiają teorię dobrej roboty: wiedzą, że lepsze może być wrogiem dobrego.

14. Zdarzają się sytuacje społeczne i pozycje społeczne sprzy-

jające poszukiwaniu i znajdowaniu „liberałów” i „twardogłowych”. Wiadomości o różnicach, a nawet o ugrupowaniach we władzach komunistycznych dziennikarz lub „politolog” może zaczerpnąć z rozmowy. Wiedza o zmianach w działaniu władz jako całości może być trudniejsza do zdobycia, w Polsce na przykład jej osiągnięcie może wymagać czytania *Dziennika Ustaw*, danych statystycznych, prasy oficjalnej i podziemnej (by o tym mówić, trzeba znać język kraju, o którym się pisze, co najmniej w tym stopniu, co zwykli jego obywatele). Wiadomości o działaniu systemu jako całości są mało atrakcyjne, zwłaszcza wtedy, gdy nie mają zabarwienia personalnego, gdy nie pisze się o osobach, nie wskazuje się tych, którzy terror wzmocnili lub chcieliby wzmocnić (twardogłowi) i tych, którzy go ograniczyli lub chcieliby ograniczyć (liberałowie).

15. Poszukiwaniu liberałów sprzyja nastawienie polityczne. Państwa zachodnie często chciałyby liberałom pomóc i na nich „stawiać”. Taki zamysł mewali też opozycjoniści w Polsce. Możliwe są tu dwie strategie. Gdy publicyści i politycy zachodni szukają liberałów, to dlatego, że chcąc na nich „stawiać”, chcą wiedzieć, kto jest kto, kto do liberałów należy, a kto nie. O tym właśnie można dowiedzieć się w rozmowie z zaufanym informatorem, człowiekiem z kręgów partyjnych, dobrze znającym się na rzeczy, trzeźwym, nieuprzedzonym (przeważnie zresztą jest to liberał). Ale możliwa jest też inna strategia: można zupełnie nie wiedzieć, kto jest liberałem, i nawet nie wiedzieć, kto jest liberałem potencjalnym, a dążyć do złagodzenia polityki władz, można więc podejmować działania sprzyjające przesunięciu się rządzących od terroru większego do mniejszego. Nie jest istotne, czy skład rządzących się przy tym zmienia, i nie trzeba wiedzieć, kim rządzący w gruncie rzeczy są, ale co robią. Jest to podejście nieefektywne, bo bezosobowe i nie poszukujące zjawisk ukrytych, ale trzymające się tego, co stwierdza się stosunkowo łatwo.

16. Dość podobne do oferty poparcia jest poszukiwanie frakcji do zwalczania. Na tej zasadzie w Polsce zwalczano „natolińczyków” lub „moczarowców” — zamiast interesować się rezultatami politycznymi. Czynność umysłowa konstruowania frakcji wiąże się z nadawaniem im nazw. Okazuje się na przykład, że Moczar był ukrytym nacjonalistą, zaś Jaruzelski jest ukrytym patriotą. Nazwy takie czasem nadaje się w Polsce, czasem robią to korespondenci *Le Figaro* lub *The New York Times*.

17. Można zatem szukać liberałów (lub technokratów lub nacjonalistów) pod powierzchnią zjawisk, i można zastanawiać się nad tym, co kto robi. Wtedy odróżnianie liberałów i twardogłowych lub liberałów większych i mniejszych nie jest bezsensowne, pod warunkiem, że się pamięta, że mamy do czynienia z liberalizmem względnym: Rakowski bywał liberałem w porównaniu do Kiszczaka, Kiszczak w porównaniu do Bieruta, Bierut w porównaniu do Stalina, Stalin w roku 1941 w porównaniu do Stalina w roku 1937, zaś Stalin w roku 1937 różnił się co do swego

liberalizmu w poszczególnych miesiącach, dniach i godzinach. Trudno znaleźć liberałów absolutnych, ponadto zaś określenie czasowej współrzędnej liberalizmu bardzo jest przydatne do porównań. Liberałowie są niestali (raz tacy, raz inni, raz więksi, kiedy indziej mniejsi), co też może sprawiać kłopoty tym, którzy chcieliby na nich „stawiać” (choćby pomagając im w zwalczaniu konkurentów). Można więc sformułować kolejną regułę dobrej roboty: zamiast szukać liberałów i im pomagać, dąż do celów merytorycznych i interesuj się tym, co robią władze jako całość (gdym trzeba, liberałowie się znajdą lub twardogłowi zliberalnieją).

18. Istnieją podziały frakcjopodobne na zasadzie „kto jest czym człowiekiem”. W funkcjonowaniu urzędów (w tym urzędów politycznych) doniosłą rolę odgrywa świadczenie usług (poparcie) i wymiana świadczeń, która w dłuższym okresie i przy bardziej doniosłych świadczeniach może utrwalić się i prowadzić do popierania się wzajemnego. W ten sposób tworzy się sieć związków, a niekoniecznie podział na ugrupowania. Przy tym wymiana usług lub jej brak może mieć nikły związek z podobieństwami lub różnicami merytorycznymi (polityczno-programowymi). Związki wymiany usług nie są stałe i mogą być łamane przez uczestników (przez błąd lub działanie celowe) i przez pozycjonowanie osób trzecich.

Dostęp z zewnątrz do wiedzy o tym, jakie usługi są wewnątrz organizacji świadczone i kto ich świadczeniu przeciwdziała, jest zwykle dość utrudniony. Rozważania na ten temat są niesłychanie hipotetyczne i sprawdzanie ich jest trudne. Tym bardziej trudne jest uchwycenie znaczenia, jakie ewentualnie istniejące wewnętrzne spółki i konflikty mają dla zewnętrznego działania władz, dla tego, jak władze jako całość zachowują się wobec świata zewnętrznego, a przede wszystkim wobec społeczeństwa, którym rządzą. Warto też zauważyć, że silne bodźce zewnętrzne (nacisk społeczny) mogą przekształcić sieć wewnętrznych powiązań we władzach. Gdyby się już nawet coś o tych powiązaniach wiedziało, to ustalenia takie szybko tracą wtedy aktualność. Bardziej już istotne od rozpatrywania związków osobistych wydają się rozważania dotyczące różnic w działaniu instytucji. Między innymi dlatego, że instytucje są bardziej stałe, ale także dlatego, że działania instytucji ma znaczenie zewnętrzne, a w dodatku łatwiej poddaje się obserwacji, efekty widać na zewnątrz. Wiedza o związkach osobistych jest bardzo potrzebna członkom elity władzy, ale wobec ulotności i utajnienia tych związków — trud rzetelnego zdobycia tej wiedzy przez zewnętrznego obserwatora wydaje się przekraczać ewentualne korzyści z niej płynące.

19. Jeśli coś trudno ustalić, to nie znaczy, by nie należało tego robić. Jednak autorzy rozważań o frakcjach dość rzadko zdają sobie sprawę, że zajmują się folklorem politycznym, plotkami o życiu na szczytach partii, na Kremlu, wśród „gołębi” i „jastrzębi”, „liberałów” i „twardogłowych”.

20. Ten folklor bywał w krajach komunistycznych składnikiem świadomości politycznej, dziś raczej utrwała się go na Zachodzie w artykułach o krajach Wschodu. Folklorystyka jest cenną gałęzią wiedzy, ale jest to wiedza o tym, co się mówi, a niekoniecznie o tym, kto rządzi (co nie jest takie ważne) i co robi (co już jest ważne).

Marek TARNIEWSKI

Polska - Niemcy

KTO MNOŻY „REWIZJONISTÓW”

Uwagi o liście Aloisa Mertesa.

Jerzy Urban lubi wypowiadać się w imieniu społeczeństwa polskiego. 4 stycznia br. wyraził „oburzenie polskiego społeczeństwa” z powodu rewizjonistycznych roszczeń ministra stanu w bońskim MSZ, Aloisa Mertesa. „Rząd polski — twierdzi Urban — uważa takie wypowiedzi za łamanie porozumień z 1970 roku”. Komisja sejmowa potępiła w tymże dniu Mertesa za „stwarzanie nowych problemów, które mogą wysoce negatywnie zaciążyć na stosunkach Polski i RFN na całe „pokolenia”. Tak się dziwnie składa, że z opinii Urbana zgodziła się całkowicie Agencja TASS. Wreszcie z początkiem lutego w wywiadzie dla *Perspektyw*, opublikowanym w *Trybunie Ludu*, St. Olszowski orzekł pod adresem Mertesa, że „do chóru zawodowych ziomków, kwestionujących otwarcie ostateczny charakter naszej granicy zachodniej, dołączają się niektórzy przedstawiciele rządu federalnego w Bonn”.

Co się stało? Co o tym wie polskie społeczeństwo? Nie tylko zresztą tzw. przeciętny obywatel, ale nawet człowiek obeznany politycznie. Otóż nie wie nic, po prostu dlatego, że nie czytał ani odpowiedzi min. Mertesa na interpelację poselską Otto Lenza, ani kilku dokumentów uzupełniających, na które list ten się powołuje. Bardzo wątpliwe, czy zapoznali się z całością tej dokumentacji posłowie i ministrowie w PRL, którzy pośpiesznie zaliczyli dr Aloisa Mertesa do grona wściekłych „rewizjonistów”.

Sprawa jest ważna, jeśli przypomnimy, że przy zawarciu układu Polska-RFN 7 grudnia 1970 roku rządząca obecnie CDU była w opozycji. Obecnie dr Alois Mertes jest z ramienia CDU wiceministrem w resorcie kierowanym przez przywódcę koali-

Artykuł zamieszczony w 51-ym numerze z 12 marca KOS (pismo niezależne, ukazujące się poza cenzurą).

cyjnej FDP, Genschera. Jest on też doradcą kanclerza Helmutha Kohla i odgrywa ważną rolę w kształtowaniu nowej polityki zagranicznej CDU. Szczególnie zaś polityki wschodniej. Chrześcijańska demokracja pozostawała przez kilkanaście lat w opozycji, co wpłynęło na pewne usztywnienie jej koncepcji w polityce zagranicznej. Zmiana lub korekta tych koncepcji po objęciu władzy jest niezbędna, ale niełatwa, nawet ryzykowna, gdyż grozić może utratą wiarygodności w oczach wyborców, na co demokratyczna partia nie może sobie pozwolić. To trudne i delikatne zadanie dokonania niezbędnych korekt w koncepcji czy doktrynie zagranicznej CDU, m.in. w stosunkach z Polską, ciąży — o ile wiemy — właśnie na dr. Mertesie i z naszej strony należałoby więc śledzić jego wysiłki z należytą uwagą.

Pewnym, aczkolwiek nie jedynym, ostrożnym posunięciem w tym kierunku miał być ów list z 14 grudnia 1983 roku w odpowiedzi na interpelację poselską.

List Mertesa jest nader zawity i bez znajomości kilku uzupełniających dokumentów wręcz niezrozumiały. Zajmuje się dwoma aspektami sprawy polskich obszarów zachodnich za Odrą i Nysą: kwestiami etnicznymi oraz trudną dla CDU problematyką doktrynalną, konstytucyjną.

Zacznijmy od tej drugiej. Dr Mertes zadaje pytanie, czy formuła konstytucyjna o prawnym istnieniu Niemiec w granicach z 31 grudnia 1937 roku oznacza roszczenia, wykraczające poza zjednoczenie obu państw niemieckich i Berlina, po czym dla uzyskania odpowiedzi na to pytanie odsyła uważnych czytelników do pewnych publikacji. Wynikałoby z tego, że autor i reprezentowana przez niego partia oraz rząd federalny aprobuje wywody zawarte w tych publikacjach. Dla polskiego czytelnika szczególnie ciekawy jest niedawno opublikowany w FAZ artykuł prof. Wilhelma Grewe, wieloletniego ambasadora RFN w Waszyngtonie i przy NATO, w latach 1951-1954 przewodniczącego delegacji niemieckiej na konferencji pokojowej RFN z zachodnimi sojusznikami. Prof. Grewe, jako uczestnik obrad, w których ukształtowała się owa sławetna formuła prawna, ujawnia nieznanie uprzednio fakty i interpretacje. Zapewnia mianowicie, że przy formułowaniu owej doktryny ani strona niemiecka nie wysuwała roszczeń do obszarów za Odrą i Nysą, ani też nie było mowy o przyjęciu w tym względzie zobowiązań mocarstw zachodnich, które byłyby sprzeczne z układami z Jałty i Poczdamu. Prof. Grewe stwierdza też stanowczo, że preambuła do konstytucji RFN, zobowiązująca do dążenia „ku zjednoczeniu w wolności”, nie rozciąga się na obszary za Odrą i Nysą. Takie stanowisko zajmuje też Trybunał Konstytucyjny RFN. Wynika z tego, że — po pierwsze — rewizjonistyczne roszczenia wobec Polski nie mają i nigdy nie miały podstaw prawnych. Po drugie, nie ma żadnej współzależności, żadnego *unctim* między dążeniem do zjednoczenia Niemiec a jakimikolwiek roszczeniami wobec Polski.

Powołanie się min. Mertesa właśnie na artykuł prof. Grewe

stanowi, jeśli nie wyłom, to w każdym razie istotną korektę w sprawie znanej doktryny o stanie prawnym i o wynikających stąd konsekwencjach politycznych. Jest to korekta życzliwa dla polskich interesów.

Ale z listu Mertesa można także odczytać coś więcej. Interpretacja stanu prawnego odsunięta w nim została w ogóle na plan drugi, a na plan pierwszy wysuwa się aktualny stan etniczny panujący na polskich terenach zachodnich. Podstawowym sensem politycznym dokumentu jest przesunięcie ciężaru gatunkowego całej sprawy z dywagacji prawnokonstytucyjnych na prawo narodów do samostanowienia w granicach aktualnie przez nie zamieszkiwanych. Przytłaczającą większość ludności tych ziem stanowią Polacy, co w myśl prawa do samostanowienia narodów przesądza o ostatecznym charakterze polskiej granicy zachodniej. W liście Mertesa jest mowa o tym, że ziemie zachodnie w 90% zamieszkują Polacy, co nadaje im jednoznacznie polski charakter etniczny.

Polakom nie podoba się zawile, kazuistyczne liczenie niemieckiej mniejszości narodowej w Polsce. Zgodnie odrzucamy błędne twierdzenie, że za Niemców można uważać wszystkich byłych obywateli Rzeszy, a więc także Polaków, którzy w trudnych warunkach zachowali swą odrębność narodową i kulturową. Zresztą w liście Mertesa są także sformułowania osłabiające jednoznaczność takiej interpretacji pojęcia narodu. Można listowi Mertesa wytknąć błąd logiczno-matematyczny: jeśli pojęcie „Niemcy” definiowane jest według kilku różnych częściowo wykluczających się kryteriów, wówczas nie wolno tych zbiorów dodawać.

Gdyby więc nawet prezentowanie owych liczb o rzekomo poważnej niemieckiej mniejszości narodowej w Polsce stanowiło pewną osłonę, czy — dla pewnych środowisk — osłodę — w prowadzonym procesie korekt i zmian doktrynalnych, to jednak pozostaje faktem, że dla polskiego społeczeństwa były one zgrzytem, polityczną i psychologiczną niezręcznością. Wierzyć należy, że dostrzeżono to w otoczeniu kanclerza Kohla i że wie o tym obecnie także dr Alois Mertes.

Ale mimo to nie ma podstaw, aby zarzucać min. Mertesowi uprawianie antypolskiego rewizjonizmu. Rewizjonizmem w polityce międzynarodowej nazywa się kwestionowanie dokonanych po wojnie zmian granicznych i dążenie do rewizji granic. Otóż w liście Mertesa nie ma mowy o kwestionowaniu polskiej granicy zachodniej. Odwrotnie — są prezentowane przekonywujące dla niemieckiej opinii publicznej argumenty przeciw takim rozważaniom. Nie ma mowy o prawie przesiedleńców do powrotu, lecz o prawie osób, pragnących wyjechać z Polski, do wyjazdu, a to jest zupełnie coś innego. Nie są także rewizjonizmem rozważania do opieki konsularnej nad małymi grupkami osób uznających język niemiecki za ojczysty i pragnących zachować więź z kulturą niemiecką.

Polsce i polskiej racji stanu — na którą tak często powołuje

się ekipa gen. Jaruzelskiego — szkodzi sztuczne mnożenie rewizjonistów, szukanie ich także tam, gdzie znaleźć by można sojuszników. Mnożenie rewizjonistów niemieckich potrzebne jest Wielkiemu Bratu, po to by stawiać Związek Radziecki w pozycji gwaranta rzekomo „zagrożonej” granicy polskiej, by różnymi metodami izolować Polskę od Zachodu. Natomiast „mnożenie rewizjonistów” ze strony polskich czynników oficjalnych wywołuje echo niekorzystne dla Polski. Niektórzy politycy z organizacji przesiedleńczych w Niemczech zareagowali początkowo nerwowo i z niepokojem na list Aloisa Mertesa. Dopiero gwałtowna i jednoznacznie negatywna reakcja czynników rządowych w Warszawie pozwoliła im chwycić wiatr w żagle. Obok rozsądnych, wyważonych i wyrażających zrozumienie dla sprawy komentarzy we *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, pojawiły się też inne głosy. Przykładem negatywnych reakcji jest wystąpienie grupy konserwatywnych posłów CDU w parlamencie europejskim z wnioskiem o rozpatrzenie sprawy mniejszości niemieckiej w Polsce. To zaś z kolei ochoczo podchwyciła propaganda prasowa w Polsce. Tak powstał zamknięty obieg, natomiast istotne treści zawarte w liście Mertesa zeszły na plan dalszy.

W polityce zagranicznej władze suwerennego państwa starają się uważnie badać i analizować każdy dokument polityczny, aby wydobyć z niego treści dla swego kraju wygodne i korzystne. W liście Aloisa Mertesa nie brak takich treści i intencji; co wszakże nie znaczy, że dokument ten powinien być w Polsce rozważany bezkrytycznie. Okazało się jeszcze raz, że władze w Polsce nie są zainteresowane w rzetelnej i suwerennej analizie takich dokumentów. Najprościej i najbezpieczniej jest atakować w wypróbowany sposób imperialistów i rewizjonistów. Strasznie zaś własnego społeczeństwa rzekomymi zagrożeniami z Zachodu weszło obecnie ponownie do żelaznego repertuaru rządowej propagandy.

JUSTYN

Sytuacja Ukraińców w PRL

Latem spędziłam kilka tygodni wśród mniejszych i większych skupisk ukraińskich, rozrzuconych po Polsce i wyniosłam z tych spotkań dziwne wrażenia. Uderza stosunkowo duża ilość młodzieży, władającej swobodnie językiem ojczystym, poważnie zaangażowanej w działalność kulturalną i posiadającej wysoko rozwinięte poczucie świadomości narodowej. Jest to tym bardziej godne pochwały że, jak twierdzą ci młodzi ludzie, szkolnictwo ukraińskie w PRL jest słabo rozwinięte i stale ulega ograniczeniom przez władze. Wydaje się, że większe znaczenie

ma tu właściwe wychowanie w rodzinie i samorzutne tworzenie się młodzieżowych grup środowiskowych. Młodzież ukraińska nauczyła się żyć swoim odrębnym stylem. Zabawy, imprezy towarzyskie, np. imieninowe czy urodzinowe, są częste i mają specyficzny charakter. I Ukraińcy dużo piją, jak nieomal wszyscy w Polsce, ale jest więcej śpiewu i to na wysokim poziomie.

Z dumą opowiadali mi o swojej największej imprezie kulturalnej: Festiwalu Ukraińskich Zespołów Artystycznych w Sopocie w dniach bodajże 9 i 10 lipca 1983. Wzięło w nim udział około 30-tu zespołów, w sumie prawie 500 wykonawców. Z najczęściej wymienianych zapamiętałam chór męski „Żurawli” („Żurawie”) — 60 osób, zespoły Liceum Ukraińskiego w Legnicy — 100 osób, chór ludowy „Werchowyna” z Białego Boru na nizinie koszalińskiej (jest tam wielu Ukraińców swego czasu deportowanych z Łemkowszczyzny albo, jak teraz u nas się mówi, z Bieszczadów), zespół łemkowski „Łemkowyna”, zdaje się, że ze Włókna spod Gorlic. Niestety nie wolno było nagrać tych koncertów na płyty, choć organizatorzy bardzo się o to ubiegali. Przez dziesięć lat istnienia chóru „Żurawli” w PRL wydano im tylko jedną płytę! Dwie płyty (kopie) wydano podobno w Stanach Zjednoczonych. Młodzież była festiwalem zachwycona. Starsi są sceptyczni. Opowiadali mi, jakie trudności trzeba było pokonać. Najpierw ustalono termin na 2 i 3 lipca, ale kiedy wszystko było już zapięte na ostatni guzik, władze oświadczyły, że impreza nie może się odbyć w Sopocie, bo w Gdańsku w tym samym czasie odbędzie się spotkanie aktywu partyjnego. Decyzję tę zakomunikował jakiś oficer; wojskowi prawie po rasiotowsku nienawidzą Ukraińców. Ludzie drugiej klasy nie mają prawa spotykać się w tym samym czasie, kiedy w pobliskim mieście spotykają się aktywiści narodu pierwszej klasy. Taka jest rzeczywistość w dzisiejszej PRL.

Nie wiadomo więc, czy taki festiwal sztuki ludowej jeszcze kiedyś w ogóle się odbędzie. Zresztą ograniczenia widać wszędzie. Tygodnik ukraiński *Nasze Słowo* to, w ocenie samych Ukraińców, anemiczne piśmko bez poziomu i polotu. Ukraińskie wydawnictwa pozacenzuralne nie istnieją. Próby aktywniejszych kręgów młodej inteligencji, mające na celu stworzenie w czasach „Solidarności” ukraińskiej niezależnej prasy, jak np. czasopisma *Apatryd*, należą do przeszłości.

Dopiero za czasów „Solidarności” zaczęto w Polsce szerzej dostrzegać istnienie Ukraińców jako mniejszości narodowej. Było stosunkowo sporo publikacji w różnych czasopismach, głównie katolickich, młodzieżowych i studenckich. W uchwałach Zjazdu „Solidarności” zaakcentowano potrzebę zapewnienia mniejszościom narodowym swobodnego rozwoju kulturalnego. I w obecnej prasie podziemnej temat ukraiński jest poruszany. Sama czytałam niedawno w poważnym miesięczniku politycznym *Niepodległość* obszerny artykuł pt. „Polacy w kwestii wschodniej”, w którym omawiano w przyjaznym tonie sprawę kształtowania stosunków z sąsiadami.

Stosunkowo rzadko zdarzało mi się słyszeć o Ukraińcach zaangażowanych w ruch „Solidarności”. Jako najbardziej znaną postać wymienia się Władysława Frasnyniuka z Wrocławia, aresztowanego przez SB już w okresie stanu wojennego. Mówili mi Ukraińcy we Wrocławiu: *Baczyte pani i z naszych wyjszty jaki wojujut' za swobody waszu i naszu*. W okresie „Solidarności” — jak opowiadają mi znajomi Ukraińcy — władze załatwiły pozytywnie więcej spraw dla Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego niż w ciągu całego poprzedniego dziesięciolecia. Stwierdził to już po ogłoszeniu stanu wojennego prezes Towarzystwa, Kochan, którego żaden Ukrainiec nie podejrzewa o sympatie dla „Solidarności”. Pomawiano go o to, że jest oficerem Służby Bezpieczeństwa i że jako były pracownik aparatu partyjnego skrupulatnie realizuje w Towarzystwie zalecenia „odgórne”. Na początku stanu wojennego powołał komisję do przeprowadzenia czystki wśród niewygodnych członków: do wyrzucenia z Towarzystwa zakwalifikowano około 30 osób. Usiłowano stworzyć klimat nagonki.

Ale akcja pacyfikacyjna tylko częściowo udała się prezesowi. Wyrzucono z Towarzystwa jedynie dwóch członków — Sycza i Kozubala w Olsztynie. Pod presją Kochana to ongiś najprężniejsze środowisko musiało osłabić swą działalność. Znamiennym przykładem wspomnianej nagonki była konkretna akcja zastraszania młodego naukowca w Krakowie, Włodzimierza Mokrego. Jako zarzut posłużył fakt, że jego artykuły na tematy ukraińskie w okresie „Solidarności” ukazywały się w *Tygodniku Powszechnym*. Jednak walka podjazdowa nie udała się. Dr Mokry pozostał przewodniczącym krakowskiego oddziału Towarzystwa.

Ukraińcy twierdzą, że dyskryminacja ze strony władz nasiliła się od wprowadzenia stanu wojennego. Np. jesienią 1982 roku młodzież ukraińska zorganizowała w Gdańsku imprezę pod nazwą „Młodzieżowy jarmark”. Po występach artystycznych miała się odbyć zabawa taneczna. W ostatniej chwili władze Uniwersytetu Gdańskiego (gdzie miał miejsce „Jarmark”) cofnęły zezwolenie na zabawę — podobno na skutek telefonu z góry. Kilku młodych ludzi, którzy zjechali się z całego kraju, musiało koczować całą noc na dworcu czekając na pociągi. Większość społeczeństwa ukraińskiego jest zdezorientowana i przestraszona. W SB stale działają wydzielone komórki do spraw mniejszościowych — głównie Ukraińców.

Jaruzelski w referacie, wygłoszonym w 1983 roku w Katowicach ni stąd ni z owąd zaatakował emigrację ukraińską i działalność UPA w czasie wojny, odpowiednio wyolbrzymiając i wypaczając sprawę. Jaki to miało sens i związek z obecną rzeczywistością, nikt nie był w stanie dociec, zresztą nie wynikało to z referatu generała.

Przyczyny dyskryminacji i ucisku Ukraińców w PRL są różne. Na zdrowy rozsądek władza nie powinna stwarzać sobie dodat-

kowego problemu i mogłaby pozostawić Ukraińcom dużo więcej swobody w kształtowaniu swojego życia kulturalnego. Kilkaset tysięcy Ukraińców w Polsce nie stanowi przecież żadnego zagrożenia dla totalitarnej władzy. Polska racja stanu nie wymaga dyskryminacji mniejszości narodowych. A jednak dyskryminacja istnieje i stale wzrasta.

Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest niewątpliwie zależność władzy od Moskwy. Oczywiście, że Moskwie zależy na tym, aby w bezpośrednim sąsiedztwie Ukrainy, która jest obiektem nieubłaganej rusyfikacji, nie rozwijał się żaden niezależny ruch ukraiński. Wykonywanie moskiewskich poleceń przez polski aparat wojskowo-partyjno-administracyjny nie nastęrcza trudności. Istniejąca po dziś dzień wśród dużej części społeczeństwa polskiego niechęć do Ukraińców, wynikająca z dawnych waśni i intensywnie podsycana przez reżymową propagandę w całym powojennym okresie, ułatwia wykonywanie tych poleceń. Nietrudno więc zrozumieć, że na wszystkich szczeblach aparatu znajdują się gorliwi wykonawcy życzeń Moskwy. Są oni przekonani, że nie pozwalając Ukraińcom „podnieść głowy” działają dla dobra Polaków. Stąd też rośnie konieczność i waga krzewienia współpracy z Ukraińcami w wolnym świecie. Stąd moje gorące życzenie, aby *Kultura* dalej szła drogą wytyczoną przez niezapomnianego Mieroszewskiego.

Zofia S.

Czarna lista

Następujące osoby podpisały „Deklarację programową Związku Polskich Malarzy i Grafików”, w której uznaje się „realia społeczno-polityczne naszego kraju” oraz winą za rozwiązanie ZPAP obarcza „część byłego kierownictwa Związku”.

Ich nazwiska: Jan Aniserowicz, Kiejstut Bereźnicki, Olgierd Bierwiazczonek, Włodzimierz Buczek, Edmund Burke, Halina Centkiewicz, Czesław Ciapało, Tadeusz Ciesiulewicz, Maria Dawska, Stanisław Dawski, Jerzy Duda-Gracz, Edward Dwurnik, Tadeusz Eysymont, Andrzej Fogtt, Wiesław Garboliński, Władysław Hasior, Władysław Jackiewicz, Jan Karczewski, Anatol Korzuń, Helena Krajewska, Włodzimierz Łajming, Mieczysław Majewski, Jerzy Mazuś, Stanisław Mazuś, Leon Michalski, Józef Młynarski, Maciej Modzelewski, Andrzej Nowacki, Stanisław Poznański, Mieczysław Romańczuk, Erna Rosenstein, Ewa Semil, Andrzej Skoczylas, Hieronim Skurpski, Artur Starczewski, Halina Stec, Jan Świdorski, Mieczysław Wejman, Bronisława Klimowska, Marian Wodzisławski, Maria Wollenberg-Kluza, Jerzy Zabłocki, Jan Ziemiński.

Wzywamy do ścisłego bojkotu wyżej wymienionych członków-założycieli SPAMIG: do bojkotu towarzyskiego, odmowy wszelkiej współpracy z nimi

i współdziału w jakichkolwiek imprezach, bojkotu ich wystaw indywidualnych.

Redakcja „Kultury Niezależnej”
KOS, nr 51 z 12 marca 1984.

W osławionym więzieniu w Barczewie siedzą: Jerzy Bednarz, Władysław Frasyniuk, Stański, Szeremietiew, Andrzej Słowik. Domagają się oni praw więźniów politycznych. Bednarz i Słowik ogłosili głodówkę i są sztucznie dokarmiani w sposób niezmiernie brutalny, pozostali zostali skazani na miesiąc izolatki.

Szczególnie wyróżniają się nieludzkim traktowaniem więźniów następujący „klawisze”: 1. Antoni Lewandowski — Barczewo, ul. Nadworcowa; 2. Jerzy Lisowski — Barczewo, ul. Krótka 4/3; 3. Zdzisław Siemiaszko — Barczewo, ul. Krótka 4/2; 4. Zdzisław Słoń — Barczewo, ul. Wojska Polskiego 18/10; 5. Ryszard Jakubaszek — Barczewo, ul. Osiedle Słoneczne 13/5; 6. Kazimierz Olechowski — Barczewo, ul. Osiedle Słoneczne 11/20; 7. Hilary Kuza — Olsztyn, ul. Orłowa 35/11; 8. kpt. Łuciuł — zastępca naczelnika.

Z „grypsu” Andrzeja Słowika z 13 kwietnia 1984.

K.W. MO w Katowicach stała się znana z wyjątkowo bestialskiego traktowania aresztowanych i internowanych. Komendantem tej Komendy jest płk. Grubba (KOS, Nr 52 z 26 marca 1984 roku).

„ORZEŁ BIAŁY”

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM
Wydaje STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW
Redaktor J. Kowalewski

Adres Redakcji i Administracji:

240 King St., London W6 ORF, England

Numer majowy — 40-lecie Bitwy o Monte Cassino.

Cena egzemplarza: £ 1,50, \$ 4,50, F.F. 15,00.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń w każdym numerze.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

23 maja upłynie 100 dni „ery Czernienki”. Nowy „przywódca” (dzisiejsza nazwa „wodza”) konsekwentnie kontynuuje politykę swego poprzednika, dodając jedynie pewne indywidualne niuanse. W tegorocznym pochodzie pierwszomajowym na przykład portrety Czernienki były znacznie większe niż w ubiegłym roku portrety Andropowa. Czernienko nie chce czekać: atrybutów „przywódcy” domaga się natychmiast: w gazetach i na zebraniach za sukcesy dziękuje się teraz „osobiście towarzyszowi Konstantynowi Czernience”. Młodzi robotnicy zapewnają „przywódcę”, że natchnieniem jest dla nich: „Wasza świetlana droga życiowa, Konstantynie Ustinowiczu”. Zważywszy, że nie tylko młodzi, ale także starzy robotnicy oraz nie-robotnicy powtarzają na zebraniach to, co im napisano w odpowiednich urzędach, zwrot „świetlana droga życiowa” stosowany dla określenia kariery Czernienki — który przez pięćdziesiąt lat przesiadał się z jednego stołka na drugi (zawsze po linii partyjnej) — jest metaforą nie gorszą niż te, których używano za czasów Stalina.

Jednak indywidualne cechy charakteru Czernienki nie wpływają na jego politykę: zainicjowana przez Andropowa zdecydowana konfrontacja ze Stanami Zjednoczonymi dosięgła w ciągu ostatnich trzech miesięcy poziomu lat 1950-1953. Represje w ZSSR zdecydowanie się zaostrzają. Ataki na Andrieja Sacharowa, który 2 maja rozpoczął głodówkę, oskarżenie jego żony Heleny Bonner o działalność antysowiecką są pokazowym wyzwaniem rzuconym całemu światu. Jednocześnie sądy sowieckie ferują tak surowe wyroki, jakich Związek Sowiecki nie znał od trzydziestu lat. Skazuje się znowu potencjalnych wrogów. Na początku maja np. skazano na dwanaście lat literaturoznawcę Michaiła Meilacha, którego jedyną winą jest to, że zachodnie czasopisma fachowe publikowały jego opracowania, dotyczące poezji trubadurów.

Represje wewnętrzne są odbiciem konfrontacji w polityce za-

granicznej. Przegrawszy bój o rozmieszczenie Pershingów w Zachodniej Europie, Andropow natychmiast wyznaczył nowy cel: doprowadzić do porażki Reagana w wyborach prezydenckich. Do osiągnięcia tego celu Czernienko dąży wszystkimi siłami. Temperatura kampanii antyamerykańskiej podniosła się do dawno nie widzianego poziomu. Prezydenta USA obrzuca się oficjalnie najgorszymi wyzwiskami, porównując go wręcz z Hitlerem. W „dyrektywach KC KPZS” na 1 maja — wykazie głównych zadań na najbliższych sześć miesięcy — KC KPZS wzywa wszystkie narody świata do walki z imperializmem amerykańskim. Za główne ogniska niebezpieczeństwa „dyrektywy” uznały Azję, Afrykę, Amerykę Łacińską i Europę. To na tych kontynentach należy najsilniej uderzać w Stany Zjednoczone (*Prawda* z 15 kwietnia br.).

Represyjna polityka wewnątrz ZSSR zbiega się z jego agresywnością w polityce zagranicznej. Moskwa chce wpłynąć na tę część amerykańskiej opinii publicznej, która atakuje Reagana, przypisując mu winę za zaostrzenie polityki sowieckiej. Tok rozumowania przywódców moskiewskich jest jasny: im ostrzejszy kurs Moskwy, tym ostrzej będzie musiał nań odpowiadać prezydent USA, i tym mniej stanie się popularny.

W kwietniu armia sowiecka zaczęła kolejne natarcie w Afganistanie, stosując nową broń: ciężkie bombowce i wojska desantowe. W maju Związek Sowiecki oświadczył, że nie weźmie udziału w Igrzyskach Olimpijskich. Przygotowywana od dawna wizyta wicepremiera Archipowa w Pekinie została odroczone.

Podczas „spotkania z robotnikami moskiewskiej fabryki metalurgicznej 'Sierp i młot'” Czernienko raz jeszcze ostrzegł Zachód: „W związku z zaostrzeniem sytuacji międzynarodowej do KC KPZS nadchodzi dużo listów, których autorzy proponują przedłużenie tygodnia roboczego i stworzenie funduszu obrony kraju”. Listy proponują więc definitywne przestawienie kraju na wojenne tory. Generalny sekretarz wielkodusznie zrezygnował z propozycji, dziękując patriotom, i oświadczył, że jak na razie kraj może się obejść „bez proponowanych środków”. Ponieważ jednak zgoda ludu pracującego już jest zapewniona, partia może — jeśli uzna to za potrzebne — natychmiast przestawić cały kraj na gospodarkę wojenną. Wszystko zależy od dobrej woli moskiewskich wodzów. W słynnym sowieckim dowcipie Krupka opowiada, jaki Lenin był dobry. Golił się kiedyś brzytwą, kiedy podszedł do niego mały chłopczyk, mówiąc: — Dzień dobry, wujku Leninie. — Paszoł won! — ryknął Lenin. — A miał brzytwę, mógł go zarznąć... komentuje Nadięda Konstantinowna.

Ucinając wszelkie złudzenia co do ewentualnego „złagodzenia” sowieckiej polityki, odmawiając jakichkolwiek rozmów, które mogłyby doprowadzić do kompromisu, Moskwa dyktuje swoje warunki. Niektórzy komentatorzy zachodni uważają dzisiejszą politykę Moskwy za powrót do stalinowskiej koncepcji „obłożonej twierdzy”. Jednak w rzeczywistości nie ma żadnej analogii: potęga wojskowa ZSSR za czasów Stalina i dziś nie da się nawet

porównać. Dziś Związek Sowiecki naciera na całym obszarze kuli ziemskiej — socjalizm, jak głosi formuła, stał się systemem ogólnosiwiatowym. Dlatego też K. Czernienko groźnie ostrzega: „Czerwiec 1941 roku się nie powtórzy. Każdego agresora doścignie natychmiastowa kara. Niechaj wszyscy o tym wiedzą — i przyjaciele, i wrogowie”.

Kiedy Czernienko groził całemu światu, do Moskwy zjeżdżali się przyjaciele. Kwiecień i pierwsza dekada maja upłynęły pod znakiem Polski: odbył się „tydzień kultury polskiej” z udziałem „wybitnych polskich literatów, pracowników sztuki i działaczy społecznych”, tow. Czernienko osobiście wręczył order Lenina gen. Siwickiemu, potem przyjechał pierwszy sekretarz KC PZPR, prezes Rady Ministrów PRL W. Jaruzelski, zjadł obiad na Kremlu, został odznaczony orderem Lenina, a następnie podpisano „długofalowy program” współpracy ekonomicznej i naukowo-technicznej do 2000 roku.

Podpisany przez Czernienkę i Jaruzelskiego program określa charakter gospodarki polskiej na początek trzeciego tysiąclecia. Znaczenie jego polega nie tylko na tym, że polska gospodarka narodowa zostaje nierozzerwalnie związana z sowiecką (z perspektywą dalszej „integracji”), lecz przede wszystkim na ustaleniu strategii rozwoju polskiej gospodarki jako elementu sowieckiej maszyny wojennej.

Najważniejsze wydarzenie sowieckiej historii ostatniego dziesięciolecia nie zostało wspomniane w gazetach. Nie zostało też nigdy wprost sformułowane. Byłoby to trudne, gdyż wydarzenie polegało na wyjściu z grupy uczestników trzeciej rewolucji przemysłowej i odmowie wejścia w „erę komputerów”. Właśnie ta decyzja spowodowała agresywność polityki sowieckiej i zaostrezenie represji wewnątrz kraju. Zachodni eksperci doszli ostatnio do wniosku, że pora już zrewidować wyobrażenia o poziomie nauki, techniki i technologii w ZSSR, którego nie docenili. Jest on — ich zdaniem — znacznie wyższy niż przypuszczali. Dowodem na to mają być sukcesy kosmonautów sowieckich i broni sowieckiej. Eksperci nie biorą pod uwagę faktu, że technika rozwija się w Związku Sowieckim w bardzo wąskich dziedzinach, związanych z wojskowością. Najbardziej charakterystyczną cechą gospodarki sowieckiej jest mur, jaki wznosi się między ekonomią wojskową i ekonomią cywilną. Celem sowieckiego modelu gospodarczego nie jest zaspokojenie potrzeb ludności, ale karmienie maszyny wojennej.

„Długofalowy program” poświęca szczególną uwagę rozwojowi czarnej metalurgii i przemysłu ciężkiego — tzn. tym działom gospodarki, które szybko tracą znaczenie we współczesnym świecie. „Program” jest wyrazem strategii sowieckiej. Sekretarz KC KPZS W. Dołgich przedstawił na uroczystym posiedzeniu z okazji rocznicy urodzin Lenina drogi zmierzające do „zrealizowania rozwiniętego socjalizmu”, podkreślając z naciskiem, że należy koniecznie kierować się „wskazówką Lenina, że podniesienie wydajności pracy wymaga przede wszystkim... rozwoju produkcji pa-

liwa, żelaza, budowy maszyn, przemysłu chemicznego”. Wskazówka ta, oświadcza W. Dołgich, „jest aktualna i dziś” (*Prawda* z 21 kwietnia br.).

Podobnie jak przemówienie sekretarza KC, podpisany przez Czernienkę i Jaruzelskiego dokument zwraca uwagę na „mikroelektronikę, technikę robotów, giętkie, zautomatyzowane systemy produkcji”. Trzeba jednak wiedzieć co Moskwa rozumie pod tymi pojęciami. Termin „robot domowy” oznacza w sowieckim języku pralkę. Francuski ekonomista Basile Kerblay stwierdza, że na początku 1983 roku tylko 25 % wyprodukowanych w ZSSR pralek było półautomatycznych, które we Francji wyszły z użycia kilka lat temu jako beznadziejnie przestarzałe (*L'autre Europe* nr 1, 1984). Wiceminister handlu zagranicznego ZSSR oświadczył w maju 1984 roku, że najlepszy sowiecki elektroluks „Audra” waży półtora kilo więcej niż japoński, choć jest odeń o wiele słabszy. Dowcipy o „największych na świecie sowieckich tranzystorach” dawno już ujawniły stosunek zwykłego sowieckiego obywatela do techniki sowieckiej.

Decyzję o nieprzystąpieniu do rewolucji naukowo-technicznej podjęto zapewne w momencie, kiedy rewolucja ta przeszła do kolejnego etapu, zwanego „skokiem w informatykę” — tzn. kiedy pojawiły się mikrokomputery i komputery domowe. Już sam termin „skok w informatykę” wyjaśnia, dlaczego ZSSR nie przyjął nowych odkryć — informacja jest monopolem władzy, pod ochroną tajemnicy i kłamstwa.

Pozostaje problem przemysłu wojskowego. Rozwiązano go prosto i jak na razie dość skutecznie. Dla potrzeb wojskowych zakupuje się lub kradnie najnowszą technikę zachodnią. Francuski specjalista od tych kwestii Henri Reignard pisze: „Związek Sowiecki ma trzy główne drogi zdobywania zachodniej technologii i informacji: legalnie — drogą handlu, wymiany naukowej, konferencji, publikacji itp.; nielegalnie — poprzez przemyt, używanie krajów trzecich dla obejścia embargo, wykorzystywanie technologii cywilnej dla celów wojskowych itp.; lub tajne przechwytywanie informacji przez agentów albo przy pomocy technicznych środków wywiadowczych”. Henri Reignard szczegółowo opisuje gigantyczną maszynę, zajmującą się zdobywaniem technologii; kieruje nią specjalny wydział KC, a zarządza komisja wojskowo-przemysłowa przy Radzie Ministrów.

„Długofalowy program” nie mówi, czy Polska będzie miała dostęp do najnowszej technologii, którą zdobędzie Moskwa. Nie wiadomo, do jakiego punktu dojdzie współpraca w tej dziedzinie. „Program” nie pozostawia wątpliwości, że Polska stanowi część martwej strefy, w której zatrzymano czas.

Świąteczny nastrój wizyty Jaruzelskiego ma uspokoić ludzi sowieckich: wszystko wróciło do normy, wszystko jest niemal w porządku. Jeszcze w zeszłym roku gazety sowieckie pisały o „prowokatorach”, usiłujących zakłócić pierwszomajowy pochód w Warszawie. W tym roku ani słowa. Co nie znaczy, że zapo-

mniano o epoce „Solidarności”. Nadszedł jednak czas „poważnych” badań, analiz, ocen i wniosków.

Na początku 1984 roku ukazała się 251-stronicowa książka, zatytułowana drastycznie i intrygująco „Krach operacji Polonia”. Autorem dzieła, które pretenduje do wyczerpującego wyjaśnienia fenomenu „Solidarności”, jest sowiecki dziennikarz i kandydat nauk filozoficznych, Wadim Trubnikow, który książkę swą pisał w wolnych chwilach, gdyż jego głównym zajęciem jest redagowanie czasopisma *Socjalizm: teoria i praktyka*. Książkę wydała agencja Nowosti. Powyższe informacje właściwie wystarczają dla wyobrażenia sobie, co to za dzieło. Są w nim jednak pewne elementy interesujące z punktu widzenia psychologicznego.

Książka Trubnikowa nosi podtytuł „studium dokumentalne”. Mogłoby to sugerować, że w „Krachu operacji Polonia” wszystko oparte jest na dokumentach, czyli że mamy do czynienia z najczystszą prawdą i tylko prawdą. Tymczasem w postwoju czytamy: „Polski dramat 1980-1981 roku szykowano od dawna... Jednak przy każdej odpowiedniej czy nieodpowiedniej okazji Waszyngton głośno oświadczał, że nie ponosi żadnej odpowiedzialności za pogłębianie kryzysu w PRL”. Trubnikowowi trudno było obalić to twierdzenie, aż tu w lutym 1983 roku „hiszpańska gazeta *Tiempo* opublikowała supertajny dokument „Amerykańskiego planu destabilizacji Polski”. „Supertajny plan” sporządził dobrze znany czytelnikom sowieckim wystannik diabła Zbigniew Brzeziński, a zatwierdził go prezydent Carter. Wadim Trubnikow nie ukrywa: „ogłoszenie w hiszpańskiej gazecie *Tiempo* amerykańskiego planu destabilizacji Polski ułatwiło mi pracę nad tą książką”. Wszystko się skryształowało — domysły i hipotezy potwierdzili osobiście Zbigniew Brzeziński i Carter. „Brakujące ogniwo w łańcuchu dowodów zostało nareszcie znalezione”. Pozostawałoby tylko cieszyć się wespół z Trubnikowem, że potrzebny dokument wpadł mu w ręce we właściwym momencie, gdyby nie drobny szczegół: „supertajny dokument” jest fałszerstwem, sporządzonym w wydziale dezinformacji KGB i zdemaskowanym jako fałszerstwo. Istnieją wszelkie podstawy by sądzić, że gazeta *Tiempo* właśnie z rąk agencji Nowosti dostała „brakujące Trubnikowowi ogniwo”.

Zawsze można się oczywiście spierać, czy dokument istniał, czy nie. Trubnikow jednak popełnił błąd, stwierdzając coś, co łatwo sprawdzić. Piszę on tak: „Waszyngton nie zdementował madryckiej publikacji” (str. 12). Otóż Wadim Trubnikow bezczelnie łże. „Supertajny plan” został opublikowany w *Tiempo* 7 lutego. Amerykański Departament Stanu natychmiast oświadczył, że jest to fałszerstwo. 16 maja *Tiempo* zamieściło list Zbigniewa Brzezińskiego, potwierdzający, że dokument jest sfałszowany.

W oczach Wadima Trubnikowa wszystkie wydarzenia lat 1980-1981 były wynikiem przygotowanego w Waszyngtonie, a zrealizowanego przez garstkę wrogów spisku. Za granicą „operacją Po-

lonia”¹ sterowała *Kultura*, potężny i groźny wróg mocarstwa sowieckiego, zaś wewnątrz Polski wszystkie nici spisku skupiła w swych rękach „najbardziej złowieszczą organizacją polskiej kontrrewolucji — KPN”. Bezpośrednimi wykonawcami spisku byli „szara eminencja KSS 'KOR' Modzelewski”, „jedna z najbardziej złowieszczych (to słowo bardzo się Trubnikowowi spodobało — A.K.) postaci w dziejach polskiej kontrrewolucji — Michnik” oraz kilku innych, wśród nich Lech Wałęsa, który się zaprzędał za milion dolarów (o nagrodzie Nobla Trubnikow nie wspomina).

Książka jest interesująca dlatego, że obnaża psychologię ideologów sowieckich: wizja spisku i działalności wywrotowej jest jedynym dostępnym im instrumentem analizy. W innych kategoriach myśleć nie potrafią. Nawet trudności ekonomiczne, z którymi borykała się Polska pod koniec lat 70-tych Trubnikow tłumaczy wyłącznie spiskiem — „pułapką kredytową”. Zapomniano o czasach, w których używano pojęcia „walki klasowej” itp. Dziś sowieccy ideolodzy widzą w świecie same spiski, tajne służby, Żydów i masonów. Nie ulega wątpliwości, że takie spojrzenie na świat wiele tłumaczy z sowieckiej polityki, starającej się posługiwać tajną bronią. Jeden z głównych doradców Breżniewa, akademik Arbatow, wygłosił w Paryżu odczyt, na którym otwarcie uprzedził: „Nigdy nie należy przeceniać racjonalności postępowania przywódców sowieckich” (*Le Monde* z 12 maja br.).

Sporządziwszy fałszywe dokumenty, sowieccy propagandyści zaczynają sami w nie wierzyć. „Udokumentowane” dowody, argumenty, przykłady którymi posługuje się Trubnikow, nie są tylko jego własnością. Jest to gotowy zestaw, z którego mają czerpać wszyscy piszący o Polsce. Z zestawu tego korzystał m.in. kierownik wydziału propagandy KC KP Białorusi, Sawielij Paulau, który opublikował w piśmie *Połyimia* (nr 1, 1984) opracowanie zatytułowane „Pocałunek Judasza”. Jest to — jak twierdzi autor — pamflet (na 24 stronicach!) demaskujący „Solidarność”, KSS „KOR” itd. Białoruski propagandysta doskonale zna „supertajny dokument niezawodnego Zbigniewa Brzezińskiego”, zna i inne tajemnice. Ma on jednak ambicje literackie (pamflet!), dlatego, wykorzystując tę tajną broń, okrasza dokumenty własnymi wspomnieniami, opisuje np., jak ze swym wiernym przyjacielem Januszem, docentem Uniwersytetu „Krakowskiego” (który zostanie z czasem profesorem) uczestniczył w podziemnym wykładzie Uniwersytetu Łatającego: prowadził go „duchowy wódz polskich elementów trockistowskich i ideologicznych kameleonów” Jacek Kuroń. Autor objaśnia, że — jak udało mu się ustalić — strajki w Polsce wybuchały na znak protestu klasy robotniczej przeciw temu, że — do nadejścia Jaruzelskiego — za mało było w Polsce socjalizmu.

1. Autorem formuły „operacja Polonia” jest portugalski dziennikarz Michel Urban Rodriguez, autor książki, której tytuł nie pozostawia wątpliwości co do przynależności partyjnej autora: „Polska i Afganistan. Imperialistyczne okrzyknięcie i dezinformacja”. Książka ukazała się w Lizbonie w tym samym czasie, w którym *Tiempo* ogłosiło „supertajny plan”.

Na zakończenie Sawielij Paulau objaśnia zagadkę, która nie przestaje nurtować wielu ludzi — zagadkę zamachu na papieża. Wierny Janusz przyjeżdża na Białoruś z wykładami — i opowiada co zaszło. Po pierwsze wybranie kardynała Wojtyły na papieża było dziełem Brzezińskiego. Po drugie, kiedy oszołomiony Paulau oponuje, bo jak w takim razie Turek Agca mógł być agentem CIA, Janusz tłumaczy, że po wyborze Wojtyły nie całym spełnił oczekiwania Brzezińskiego i ten zdecydował się go zlikwidować.

Dla sowieckiego czytelnika wszystko to brzmi całkiem logicznie.

Adam KRUCZEK

12 maja 1984

Kronika niemiecka

Wymiana towarowa PRL-NRD w 1983 roku przekroczyła o 5% ustalenia protokołu handlowego. Według szacunkowych obliczeń dostawy towarów w 1984 roku wzrosną o dalsze 9%. Przyjęte w sierpniu 1983 roku ustalenia na najwyższym szczeblu wyraźnie zaktywizowały współpracę gospodarczą i naukowo-techniczną. Oba kraje poszukują możliwości wspólnych działań w zakresie zmniejszenia zależności od importu z państw *Wspólnoty Europejskiej*. ■ Pod koniec 1983 roku na studiach dziennych w NRD było 330 polskich studentów, na doktoranckich — 73 osoby. W latach 1979-1981 na staże i praktyki naukowe wyjechało do RFN — 5.299 obywateli PRL. ■ Czasopismo *Marginalien*, wychodzące od roku 1957 w NRD — wydało polski zeszyt. Przynosi on możliwie pełny zarys tradycji i teraźniejszości bibliofilstwa polskiego. Zeszyt otwiera esej prof. Aleksandra Gieysztorza *O godności książki w Polsce*. Łącznie polski zeszyt *Marginalien* ma ponad 100 stron objętości. Zdobi go pełna smaku szata graficzna. ■ Problematyka niemożności była tematem sesji naukowej *Instytutu Śląskiego* w Opolu. Uczestnicy podkreślili, że „porządek jałtański-poczdamski i pokój nie są dane raz na zawsze i o ich utrzymanie trzeba walczyć za pomocą rozsądnej polityki” (*Trybuna Ludu*). ■ Pani Simone Veil, dwukrotny minister za prezydentury Giscarda d'Estaing, a później przewodnicząca *Parlamentu Europejskiego*, wypowiedziała się na łamach *Die Welt* jednoznacznie nie tylko za koniecznością zjednoczenia Niemiec, ale również za rewizją Jałty („być Europejką, oznacza bronić interesów niemieckich podobnie jak francuskich”). Podziela te poglądy André Glucksmann. ■ W Polsce przebywała Elisabeth Erb, przewodnicząca *Fundacji im. Maksymiliana Kolbe*, powstałej we Fryburgu Bryzgowijskim (RFN) w 1973 r. *Fundacja* stawia sobie za cel udzielanie materialnego wsparcia Polakom — byłym więźniom obozów koncentracyjnych i ich rodzinom. Z okazji tej wizyty PRL-owska prasa oficjalna po raz pierwszy wzmiankowała o działalności tej *Fundacji*. ■ Za malowanie na murach hasła SS-20? — *Nie, dziękujemy* — skazano w Erfurcie (NRD) czterech 18-latków na kary 5 do 8 miesięcy więzienia. ■ W RFN przebywał redaktor naczelny *Polskiej*

Agencji INTERPRESS, Stanisław Głabiński (wydalony z USA w 1982 roku korespondent *Trybuny Ludu*), który wraz z prezesem radiostacji *WDR*, von Sellem podpisał umowę o współpracy; podpisano również umowę *INTERPRESSU* z II programem *TV* — *ZDF*. Dziwnie to wygląda na tle informowania przez obie radiostacje o bojkotowaniu przez polskich artystów i dziennikarzy rodzimych rozgłośni radiowo-telewizyjnych. Życzymy owocnej współpracy... ■ Nakładem wydawnictwa *MON* ukazała się w Warszawie praca Stanisława Cholewiaka — *Nacjonalizm w partiach zachodniemieckich. CDU, CSU, FDP w latach 1949-1974*. Autor jest pracownikiem naukowym *Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych*. ■ Organ *Ziomkostwa Ślązaków Der Schlesier* (tuba dra Herberta Hupki) twierdzi, że „bezki bez dna są produkcji polskiej” i wyraża zaniepokojenie („chęć nas polonizować”) z powodu ogłoszeń matrymonialnych, w których „1000 Polek” wyraża chęć zamążpójścia w RFN. Autorom *Der Schlesiera* dedykujemy *Studenta-zebraka* Karla Millöckera... ■ Firma *AGPOL* (Warszawa) jest jednym z najpoważniejszych udziałowców (500 tys. DM) zakładów poligraficznych *Plambeck und Co.* w Neuss (Nadrenia-Westfalia), nadzorowanych przez *Niemiecką Partię Komunistyczną (DKP)*. ■ W RFN ma obecnie siedzibę 16 spółek polsko-zachodniemieckich o kapitale mieszanym. Największa firma *Yano* (70% kapitału polskiego) zajmuje się obrotem konserwami mięsnymi. *Polityka*: „Za kilo polskiej gęsi można kupić (...) dwa i pół raza więcej wieprzowiny (...). *Yano* sprowadziła do RFN w zeszłym roku — 7 tys. ton gęsi”. Ta optymistyczna wzmianka warszawskiego tygodnika nie przesłoni faktów: obroty między RFN a PRL w ciągu ostatnich trzech lat stale malały; z 5.156 mln DM w 1980 do 4.350 mln DM w 1983 roku. Polski eksport spadł do 8% w udziale wyrobów przemysłu maszynowego, nadrobiony wzrostem do 54% wywozu surowców; wzrósł lekko, do 15% udział w eksporcie towarów rolno-spożywczych, zmalał zaś do 11% udział przemysłowych artykułów rynkowych. ■ Bp Franz Hengsbach (Essen), który po wojnie otoczył troskliwą opieką Polaków w Westfalii, skrytykował obecnie politykę rządu bońskiego wobec uciekinierów i osób ubiegających się o azyl: „zachowanie się władz jest zawstydzające dla naszej generacji”. ■ Minister *Spraw Zagranicznych* RFN, Hans-Dietrich Genscher zadeklarował w programowym artykule wolę porozumienia z Polską na gruncie Układu PRL-RFN z 1970 roku, którego „ani litery, ani ducha nie kwestionujemy”. ■ Na początku kwietnia odbyła się w Kilonii premiera sztuki Grigori Gorina pt. *Lot pieczonej kaczki* w wykonaniu polskiego zespołu aktorów, pracujących pod opieką towarzystwa *Initiative Polnisches Theater*. Polscy aktorzy przygotowali ten spektakl w języku niemieckim. Komedia osnuta na tle przygód barona Münchhausena wyreżyserowana została przez Tadeusza Galigę (jednocześnie grał główną rolę) i grana przez zespół w składzie: Maja Nowak, Małgorzata Krawiec, Michał Mięsopest, Filip Jamroz, Stanisław Nalewajka i inni. Recenzent dziennika *Kieler Nachrichten*: „Ta nowa produkcja polskiego zespołu zasługuje na najwyższe uznanie”. ■ Nakładem *Krajowej Agencji Wydawniczej* (Kraków) ukazała się książka Wacława Piątkowskiego — *Moja misja nad Renem*. Są to wspomnienia b. ambasadora PRL w RFN — kronikarski zapis szeregu zdarzeń i faktów z okresu przygotowywania tzw. „układów wschodnich”. Książka daje wypaczony obraz stosunków dyplomatycznych polsko-zachodniemieckich z lat 60- i 70-tych. ■ *Fundacja im. Alexandra von Humboldta* (Bonn) finansowała w 1983 roku prace badawcze 165 polskich naukowców (liczbowo na I miejscu); z USA korzystało ze stypendiów 160 naukowców (II miejsce). ■ Na dorocznym posiedzeniu konserwatywnego *Göttinger Arbeitskreis* w Moguncji, ekspert prawa międzynarodowego — Wilfried Fiedler oświadczył, że wszelkie ewentualne rokowania nad układem pokojowym z Niemcami muszą brać za

punkt wyjścia granice Rzeszy z grudnia 1937 roku. *Göttinger Arbeitskreis* nie posiada dzisiaj znaczenia, jakie miał ten związek przed 20-laty; cofnięte przez Brandta dotacje nie zostały przywrócone przez chadeków po ich powrocie do władzy. ■ Grupa Polaków w Düsseldorfie spotkała się z Rowmundem Piłsudskim z Londynu, współzałożycielem ugrupowania pod nazwą *Niepodległość i Demokracja (NiD)* oraz redaktorem pisma *Trybuna*. Organizatorem spotkania był Lech Jan Jankma (*Klub Polaków w Düsseldorfie im. Romka Strzałkowskiego*). Prelegent przedstawił wiele ciekawych szczegółów odnośnie charakteru i pozycji emigracji wojennej, mało albo w ogóle nieznanych najnowszej emigracji. Podczas dyskusji padło wiele głosów krytycznych pod adresem — niestety — sporej grupy polskich księży, kierujących *Misjami Katolickimi*, którzy utrzymują kontakty z ambasadą PRL i sterowanymi przez nią organizacjami, takimi jak: *Zgoda* czy *Związek Polaków w Niemczech — Rodło*. Polscy księża są wysoko wynagradzani przez *Konferencję Biskupów Niemiec*. ■ Na zachodnoniemieckim rynku księgarskim ukazała się książka Ryszarda Kapuścińskiego *Cesarz (König der Könige)* w tłumaczeniu Martina Pollacka. Pozycję przygotowało znane wydawnictwo *Kiepenheuer und Witsch* w Kolonii. ■ Na wernisazu urządzonym przez *Galerie Dialog* w Berlinie Zachodnim pokazano prace malarzy-konstruktywistów, m.in. Polaków — Jana Berdyszaka (Poznań), Ryszarda Winiarskiego (Warszawa), Filipa Fingera (Sztokholm) i Macieja Szańkowskiego (Warszawa). ■ Jeszcze niedawno, władze chciały za wszelką cenę wyrzucić z Polski Lothara Herbsta, prezesa wrocławskiego oddziału rozwiązanego przez reżym ZLP. Prowadzono przeciw Herbstowi kampanię szykan, rozsiewano oczerniające znanego poetę plotki, pełne aluzji do jego niemieckiego pochodzenia. Herbst, który cierpi na poważną chorobę oczu — pragnął jedynie uzyskać zezwolenie na wyjazd do RFN na leczenie. Obecnie, wietrząc okazję łatwej zemsty, odmawia mu się paszportu, zapowiadając, że „nie wychyli nosa z Polski do 1989 roku”. ■ Premier Bawarii — Franz Josef Strauss odwiedził polskie stoisko na *Międzynarodowych Targach Rzemiosła* w Monachium. Bawarską nagrodę państwową — złoty medal, zdobył gobelin artystyczny Krystyny Szepietowskiej z Warszawy. ■ Największą liczbę — 46 studentów zajmujących się językiem i literaturą polską zanotowano na uniwersytecie w Getyndze. ■ W *Haus des Deutschen Ostens* w Düsseldorfie otwarto wystawę — *Die deutsche Volksgruppe in Mittelpolen (Mniejszość niemiecka w środkowej Polsce)*. Na ekspozycji zaprezentowano dokumenty, mapy, fotografie, grafikę i piśmiennictwo, począwszy od XVIII wieku, pochodzące głównie ze zbiorów *Archiwum Niemców ze środkowej Polski i Wołynia* z siedzibą w Mönchengladbach. Wystawę otworzył dr Otto Heike, przyjaciel Polaków, jeden z założycieli *Niemieckiej Socjalistycznej Partii Pracy (DSAP)* w przedwojennej Polsce (centrala w Łodzi), rozwiązanej później przez hitlerowców. ■ Bońscy Maltańczycy i tamtejsza *Komisja Katolików* wysłali ostatnio do Polski 22-tonowy transport ze słodyczami i odzieżą dla dzieci. ■ W Warszawie został otwarty konsygnacyjny skład, który — za pośrednictwem *Pol-Motu* — sprzedawać będzie za dewizy samochody *Volkswagen* i *Audi*. *VW* spodziewa się sprzedawać rocznie w tym składzie ok. 1.000 samochodów. W PRL znajduje się obecnie 12 stacji serwisowych obsługujących samochody tej firmy. ■ 60 polskich barek znajduje się na szlakach zagranicznych; najwięcej dociera kanałami przez NRD do elektrowni *Bewag* w Berlinie Zachodnim, dostarczając węgiel; także z węglem do odbiorców w RFN w rejonie Hannoveru, z dużymi ilościami cementu do Berlina Zachodniego i mniejszymi do Hamburga. Również z drewnem do niektórych portów rzecznych w RFN. ■ Odczyt jubileuszowy, wygłoszony przez prof. Georga W. Strobla 29 listopada 1980 roku w miejscu historycznym, w Oranżerii Łazienkowskiej, pt. *Polenfreundevereine* [przyjazne Polsce

związki] oraz *liberale deutsche Polenfreundschaft* [przyjazna Polakom postawa liberałów niemieckich] w latach 1831-1934 jako przejawy reperkusji powstania listopadowego w społeczeństwie niemieckim, ukazał się dopiero teraz drukiem w pracy zbiorowej — *Powstanie listopadowe 1830-1831. Geneza — uwarunkowania — bilans — porównania*, nakładem *Zakładu Narodowego im. Ossolińskich*, wydawnictwa *Polskiej Akademii Nauk*. Prof. Strobel wykłada nauki polityczne na *Politechnice* w Darmstadtzie. ■ Po ubiegłorocznej wymianie dzieci i młodzieży z Polski i NRD, w roku bieżącym obie strony przewidują wzrost wyjazdów w obu kierunkach; do NRD ma wyjechać ok. 130 tys. Polaków. Wymiana obejmuje przede wszystkim młodzież robotniczą i uczniów szkół zawodowych (studentów wyłączonego z programu!). ■ Władze zachodnoniemieckie w dorocznym raporcie *Urzędu Ochrony Konstytucji* stwierdziły, że NRD wykorzystuje wyjazdy młodzieży do RFN dla celów agitacyjno-agenturalnych. ■ Probstwa *St. Alban* i *St. Michael* w Kolonii zamierzają nawiązać partnerskie kontakty z probostwami w Krakowie, podczas nadchodzących uroczystości 800-lecia parafii *św. Floriana* w tym mieście. ■ Nakładem wydawnictwa *Lübbe Verlag* (Bergisch Gladbach 1984) ukazała się książka Alfreda Schickela — *Deutsche und Polen. Ein Jahrtausend gemeinsamer Geschichte (Niemcy i Polacy. Tysiąc lat wspólnej historii)*. ■ Liczba tegorocznych przesiedleńców z NRD przekroczyła 25 tys. osób, gdyż ostatnio władze wschodnoniemieckie zahamowały znacznie falę wyjazdów do RFN. Honecker spodziewał się, że Bonn wystąpi z atrakcyjnymi propozycjami w dziedzinie gospodarczej, tymczasem poważniejsze oferty ze strony RFN nie nadeszły. Rzecznik *MSZ* NRD oświadczył ponadto, że podania osób, które wyjechały do RFN a ostatnio starają się o powrót do NRD, „nie będą rozpatrywane pozytywnie”. ■ Znany ze swego tupetu i cynizmu rzecznik rządu PRL, Jerzy Urban, na „odprawie” z dziennikarzami zagranicznymi (17. 4. 1984) przypuścił ostry atak pod adresem kolońskiej radiostacji *Deutschlandfunk*, która uchodzi raczej za środek przekazu układny i wyprany z jakiegokolwiek zaangażowania. Przedmiotem ataku była audycja nadana w programie polskim *DLF*, rzekomo specjalnie „jadowita”, w której autor, omawiając za polską prasą emigracyjną argumenty za utrzymaniem amerykańskich sankcji, m.in. sugerował okradanie społeczeństwa polskiego, przez Sowiety, na wszelkie sposoby, również w zakresie żywności. Urbana najbardziej ubodło powoływanie się na *Trybunę Ludu* (19 stycznia 1984), w której Stanisław Albinowski sam nie mógł doliczyć się 15 mln ton żywności. W Bonn cały ten incydent spowodował pewne zamieszanie, ponieważ zdarzył się w momencie bardzo nieodpowiednim, kiedy wielu polityków zachodnoniemieckich zabiega nader usilnie o normalizację stosunków z Warszawą (w dniu konferencji zwołanej przez Urbana przebywał w PRL Wolfgang Mischnick, przewodniczący frakcji *FDP* w *Bundestagu* i jednocześnie członek gremium nadzorczego rozgłośni *Deutschlandfunk* oraz Josef Ertl (*FDP*), b. minister Gospodarki Rolnej a obecnie przewodniczący *Niemieckiego Towarzystwa Gospodarki Rolnej*). Z drugiej strony sprawa świadczy o niepomahowanym apetycie rzecznika rządu PRL, któremu już nie wystarczy „ustawianie” i szantażowanie dziennikarzy akredytowanych w Warszawie, ale swe wpływy chciałby rozciągnąć także na ich redakcje na Zachodzie. Urban do tego stopnia „wpłynął” w Warszawie na Mischnicka, że tenże po powrocie do Bonn, pełen oburzenia, odmówił udzielenia wywiadu swojej *Deutschlandfunk*... Mischnick przeprowadził ponadto dochodzenie w sprawie audycji, która aż tak „poruszyła” Jerzego Urbana. Wcześniej na łamach *Życia Warszawy* Mischnick podkreślił, że „*Wolni Demokraci* odgrywają pozytywną rolę w normalizowaniu stosunków z PRL”. Brawo! ■ W kwietniu bież. roku z Polski wyjechały do RFN — 902 osoby narodowości niemieckiej; z Rumunii 1.459; ze Związku Sowieckiego 71; z CSSR 64 osoby.

■ Prof. Gotthold Rhode (Moguncja), wybitny znawca historii Polski, został wybrany przewodniczącym Rady Naukowej Instytutu im. J. G. Herdera z siedzibą w Marburgu. ■ Handel z Polską poważnie obciąża budżet rządu federalnego: w ub. roku Bonn było zmuszone wypłacić zachodniomiejecim kredytodawcom — 525 mln marek (pozostaje jeszcze do zapłacenia 549 mln marek), tytułem zwrotu kredytów (łącznie z odsetkami) udzielonych Polsce a objętych gwarancjami rządowymi. Kredyty zaciągnięte przez PRL w zachodniomiejecim bankach prywatnych wynoszą ok. 1,5 mld dolarów. Ostatnio zostało osiągnięte ramowe porozumienie dotyczące restrukturyzacji zadłużenia PRL wobec zachodnich komercyjnych banków wierzyielskich.

Andrzej J. CHILECKI

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 385 — RYSZARD BUGAJSKI

PRZESŁUCHANIE

Halucynacyjny opis metod i tortur fizycznych i psychicznych stosowanych przy przesłuchaniach w czasach stalinowskich w Polsce. Str. 112. Cena F. 45,00.

TOM 386 — LEOPOLITA

TEKSTY CYWILNE

Pisane w okresie od 1976 do końca października 1983 pasjonujące rozważania znanego pisarza i krytyka literackiego na temat politycznej i kulturalnej rzeczywistości w kraju. Str. 176. Cena F. 55,00.

TOM 387 — JERZY HOLZER

«SOLIDARNOŚĆ 1980-1981»

Geneza i historia

Str. 357.

Cena F. 95,00.

Kronika kulturalna

Okaleczony list

Przed ponad 30 lat nagromadziły się u mnie niezliczone teczki, gdzie składam listy, na które chciałbym odpowiedzieć, ale przede wszystkim listy bardzo mi drogie, których nie mam sił podrzeć. Ostatnio trafiłem na list Jerzego Stempowskiego sprzed 26-u lat, otrzymany w Neapolu. Niestety najwidoczniej brakuje jednej strony, zastąpiłem ją tu kropkami.

Nie podzielam spojrzenia Stempowskiego na Braque'a. Nie podzielam również jakby całkowitego przekreślenia długiej epoki malarstwa, które doprowadziło do czystej abstrakcji. Niemniej jednak spojrzenie tego najsuwniejszego obserwatora daje dużo do myślenia.

Przypadkowo w tych dniach byłem na dorocznej wystawie „Salon d'Automne”, na którą przez lata z zasady nie chodziłem, bo po wyjściu z takiej monstre-wystawy człowiek, przytłoczony nadmiarem kiczów, ma ochotę powiedzieć: „Nigdy w życiu nie będę już malował”. Ale tu pociągnęła mnie sala, gdzie wystawiono obrazy malarzy epoki ubiegłej, którzy w tamtych latach uczestniczyli w „Salon d'Automne”. Było tam wspaniałe płótno Cézanne'a: chłopak o za długim ramieniu w czerwonej kamizelce; był malutki i uroczy Bonnard: staruszka rozkładająca pasjansa, z dużym czarnym kotem przy boku. Było jeszcze kilka płócien ważkich, ale co mnie przygnębiło, to że całość tej sali wyglądała jak malarstwo zdruzgotane, i pomysły, które wydawały się nowe w swoim czasie, w większości odczuwałem jako porażki. Dlatego może list Jerzego Stempowskiego sprzed 26-u lat wydał mi się dziś, poprzez jego tak uważne i tak bezinteresowne spojrzenie, proroczy. Wróciły do mnie słowa Cézanne'a: „Il faut avoir raison sur nature”.

Nie chciałbym, żeby ten list zaginął w moich beztadnych i zakurzonych teczkach. Podaję go dziś Kulturze do druku.

J. Cz.

Bern,
Drogi, kochany Józiu,

Twój ostatni list z Café Napolitain był dla mnie manną niebieską i balsamem. Dziwne były jego koleje. Nosi datę 15 grudnia i stempel paryski z 18-go. Na odwrocie koperty znajdują się cudzą ręką pisane słowa: „Oublié au Napolitain” i pieczętka: „Le Napolitain” Direction. Ta ostatnia nakleiła na nim markę za 20 fr. zamiast 35, wskutek czego otrzymałem od urzędu pocztowego kartkę wzywającą do dopłaty 25 ct. Ponieważ było to w okresie powinszowań, myślałem, że ktoś napisał o dwa słowa za wiele na drukowanym kartonie, i gotów byłem tego wcale nie odbierać. Tyle okoliczności złożyło się, aby Twój list nie doszedł, tyle razy zdawało się, że już utknął w drodze i dalej nie pójdzie. A jednak doszedł aż do mnie. Widocznie dobra, życzliwa myśl i głębokie wzruszenie rzeczami sztuki, którego ślad został w Twych słowach, posiadają jakąś magiczną siłę sprawiającą, że Twój list, jak przy zjawiskach lewitacji, podnosił się sam z ławki Napolitaina, z biurka dyrekcji itd. i fruwał dalej w kierunku Berna.

Od dawna już miałem Ci coś ważnego do napisania, dokładnie biorąc od ostatnich dni lipca. W miesiącu tym byłem w Padwie i prawie co dzień odwiedzałem tamtejsze Museo Civico z obrazami Tintoretta i padewskich prymitywów. Za czwartym czy piątym razem spostrzegłem, że rodzaj *nadziratiela* czy inspektora, z którym przedtem parę razy rozmawiałem, naradzał się nad czymś z inwalidą sprzedającym karty wstępu (*cento lire*). Ten ostatni dał mi bilet z czasów Mussoliniego i powiedział, że to nic nie kosztuje. Czy dziś wstęp jest za darmo? — zapytałem. Na to inspektor: Zobaczyliśmy, że pan kocha obrazy i przyszedłszy do przekonania, że nie powinniśmy od pana brać pieniędzy. Takie rzeczy zdarzają się tylko we Włoszech, gdzie cały niższy personel muzealny składa się z ludzi kochających obrazy. Podczas pobytu w Padwie skryształizowała się we mnie pewna myśl lub raczej pewna wrażliwość, która od kilku lat już szukała jak gdyby swojej drogi.

Sztuka tzw. modernistyczna była dziełem mego pokolenia; widziałem wszystkie prawie po kolei jej manifestacje, od 1-ej wystawy futurystów w 1911 i pierwszych wystąpień dadaistów w Zurychu w 1915 aż do tryumfu abstrakcjonistów, którym była poświęcona tegoroczna Biennale w Wenecji, i wystawy retrospektywnej Bazaine'a, którą oglądałem przed miesiącem w Bernie. Odnosiłem się do niej z największą uwagą, z życzliwością, starając się ją zrozumieć, w tych granicach oczywiście, w jakich poddaje się tej operacji, a za którymi jest już tylko pustosłowie krytyków i profesorów. Po blisko 50 latach obcowania byłem tak z nią oswojony, że nauczyłem się nawet odróżniać w niej rzeczy lepsze od gorszych. Od kilku lat jednak odczuwam coś w rodzaju znudzenia czy zniechęcenia. Do takich obrazów jak Jean Bazaine'a, zrywam się jeszcze, oglądam je długo i wiele

razy aż odnajdę ich smak, ale do innych czuję coś w rodzaju podejrzliwości i znudzenia. Od kilku lat mam świadomość, że sztuka ta zrobiła się bardzo niemłoda, że jest przynajmniej w moim wieku, że koryfeusze jej są już od dawna całkowicie łysi, niektórzy nawet z białymi brodami. Od kiedy i ja sam zrobiłem się niemłody i zacząłem poznawać ten stan niejako od wewnątrz, spostrzegłem też, że różne są rodzaje starości. Są pogodne, życzliwe, mądre doświadczeniem, nawet wspaniałe, zdobywające się na imponujące kompensaty właściwych temu stanowi mizerii. Są jednak także starości zrzędne, zazdrosne, napastliwe. Nie ulega wątpliwości, że starość sztuki modernistycznej należy do tej drugiej kategorii. Młodym z tym jest czasem do twarzy: nazywa się to wówczas *noble coquetterie*. Starym natomiast nie przystoi, jest czymś zaprzeczającym mądrości doświadczenia. W miarę tych obserwacji zbudziła się we mnie obawa, że tkwiąc w prądach mego czasu mogę postarzeć tak samo brzydko jak abstrakcjonisci.

W Padwie poznałem m.in. profesora, który poświęcił 25 lat studiowaniu perspektywy u weneckich malarzy i pokazywał mi w rękopisie swą książkę na ten temat. Był tam imponujące szczegóły, np., że u Tiepola postaci unoszące się w powietrzu rzucają cień całkowicie zgodny z zasadami geometrii opisowej. Autor tego dzieła opowiadał mi, że przed paru laty, wraz z innym takim samym badaczem, profesorem Academia Brera, poszedł oglądać w Padwie wystawę abstrakcjonistów. Rozmowom ich przysłuchiwał się starszy jegomość o imponującym wyglądzie i wielkim kapeluszu, który w końcu rozgniewał się: *via, contadini*, idźcie stąd precz chłopie, tu nie ma miejsca dla was, i tak nic tu nie zrozumiecie. Jak się później dowiedzieli, był to wpływo- wy krytyk, członek wielu jury i komitetów organizacyjnych.

Na ogół przyjęto mniemać, że ponieważ kiedyś Francuzi zaśmiewali się z Maneta, każda sztuka, która wydaje się śmieszna lub niezrozumiała dziś, będzie klasyczna za pół wieku. Przypuszczenie takie nie ma żadnych podstaw i oparte jest na nieporozumieniu, jest jedną z flaubertowskich *idées reçues*, lecz zarówno u znawców jak u profanów uchodzi dziś za prawdę oczywistą. We Włoszech zobaczyłem w ostatnich latach po raz pierwszy młodych odwracających się powoli od modnych prądów. „Sztuka urzędników i profesorów”, mówi o abstrakcjonizmie Leonardo Borgese. We Włoszech młodzi także zaczęli dostrzegać, co w tzw. nowej sztuce jest stare i sklerotyczne. Wydaje się, że tegoroczna Biennale była punktem szczytowym rozwoju abstrakcjonizmu, tryumfującego nad Wenecją, i że teraz zacznie się odwrót. Takie wnioski nasunęły mi się w rozmowach z młodymi włoskimi przyjaciółmi, którzy nie widzieli początków modernizmu i nie mają żadnych uprzedzeń pokoleń starszych.

Innym jeszcze aspektem wątpliwym sztuki obecnej jest jej charakter omphaloskopiczny tj. — używając tzw. *le grec scientifique* — patrzący we własny pępek. Malarstwo i literatura oddaliły się od natury, od świata zewnętrznego i czerpią swą sub-

stancję z danych introspekcyjnych, ze snów i majaczenia. Niebezpieczeństwo jednostronności jest oczywiste, i mistrze nowego rodzaju artystycznego starali się nie zrywać z naturą całkowicie. U Joyce'a, twórcy monologu wewnętrznego, uderza staranna obserwacja niezliczonych przedmiotów przesuwających się w jego majaczeniu. Mój sąsiad i przyjaciel Otto Nebel rysuje latem z największą dokładnością żuki, ryby, rośliny, kamienie itd., z których zimą destyluje *par derivation* formy abstrakcyjne. Jean Bazaine daje swym obrazom tytuły, wskazujące na miejsce, z którego wzięł barwy i właściwe sobie szelesty światła. U większości jednak związek z naturą jest zerwany, niewidoczny, nie do odcyfrowania. Czyżby natura została wyczerpana przez malarzy? Trudno temu uwierzyć. Dla różnych celów obejrzałem wiele muzeów włoskich, szukając w nich historii pejzażu. Widziałem tam rzeczy imponujące wrażliwością i przenikliwością, ale kto mógłby twierdzić, że krajobraz włoski został wyczerpany i nic nowego powiedzieć nie potrafi? Sama architektura włoskiego lasu lub raczej gaju — *il bosco* — bo prawdziwych lasów tam już nie ma, jest niewyczerpanym źródłem wzruszeń i refleksji. Ze swą zieloną masą liści, opartą na smukłych pniach, między którymi widać w głębi znów światło, *il bosco* zbudowany jest tak samo jak pałac dożów z jego masą murów leżących na lekko kolumnach. Nigdzie artyści nie studiowali równie długo natury jak we Włoszech, ale i tam nawet resursy jej zdają się prawie nietknięte.

.....
w szalonym ruchu świata z dokładnością obserwacji, robionej niby na rynku rybnym. Do mego trybu oglądania obrazów dołączył się jakiś element nowy, widoczny być może nawet dla postronnych, skoro Włosi orzekli w Padwie, że „kocham” obrazy, a w ich pojęciu uczucie takie należy bezspornie do *plaisirs charnels*.

Sądząc pomyśleniem zdrowym, jest to oczywiście tylko skutek długotrwałego postu abstrakcyjnego, radość oglądania rzeczy po latach wczuwania się w majaczenia i konstrukcje oderwane. Każdy kto dość długo pościł może zrobić takie samo odkrycie. Nie jest to wcale „dawaj po włoskiej uczcie kapusty z bigosem”; przyjdzie być może i do tego bigosu, kiedy rzesze stojące po bożnie przed abstrakcjonistami rzucą się np. na socrealizm, ale na razie odczuwam to raczej jak przebudzenie się w słoneczny letni dzień z metafizycznego koszmaru. Nie odwracam się wcale od modernistów, być może oglądam ich dziś nawet z większą przyjemnością, ale bardziej swobodnie, bez przymusu. W zeszłym roku widziałem np. sto płócien Braque'a i poczułem wielkie rozczarowanie. Wracalem do nich kilka razy, chcąc w nich znaleźć jakiś smak lub przynajmniej wytłumaczenie, dlaczego te wielkie, niezgrabne, malowane brudnymi farbami kompozycje mają tak wielką markę u znawców i cenę u kolekcjonerów, ale dałem temu spokój. Nie jestem profesorem, nie potrzebuję tych obrazów nikomu tłumaczyć, oglądam je dla własnej przyjemności,

a gdy jej brak, nie chcę zagłębiać i systematyzować własnego poczucia desatysfakcji; zostawiam to Camusowi.

Dopiero na podstawie tego doświadczenia zyskałem przekonanie, że świat sztuki stoi przed jakimiś zmianami, że będzie znów młody i radosny. Na razie nie umiem sobie tego dobrze wyobrazić, ale to nie jest zresztą moja rzecz, bo nigdy nie widziałem w sobie artysty. Kiedy piszesz, że w moich notatnikach znalazłeś coś o efekcie artystycznym, jest to dla mnie prawdziwą rewelacją. Moim zadaniem było dotąd kultywowanie namysłu swobodnego, pozwalającego ocenić przyjemność patrzenia i czytania niezależnie od wszystkich ustalonych pojęć. Do tego trzeba też od czasu do czasu znaleźć jakieś pasujące wyrazy, ale to jest zadanie inne od zadania artysty, nawet gdybyśmy stanęli na stanowisku ucznia Crocego, Spingarna, dowodzącego w książce „On Unity of Genius and Taste”, że uzdolnienia potrzebne do stworzenia dzieła sztuki i do rozpoznania jego wartości są tej samej natury.

Od końca lipca do ostatnich tygodni chorowałem na zaburzenia mózgowe, których dostałem od otitis. Zostało mi po nich trochę zaburzeń wzroku i słuchu oraz to co się nazywa w psychiatrii „zmniejszeniem zdolności wykonawczych”. Wszystko to już minęło lub mija, ale mam za sobą kilka miesięcy bezczynności i melancholii. Balsam jaki znajduje się w Twoim liście ostatnim i w Twoich listach w ogóle był mi bardzo potrzebny i dziękuję Ci najserdeczniej, żeś go do moich duchowych ran przyłożył. Jeżeli stanę się znów młody i przedsiębiorczy, Twój list się do tego bardzo przyczynił. Wytłumacz mnie, proszę, przed Panią Marynią, której winien jestem odpowiedź na bardzo miły list, otrzymany w gorszym okresie, kiedy byłem niemal całkowicie niepiśmienny. Rączki jej całuję i obiecuję niedługo napisać.

To co piszesz o J.C. jest wzruszające głęboko. W otaczającym nas świecie ambicji i krzyku jest to być może jedyna rzecz prawdziwa, jak ostatni sztych Goyi w cyklu *Los Desastres*, przedstawiający trzymającą się za rękę parę niewiarygodnych pasterzy i mający legendę: *Esto es lo verdadero*.

Przesyłam Ci, Kochany Józiu, i Pani Maryni najserdeczniejsze życzenia wesołych świąt, szczerze oddany

Jerzy S.

KONGRES KULTURY POLSKIEJ NA OBCZYŹNIE

Z inicjatywy Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie (P.T.N.O.) postanowiono zorganizować w Londynie Kongres Kultury Polskiej na Obczyźnie. Kongres odbędzie się w dniach 14-20 września 1985 roku w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym (P.O.S.K.) w Londynie. Komitet organizacyjny pod przewodnictwem prof. dr. Edwarda Szczepanika przewiduje nas-

tepujące sesje prac Kongresu: 1) nowoczesna historia Polski — prof. Józef Jasnowski; 2) literatura polska na obczyźnie — prof. Józef Bujnowski; 3) bieżące zagadnienia krajowe — prof. Jan Drewnowski; 4) filozofia Polski na obczyźnie — prof. Wiesław Strzałkowski; 5) oświata polska na obczyźnie — prof. Czesław Czaplinski; 6) kultura polska w obliczu kultur osiedlenia — Mieczysław Paszkiewicz. Adres dla korespondencji: Kongres Kultury, c/o PTNO — POSK, 240 King Street, London, W5 0RF.

Żołosny zaścianek...

KOLONIE LETNIE DLA 200.000 POLSKICH DZIECI

Francuska organizacja charytatywna Secours Catholique informuje: „Nasza pomoc dla Polski ewoluje w miarę potrzeb. Między grudniem 1980 a lutym 1984 Secours Catholique wysłała do Polski drogą powietrzną, naziemną i morską 7.780 ton żywności, odzieży i lekarstw. Obecnie, jak oblicza komisja charytatywna episkopatu polskiego, w 27 diecezjach w kraju żyje w biedzie 200.000 dzieci, które episkopat chciałby wysłać w lipcu i sierpniu na kolonie i obozy wakacyjne.

Pozostaje problem zaopatrzenia. Dla 200.000 dzieci potrzeba każdego dnia 20 ton mięsa, 4 ton ryżu, 4 ton zup w proszku, 2,5 tony kakao... cyfry te — i nie tylko one — pozwalają sobie wyobrazić wagę tego projektu, nawet jeżeli nie mogą oddać znaczenia tych 12 milionów dni na świeżym powietrzu, poświęconych rozbudzaniu inteligencji i wychowaniu.

Jeden dzień wakacji polskiego dziecka kosztuje 15 franków.

Adres:

SECOURS CATHOLIQUE
106 RUE DU BAC, 75007 PARIS.

Konto, na które można przekazywać dary na powyższy cel:

SECOURS CATHOLIQUE, C.C.P. 5620 09 K PARIS.

Na odwrocie przekazu pocztowego należy zaznaczać „Operation colonies Pologne”.

Kultura przekazała ze swego Funduszu na powyższy cel F. 5.000,00.

Ci, co odeszli

Mistrz

Kiedy przed rokiem umarł Wiktor Sukiennicki, nie zdobyłam się na wspomnienie o nim. Nie tylko dlatego, że nie wiedząc o jego śmiertelnej chorobie byłam nieprzygotowana na cios, ale przede wszystkim sądząc, że inni, którzy go znali, byli bardziej do tego uzdolnieni i powołani.

Miłosz napisał krótkie o nim wspomnienie — znali się mało i inne były pola ich twórczości. Ukazał się też w *Zeszytach Historycznych* (Nr 66, 1983) artykuł Prof. Swianiewicza pt. „Wspomnienie o Wiktorze Sukiennickim”. Ja pamiętam Mistrza mojej młodości przede wszystkim jako człowieka i nauczyciela, który sam wówczas młody, jak nikt rozumiał tych, których uczył.

Pierwszy wykład z „Historii ruchów rewolucyjnych w Rosji” w Szkole Nauk Politycznych w Wilnie rozpoczął zdaniem, które na zawsze utkwilo mi w pamięci: „Żadne uczone dzieło nie nauczy was obiektywizmu i niezależności w myśleniu. W tej to właśnie trudnej sztuce chciałbym państwu dopomóc”.

Profesor wykładał bez notatek, bez skomplikowanych definicji, zawsze z polotem i poczuciem humoru. Miał doskonałą pamięć i tak jak istnieją ludzie obdarzeni absolutnym słuchem, tak on był obdarzony inteligencją absolutną. Był wspianiałym, porwijącym nauczycielem.

Choć się od wszelkich sentymentów zawsze odrzekał, miał dla swych uczniów sympatię, zrozumienie i pomoc w każdej trudnej okoliczności, nie tylko w sprawach studiów, ale i w problemach życiowych. Byłam jego uczennicą w ciągu trzech lat i współpracownicą na jego seminarium sowietoznawczym w ciągu dwóch. U niego też pisałam pracę dyplomową.

Na owo seminarium poza kilku stałymi pracownikami przychodzili i inni zainteresowani. Pomiędzy nimi Henryk Dembiński, który odplacił czarną niewdzięcznością i oszczerstwem za przyjęcie go na zebrania seminaryjne.

Nie pamiętam, kiedyśmy w naszej grupie przewali profesora „Mistrzem”. Nie było w tym wcale „lekkich kpin”, o jakie nas posądzał. Było uznanie, przywiązanie i szacunek.

Sytuacja Instytutu Europy Wschodniej i Szkoły Nauk Politycznych była tematem kilkuletnich kontrowersyjnych polemik w prasie wileńskiej. Tak zwane „żubry” z redaktorem *Słowa* Cat-Mackiewiczem na czele periodycznie oskarżali Instytut jako wylęgarnię młodych komunistów i omalże nie „wtyczkę” ówczesnego NKWD. To, że celem uczelni było usiłowanie dotarcia do prawdy obiektywnej dotyczącej ZSSR i poinformowanie społeczeństwa o istotnych dla Polski problemach jakoś nie trafiało do konserwatywnych głów.

Profesor Swianiewicz zastanawia się, i nie znajduje odpowiedzi, dlaczego prof. Sukiennicki po wojnie tak długo nie znajdował sobie odpowiedniego dla swej wiedzy i zdolności miejsca.

W jednej z naszych długich powojennych rozmów w Londynie kiedyś powiedział mi: „przed wojną to wciąż byłem na wszystko za młody — a teraz okazuje się, że już jestem za stary”. Przyjęcie stanowiska w Radio Free Europe było chyba koniecznością, z braku innego wyboru.

Została mi garstka listów, które przez bez mała trzydzieści lat pisaliśmy do siebie. Z przerwami, bo profesor pisać listów nie lubił i musiałam „wydębiać” odpowiedzi na których mi zależało.

W jednym z nich pisze w roku 1966:

... „Stosunku merytorycznego do mojej osoby i mojej obiektywnej wartości nigdy w 100 % pewny nie byłem. Niestety i subiektywnie i obiektywnie byłem w Wilnie „Niczym” i tym samym, bodaj przez całe życie, zostałem. Być może pani nie wie, a w każdym razie nie bierze pod uwagę, że moja sytuacja na Uniwersytecie i w Wilnie w ogóle była słaba i że wielokrotnie grożono mi wyrzuceniem czy nawet 'zamknięciem'. Żadnych stosunków ani możliwości pomocy komuś nie miałem. Mogłem co prawda wybraniać z dużym trudem Franka (Ancewicza) czy Frydmana, ale pani pomóc w szczególności w Warszawie nie mogłem... choć nigdy nie miałem aspiracji poetyckich — ja właśnie w Wilnie miałem podświadome przeczucie 'przyjścia wroga' i końca mojego-naszego świata. Dlatego też w ostatnich latach przed Wrześniem odszedłem od wszelkiej tak zwanej roboty polityczno-społecznej i zdecydowałem się pożyć we własnym 'udowolstwie'. To znowuż było oceniane jako moje 'skończenie się moralne' przede wszystkim. Nie wiem, czy jest to prawdą, że ponoć wzmiankowano o mnie w kazaniach, ale w każdym razie 'przestrzegano' przede mną zarówno studentki, jak i ich matki. Czy ta moja 'subiektywna' prawda jest prawdą 'prawdziwą', nie wiem. W każdym razie dla całości obrazu musi pani i ją uwzględnić”.

Tak gorzko więc wspominał lata, kiedy dla nas, małego grona,

był „Mistrzem”. Może dlatego nie bardzo w nasze oddanie wierzył?

W czasie wojny, w końcu 1939 roku wywieziono mnie do Moskwy, na Łubiankę, jako polskiego szpiega. Oskarżenie to, przypięte prawie każdemu aresztantowi, w moim wypadku było nawet umotywowane moją kilkumiesięczną praktyką dyplomatyczną w Ambasadzie R.P. w Moskwie. Dostałam się na nią dzięki poparciu dyrektora Władysława Wielhorskiego i profesora Sukiennickiego.

W czasie śledztwa niejednokrotnie indagowano mnie, gdzie się znajduje „znany szpieg i faszysta” Wiktor Sukiennicki. Odpowiadałam niezmiennie i zgodnie z prawdą, że nie mam pojęcia.

Dopiero po wojnie, gdy spotkałam profesora, zorientowałam się, że oboje i pod własnymi nazwiskami byliśmy w rękach ówczesnego NKWD. On na Syberii, ja początkowo na Łubiance, a następnie w łagrze w Kazachstanie. Tu działalność sowieckich organów bezpieczeństwa jednak nie okazała się nieomylna.

Po wyjeździe do Kalifornii i zainstalowaniu się w Stanford profesor, aczkolwiek zawsze czynny, uważał że życie właściwie ma już za sobą. Dzieło, które pisał, nie zostało kompletnie ukończone.

Widzieliśmy się po raz ostatni w roku 1948 na wyspie Wight, gdzie przez jakiś czas mieszkałam i gdzie mnie odwiedził wraz z żoną i synem, którym wreszcie udało się wyostać z Polski. To był szczęśliwy moment po tylu ciężkich i samotnych latach.

Nigdy już nie udało mi się go zobaczyć, zawsze rozmijaliśmy się w podróżach. Przez ostatnie dwa czy trzy lata nie miałam od niego listów, ale wiedziałam o jego odczytach.

W ubiegłym roku pewnego dnia dostałam telegram od Miłosza „Sukiennicki jest umierający, spróbuj zadzwonić”.

Połączenie dostałam natychmiast. Mistrz brzmiał jak zwykle: trochę ironicznie, mówiąc o raku trzustki, o tym że pod wpływem narkotyków chwilami wydawało mu się, że jest znowu w łagrze i że jednak niestety nie zdołał ukończyć swej książki.

„Dziękuję za przyjaźń całego życia”, powiedział przed odłożeniem słuchawki.

Czy można piękniej i szlachetniej się pożegnać?

W 5 dni później już nie żył.

Nika KŁOSOWSKA

człowieku i sprowadzeniu społeczeństwa do poziomu hordy pierwotnej.

A zresztą czyż kiedykolwiek w historii PRL-u można było naprawdę działać politycznie w ramach prób oddziaływania na system? Czyż nawet i opozycja nie była skazana za ledwie na *quasi*-politykowanie i zastępowanie politycznych działań, charytatywnością i moralizowaniem? Nawet okresy przełomów społecznych (pomijam tutaj nieco odmienne, ale tylko nieco, czasy „Solidarności”) Październik 1956, Grudzień 1970, w dużej mierze tylko łudziły politycznymi możliwościami, w gruncie rzeczy wyniki dokonywanych opcji były z góry przesądzone. Politykę serio można było realizować i projektować na emigracji, a nie w zniewolonym kraju, gdzie co najwyżej ratowano resztki narodowego bytu. Bo też nie można działać politycznie, jeżeli nie ma się wpływu na jakiegokolwiek istotne pryncypia, czy też na zmianę reguł działania systemu, że już o ustroju nie wspomnę. Cała tego rodzaju zabawa polityczna ograniczała się w Polsce do uczestniczenia w salonowo-dworskich przepychankach, wygrywania jednych przez drugich — intelektualści służyli co najwyżej za parawan koteriom i wyraz nienawiści poszczególnych frakcji do siebie wzajem. Dobrze by o tym mogli powiedzieć nieszczęśni postawie „Znaku”.

Tyle, że aby to sobie szczerze uświadomić, potrzeba czegoś więcej niż odwagi i niż wyciągnięcia wniosków z sytuacji osobistej i ogólnej. Trzeba najpierw zaprzeczyć swojemu dotychczasowemu życiu i zerwać z klatką o nazwie „intelektualista na służbie” (ideologii bądź systemu, bądź państwa czy ostatecznie siły, gdyż do niej daje się w całości jego zniewolenie sprowadzić).

A że nie jest to łatwe i proste, dowodzą fakty, iż tak wielu oparło się pokusie współuczestnictwa, a jeszcze mniej jest gotowych spojrzeć krytycznie na przeszłość i zrewidować swoje wybory. Dlatego po dzień dzisiejszy pozostał nierozliczony współudział polskich pisarzy, artystów ducha i myśli w propagowaniu socjalizmu i to w jego najbardziej odrażającej postaci stalinowskiego bestialstwa.

Nie rozliczyli się oni ani przed sobą, ani przed czytelnikami. Szkielety stalinizmu straszą w szafach wielu, którzy wciąż nie odkryli przyczyn ówczesnych fascynacji i trucizn.

Podobna niewyraźność postawy odautorskiej i niewypowiedzenie siebie samego: kim się jest i czego się naprawdę chce; charakteryzuje książkę „Z notatnika stanu wojennego”. Przemyslenia Szczypiorskiego cierpią na swoiste niedookreślenie moralne. Trudno w nich dostrzec jakąkolwiek ostrą cezurę myślową

Książki

Wypuszczony z klatki

Jest to książka*, która wzorem części literatury pisanej w kraju wymyka się jednoznacznej ocenie. Zrodzona została z uniwersalnego i nieprzerwanego funkcjonującego w socjalizmie prawa mimikry i odbija sobą dwuznaczność sytuacji autora.

Jej cechą charakterystyczną jest nade wszystko odmowa mówienia we własnym imieniu czyli usilne wpychanie siebie, swego myślenia, duchowości w formuły polityczne narzucone z góry. Ostatecznym sprawdzianem dla pisarza staje się jego zaangażowanie polityczne, realizowane jednakże w ramach narzuconych przez system. Intelektualista (artysta, uczonec, dziennikarz) musi myśleć w podobny sposób jak władza i dążyć do porozumienia z nią (poparcia, służenia jej etc.).

Z tego się wzięło żałosne przyznanie Szczypiorskiego:

„Mam uczucie próżni. Wpadłem do głębokiej studni. Jak się wydobydę na powierzchnię — pomyślę także o polityce. Teraz nie. Polityka jest nieodłącznie związana ze społecznym działaniem”.

Myślenie Szczypiorskiego wyrosło z fałszywej przesłanki, o której nieprawdziwości trudno aby pisarz nie wiedział — domniemania normalności działania społeczno-politycznego w ustroju komunistycznym. Traktowania tego ustroju jak każdego innego w dziejach. Zapomnienie zarówno o nieprawym pochodzeniu (przyszedł na sowieckich czołgach), co i o przeznaczeniu systemu panującego w Polsce do zniszczenia wszystkich cech ludzkich w

* Andrzej Szczypiorski, *Z notatnika stanu wojennego*. Polonia Book Fund, 1983, str. 139.

i spodziewany intuicyjnie przez czytelników przełom w widzeniu świata.

Od pierwszych stron opisuje autor przemiany polskiej rzeczywistości, ograniczając je zaledwie do zewnętrznych, najbardziej powierzchownych detali i nie sięgając — jakby się tego należało spodziewać głębiej. Jedyłą próbą wnikliwszej analizy pozostaje tu wciąż tylko „Obóz” Kuczyńskiego. Na Szczypiorskim ciąży salonowa galanteria i salonowa perspektywa. Bohater książki Andrzeja Szczypiorskiego, polski pisarz i intelektualista Andrzej Szczypiorski robi dobrą minę do coraz bardziej tandetnie granej przez komunistów sztuki. Udaje, że nie widzi pilnujących jego, jak i spychających naród w kolejną fazę niewoli, strażników. Wydaje mu się, że mało co uległo zmianie i może dlatego jego ocena rzeczywistości podszyta jest dwuznacznością. Starym kompleksem niewolnika, który zafałszowuje własną sytuację w świecie, aby koniecznie dowartościować siebie.

„Nasi znów obłąskiwali strażników. Straszna dynamika tkwi w ludzkiej inteligencji i wiedzy. Intelpekt jest bramą, wobec której prosty facet czuje się całkiem bezradny. Ale do tego trzeba doświadczonego i głębokiego intelektu”.

Ujawnia tu Szczypiorski — naiwnie mitologizując intelekt — z czego wynika jego potrzeba oparcia się na czymś, czy na kimś. Niepewny własnej racji — zetkniętej z gołą przemocą — konstruuje dlatego kolejną utopię, by nią uzasadnić konieczność dopełnienia siły intelektem. Jest to jeszcze jedna wersja przedkładanej władzy propozycji: „zrozumcie bez intelektualistów się nie obejdziecie”. Tyle, że jak dotychczas zwycięscy generałowie ignorują tego rodzaju potencjalnych sojuszników. I na próżno znaczna część notatnika Szczypiorskiego jest napisana w manierze uwznioślającej codzienność i mitologizującej świat polityki. Przez co wbrew autorowi stała się wypowiedzią człowieka, który nie widzi wyjścia z pułapki w jakiej się znalazł on i cały kraj. Wybiera patetyczne udowadnianie innym (a może sobie samemu?), iż po grudniu 1981 roku pisarze bądź intelektualiści polscy mają jeszcze jakiegokolwiek znaczenie dla nowej władzy i jej popleczników. Tymczasem skończyło się już nawet i to wieloletnie pozorowane politykowanie, skończyły się rozmowy z „liberałami partyjnymi” na rautach czy w kularach gmachu KC. Reżymowi Jaruzelskiego można co najwyżej służyć, rezygnując z siebie samego (jak i zresztą każdemu z jego poprzedników), co zrobili z wyczuciem stylu epoki nie pozbawieni przecież „głębokiego intelektu” Urban czy też Krzysztof T. Toeplitz.

Toteż hamletyczne elukubracje Szczypiorskiego brzmią śmiesznie:

„To, co w Jaworzu uważałem za prostotę a nawet więcej — za swój obowiązek, teraz okazywało się rodzajem kapitulacji. Wiedziałem, że trzeba po prostu wracać, wziąć na plecy ten ciężar — i w pachnące, kwietniowe popołudnie stanąć pod bramą Jaworza prosząc by mi otworzono. W grudniu znalazłem się tam pod przykryciem, wyłuskany z ciepłych domowych betów w środku nocy, otoczony wartownikami. Teraz miałem przyjść sam, dokonując świadomego, wolnego wyboru. Miałem przyjść sam, aby siedzieć za drutami nie wiadomo jak długo, wyzywając los, który — być może — doświadczy mnie boleśnie, zgotuje warunki gorsze, nie oszczędzi poniżeń, lęku i rozpacz”.

Inna rzecz, że ujawniają one (być może wbrew autorowi i jego zamiarom) istotę bycia intelektualistą w systemie totalitarnego zniewolenia. I pokazują je od strony najmniej spodziewanej — w perspektywie żalości ludzkiego „ja”, które nie ma jak się obronić przed złem i musi szukać ratunku w swoistym pakcie z nim. Bo też i los pisarza w socjalizmie mieści się w formule (że przywołam tytuł świetnego eseju Krzysztofa Dorosza z 18-go numeru *Aneksu*: „Faust współczesny czyli de pacto hominis politici cum diabolo”) swoistej konieczności paktowania z diabłem ideologii, a nade wszystko narzucanej przez niego wersji polityki. Chyba, że wybierze on drogę przeciwstawienia się ideologii czyli ostatecznie również drogę polityki rozumianej jednak antydoktrynersko i antytotallytarnie jako wyzwanie rzucone władzy. Drogę Barańczaka, Woroszyńskiego, Najdera, Kijowskiego, że o paru innych nie wspomnę.

Andrzej Szczypiorski też próbuje intelektualnie ogarnąć nowe realia polityczne i przemyśleć nowe zobowiązania intelektualisty w sytuacji pogrudniowej. Dałoby się zrekonstruować z jego notatek zarys postawy obserwatora czy też klerka, który chociaż ułomny ze swoim pragnieniem dogadania się z władzą — nie chce jednak do końca zdradzić swoich zasad. Jednak próba złączenia ognia z wodą, wierności sobie i nie zamykania furtki przed dialogiem z reżymem, skazana jest w dzisiejszej rzeczywistości na niespełnienie, przynosząc nikłą nadzieję komukolwiek włącznie z samym jej autorem.

„Trzeba na coś czekać. Cała Polska na coś czeka. To nie jest kwestia cudu, lecz kwestia wiary. W Boga, w człowieka, w nasz naród. Myślę o tym, co ludzie powinni robić? Postępować wedle głosu sumienia. Każdy ma swoją drogę i każda droga jest dobra, jeśli wybór jest sprawą uczciwych intencji. Dlatego z pewnym niepokojem słucham apodyktycznych opinii. Afirmacja i potępienie, pomnik i wyrok śmierci cywilnej! To nie jest mądre. Nie jest także uczciwe. Nikt z nas nie ma monopolu na słuszność. Władza jest wystarczająco arogancka, niechaj społeczeństwo wobec siebie nie będzie aroganckie i tak bardzo pewne swej nieomyślności. Ludzie postępują rozmaicie, ponieważ są rozmaici. Jedni przychylają się do po-

glądu, że trzeba coś konkretnego robić i w działaniu chronić zasady, które uważają za rozumne i moralne. Nie sądzę, aby ci którzy myślą inaczej, byli uprawnieni do potępienia takiej postawy. Nie może nas spotkać nic gorszego jak inkwizytorski stosunek do bliźnich”.

Mało pożywnie brzmią projekty Szczypiorskiego moralnego i społecznego uzdrowienia Polski i niewiele mogą z nich wyciągnąć treści szukający pociechy i rozstrzygnięć etycznych. Nie wiem nawet czy tak mogłyby wyglądać programy przeznaczone dla pojedynczego człowieka nawet, gdy jest nim pisarz polski Andrzej Szczypiorski.

I zresztą nie może być inaczej. Wyjścia z obecnej sytuacji nie może odnaleźć ten kto, jak autor „Z notatnika...”, doznał przed laty szczególnego okaleczenia. Został oddzielony u progu swojego życia intelektualnego i artystycznego od społeczeństwa. Oderwany od niego przez swoją profesję, którą komuniści włączyli w system swoich kłamstw. I żeby nie było możliwości skonfrontowania ideologii z prawdą wytworzyli odrębne getto artystyczno-intelektualne. Tym wygodniejsze dla nich, im bardziej żyjące swoimi sprawami, napędzane wewnętrzną troską o własne przywileje i powiązane silną zależnością od władzy, za co płacono absurdalnym nierozpoznanem prawdziwej sytuacji i sposobu życia społeczeństwa. To przecież stalinowski mit o pisarzu-inżynierze dusz, miał na celu niedopuszczenie do prawdziwego porozumienia literatury z jej odbiorcami, do powstania prawdziwej sztuki odzwierciedlającej rzeczywistość. Do zniesienia przegrody między intelektualistami a robotnikami. A żyjąc w klatkach pisarze byli inwalidami społecznymi, i często pozostali nimi nawet po wypuszczeniu z nich.

Pierwsze ciosy w system oddzielający intelektualistów od społeczeństwa zadała dopiero „Solidarność” (pamiętne słowa reportażu Kapuścińskiego odkrywającego po sierpniu na łamach warszawskiej *Kultury* prawdziwych robotników). Ostatecznego rozbicia klatek dokonał jednak, paradoksalnie, przewrót Jaruzelskiego i rozwiązywanie kolejnych związków twórczych, co moralnie uzdrowiło sytuację i przyłączyło na powrót intelektualistów do społeczeństwa.

Tymczasem książka Szczypiorskiego pisana jest jeszcze w manierze artysty, który nie czuje żywej więzi z resztą społeczeństwa, który co gorzej nie bardzo je rozumie i za każdym razem jest zaskakiwany jego reakcjami. I nawet niewątpliwy wysiłek czyniony przez autora aby dotrzeć do pokładów społecznej świadomości i do sposobu myślenia prostych ludzi — nie pomaga w zrozumieniu prawdziwego stanu duchowego narodu. Jego odkrycia wydają się naiwne i częstokroć bez sensu, chociaż napisane zostały w dobrej wierze.

„Słuchając jego wywodów, coraz bardziej dochodziłem do przekonania, które od dawna podpowiadał mi instynkt, że ludzie pokroju Ignasia, a tych jest przynajmniej większość w naszych kopalniach, hutach, stoczniach, cementowniach, weale nie stanowią świadomej klasy robotniczej, o jakiej myśleli klasycy i zawodowi rewolucjoniści socjalizmu. To nie jest klasa robotnicza. To jest lud. Ani śladu Marksa czy Lenina, za to strasznie dużo Robespiera”.

Oto jak utalentowany pisarz, pozwolił sobie narzucić zaskorupały schemat myślenia i patrzenia na rzeczywistość. Nie dziwi też, że na każdym kroku jest zaskakiwany Szczypiorski przenikliwością „pań z magła”. Wciąż nie może się pozbyć garbu, że jest inny, z lepszej gliny, że mu się należy lepsze miejsce przy stole i dostęp na wyższy szczebel zhierarchizowanej drabiny społecznej. W feudalno-bizantyjskiej czynowniczej hierarchii nadano Szczypiorskiemu niegdyś rangę, więc teraz broni jej z pasją i ząbami od kogo ją otrzymał.

„To właśnie jest kwestia hierarchii, a zatem również obyczaju publicznego. Każdy powinien znać swoje miejsce. Troglodyci mogą nawet rządzić (sam znałem jednego troglodytę — ministra i trzech neandertalczyków — wiceministrów), ale nie mogą się wypowiadać na temat Jana Józefa. Niech Ś. robi wielką karierę, niech idzie w ambasadory, niech zostanie ministrem — to jego święte prawo w naszym ludowym ustroju. Ale Ś. urodził się takim, jakim się urodził. Jest to kwestia z dziedziny biochemii i biofizyki, sprowadza się do liczby określonych komórek. I to trzeba akceptować, jeśli w ogóle ma istnieć społeczeństwo. Nawet w tak trudnych, nienormalnych warunkach jak obecne”.

I tylko czasami — spod warstwy zniewolonego myślenia, rodem z klatki i narosłej przez lata pychy członka elitarnego getta — przedziera się coś nowego, pojawia się cień nowej wiary. Ta ostatnia jest związana z dochodzeniem Szczypiorskiego do chrześcijaństwa, z jego dochodzeniem do religii i Kościoła, powrotem ku katolicyzmowi. Widzę w tym najmocniejszą stronę notatnika pisarza, chociaż wielu Szczypiorski wierzący w Boga może równie nie przekonać, jak mnie Szczypiorski broniący socjalizmu czy łudzający się możliwością kompromisu z władzą.

Najważniejsze jest jednak co innego, iż właśnie taki dziennik pisarza przynosi — poprzez swoje rozłamanie treściowe, częste zaprzeczenia i dwuznaczności kogoś kto wyszedł już z klatki socjalistycznej, ale nadal myśli jeszcze tak jakby w niej wciąż siedział — nieskłamany obraz stanu myśli wielu polskich intelektualistów czy artystów. Irytuje i drażni, ale w końcu wzbudza i swoisty podziw swoją szczerością. Bo też przy wszystkich swoich słabościach jest to książka prawdziwa i wnosząca dużo nowego do rozpoznania duchowego oblicza dzisiejszego polskiego inteligenta.

Tabernarius amicus Poloniae

Ładnie wydany dwujęzyczny francusko-angielski tomik wierszy René Tavernier¹ daje mi sposobność przedstawienia polskiemu czytelnikowi jednego z najważniejszych przyjaciół Polski „Solidarności”. Tavernier jest od pięciu lat prezesem francuskiego PEN Klubu, co nie stanowi łatwego zadania, gdy się ma poprzedników takich jak Anatole France, Romain Rolland, Georges Duhamel, ostatnio Pierre Emmanuel. Jako poeta, powieściopisarz, krytyk literacki Tavernier nie ma oczywiście ich międzynarodowego prestiżu, ale jego znajomość francuskiego środowiska literackiego, głębokie i czynne, zacerpnięte we wczesnej młodości w szeregach francuskiego ruchu oporu przywiązanie do wartości których broni PEN Klub Międzynarodowy, a również niezależność finansowa pozwalająca mu na całodzienną pracę w funkcji honorowej, pozwoliły mu wzmocnić działalność francuskiego PEN Klubu, skupić w nim czołowych dziś pisarzy, nadać mu znaczenie, którego nie miał od niemal pół wieku. W skreślonym w trzeciej osobie krótkim wstępie do tego zbioru może więc „stwierdzić z poczuciem dumy, że francuski PEN Klub jest dziś jednym z najczynniejszych na świecie. Jednym z jego głównych zadań jest obrona ludzi prześladowanych na pięciu kontynentach przez różne, nieraz przeciwstawne ustroje (Chile, Urugwaj, Kuba, Wietnam, Polska, ZSSR itd.)”.

Tavernier pochodzi z rodziny należącej po obu stronach do odwiecznego patrycjatu Lyonu. Łacińska etymologia nazwiska (Tabernarius) skłania go do na pół tylko żartobliwego twierdzenia, że jest „typowym Gallo-Rzymianinem”. Jego debiut literacki jest wczesny i jakby wymarzony: wiersze młodego studenta drukuje *Nouvelle Revue Française*, wówczas przecież pismo Gide'a, Valéry, Malraux. W przeciwieństwie do większości młodych literatów francuskich, Tavernier wstępuje do *Résistance* już w roku 1940, bierze czynny udział w jej akcjach kurierskich, ukrywa jej czołowych działaczy, dostarcza im fałszywych dokumentów. W roku 1941 zakłada w Lyonie pismo literackie *Confluences*, w którym przez cały czas wojny ogłaszają swe utwory Camus, Sartre, Mauriac, Claudel, Eluard a również Gertrud Stein, ukrywająca się na południu Francji, zaopatrzona przez niego w fałszywe papiery. Tej najpiękniejszej epoce swej młodości poświęcił ostatnio Tavernier tomik pt. *Les poètes de Confluences*.

Z René Tavernier przyjaźnię się od trzydziestu lat, od czasów

1. *Poèmes 34 Poems*, tłumaczenie angielskie John Bart Gerald; Moody, New York 1984, 100 str.

mej pracy w redakcji *Preuves*, gdzie często pisywał. Był zawsze uroczym i zabawnym kompanem (w jego bibliografii niepoślednie miejsce zajmuje książka o kuchni Lyonu, pełna przepisów prababek i gastronomiczno-enologicznych anegdot, francuski odpowiednik uroczej książki kucharskiej Marysi Iwaszkiewicz). Jego monolog dowcipów, mania kalamburów (oparta na słusznej zasadzie „im głupiej, tym zabawniej”) wydawały mi się zawsze maską melancholii, żalu za minioną „jedyną wiosną, jaką miał w życiu”. Potwierdza to ostatni tomik. Poeta wyobraża sobie swój pogrzeb, z delegacjami „byłych bojowników *Résistance*, Ubezpieczeń Społecznych, Viveur's Club, przyjaciół muzeów wina i motorów samochodowych, członków jawnie tajnych towarzystw”. W innym wierszu, o „seminarium, kolokwium, sympozjum (...) Ministrowie z Lewicy powtarzają zasady swych świętych przodków; Ministrowie z Prawicy w święte zasady przebiorają własny interes”. Tavernier zdaje sobie sprawę, po Gombrowiczu, jak często, zamiast mówić, „był mówiony”:

*Dość już moich wysiłków, moi Mistrzowie,
By z wami waszym mówić językiem,
Mówić językiem salonów i banków i auli,
Językiem poetów, filozofów, księży.
Aby mówić za wami mówiłem na wiatr,
Dzień i noc, noc i dzień, dzień i noc,
Aż zakrył mnie welon waszych słów,
Aż się zgubiłem w labiryncie waszych zdań.*

Niedawno dopiero odkryłem, że światowy sceptycyzm mego starego przyjaciela maskuje nie tylko melancholię i rozczarowanie, że kryje się za nim najwyższe przywiązanie do ideałów młodości, zaraźliwa energia, nieustępliwość, tak rzadka we Francji hojność nie tylko materialna, ale własnym „kredytem” u możliwych tego świata. Świadczy o tych cechach jeden tylko wiersz w tym zbiorze — może nie najlepszy, ale napisany z pasją, w którym wspomina po kolei, jak w nienawistnej litanii, grubego błazna z rzymskiego balkonu, Hitlera i jego czarne msze w Norymberdze, Stalina i milczenie białych cmentarzy, Hodżę, Ceausescu, Pinocheta, Stroessnera, Gualtieri, aż do czterowersza, którego rymy wiernie tu przekazuję:

*Generale o twarzy wrony
Co kraczesz dziś w mikrofony
Co kraczesz dziś sam do siebie
Gdy Polsce nałożyłeś knebel?*

K. A. JELEŃSKI

Obrona Judasza

W swej recenzji z dramatu K. H. Rostworowskiego „Judas z Kariothu” Karol Irzykowski napisał: „... dużą wadą *Judasza* jako sztuki jest to, że autor zatarł legendarność głównej postaci i że robiąc Judasza „ludzkim” przesadził, zrobił go — mimo woli — aż męczennikiem, ofiarą prorocztwa i Boga. Wszyscy naokoło niego wiedzą, wszyscy są przekonani o bóstwie Chrystusa, tylko on jeden jest sceptykiem, oni żyją już jakby w roku 1500, żyją zwycięstwem Chrystusa, on jeden jest naprawdę współczesny, tylko w nim wiara się waha. *Judasz* Rostworowskiego napisany jest dla ludzi wierzących i ta wiara ma cechy dogmatu. Jego Judasz jest... Judaszem... pobitym i potępionym *a priori*, bez walki”.

Jean Ferniot w świeżo wydanej powieści „Święty Judasz”^{*} zrobił swą tytułową postać świadomie osobą, którą „mimo woli” sugeruje sztuka Rostworowskiego. Poza tym powieść ta jest dokładną odwrotnością „*Judasza z Kariothu*”, tzn. w pierwszym rzędzie jest napisana dla niewierzących. Chrystus Jean’a Ferniot (w podarameizowanej onomastyce autora zwany Jozua [‘Jeshua’]) jest tylko człowiekiem, najstarszym synem wielodzietnej rodziny nazaretańskiego stolarza, byłym członkiem esseńskiej wspólnoty w Qumran, którą był porzucił czując w sobie głos wyższego, bezpośredniego boskiego powołania. Wypadki znane z Ewangelii są w opowieści Ferniot sekwencją mniej więcej normalnych zdarzeń, towarzyszących procesowi uwyrażniania się owego głosu, krystalizacji misji wybawicielskiej, która do niemal ostatniej chwili rysuje się samemu powieściowemu Jezusowi niejako i ambiwalentnie: może będzie nią tryumf ziemski, zwycięstwo nad Rzymianami, a może przeciwnie, ofiara złożona wśród klęski i pozornej hańby.

Jasna jest dlań tylko autentyczność głosu i przymus działania, praca nad puszczeniem w ruch mechanizmu Odkupienia, którego „zasady konstrukcyjnej” sam dobrze nie rozumie. Wie tylko, że ma ona związek z zasadą „Miłość jest wyższa od Prawa” i z wiarą, która właściwie jest wiernością, czyli konsekwencją raz dokonanego wolnego wyboru. Najwyższym uosobieniem tej wierności jest w powieści postać Judasza.

W przeciwieństwie do „drobnomieszcząńskiego” Judasza ze sztuki Rostworowskiego („*jam w Galilei sklepik miał*”) „świąty Judasz” z omawianej powieści jest człowiekiem silnym i górującym nad pozostałymi Dwunastoma inteligencją, śmiałością i przywiązaniem do Mistrza. Jest pierwszym i najwierniejszym uczniem — chwilami robi wręcz wrażenie opiekuna czy pasterza Baranka — i dlatego jemu właśnie powierza powieściowy Jozua naj-

^{*} Jean Ferniot, *Saint Judas*; roman, éd. Roman Grasset, Paris 1984, str. 282.

trudniejszą rolę w mesjanistycznym scenariuszu, mgliście przepowiedzianym przez Pismo. Ponieważ ma być zdrada, niechaj on będzie zdrajcą; ponieważ jest silny i wierny, niechaj tajemnicę swego współudziału w wypełnieniu prorocztwa weźmie do grobu, do haniebnego grobu samobójcy! Powieściowy Judasz przyjmuje na siebie odium. I nie tylko: staje się współtwórcą chrześcijaństwa nie tylko w sensie metafizycznym, w biernej roli *zła* stanowiącego konieczny kontrast ze *złem*, ale i w znaczeniu dosłownym, praktycznym. W swej ostatniej rozmowie z Piotrem, już po Golgocie, Judasz podsuwa mu myśl zaaranżowania koniecznej reszty zdarzeń:

„Tylko wątpiących należy przekonać, że posiadacie prawdę, ponieważ my sami jesteśmy pewni, że to jest prawda. Wołajcie, że Mistrz powrócił z królestwa umarłych i że po daniu wam ostatnich poleceń został wzięty do nieba. ... Gdy człowiek poświęcił życie jakiejś sprawie, nie może tak łatwo rezygnować ze służenia jej. Nie chodzi o to, by was przekonywać o tym, że Jozua z Nazaretu jest Mesjaszem. Wy o tym wiecie, my o tym wiemy. Chodzi o to, by przekonać świat. Jeśli trzeba w tym celu kłamać, to jest to niewielką przewiną. Czy brak wam siły, twemu bratu Andrzejowi i tobie, by odwalić kamień z grobu, w którym Mistrz zostanie złożony i przenieść zwłoki gdzie indziej? Czy nie macie dość wiary, by przekonać niewiasty, zwłaszcza Miriam [Marię Magdalenę], tę marzycielkę, dla której miłość jest silniejsza od śmierci, o rzeczywistości tego powrotu, którego pragną tak gorąco, iż nie ośmielają się go spodziewać? Czy nie macie dość wyobraźni by opowiadać, w jaki sposób Mistrz został uniesiony w niebo? Przypomnij sobie ów dzień na górze, gdy zdawało ci się, że znajdujesz się w innym świecie, gdy widziałeś Pana przemienionego i jakby wchłanianego przez promienie słoneczne i gdy głazy wzięte za postacie Mojżesza i Eliasza?”

Przemowa ta streszcza w pewnym sensie całość nastawienia Ferniot do tematu: jest to nastawienie świeckie, traktujące początki chrześcijaństwa jako mitologię, pozwalającą na rodzaj gry w dopasowywanie charakterów i motywacji tak, by wynik był mniej więcej zgodny z jej kontynuacją historyczną. Dodajmy, że cytat tu przytoczony jest jedynym miejscem, w którym mowa o świadomej mistyfikacji dla dobra sprawy; w całości książka akcentuje raczej twórczą rolę wiary w powstawaniu zjawiska religii. Jest to punkt wspólny z beletrystycznymi ujęciami tego samego tematu z pozycji „dogmatycznej”, jak choćby u Rostworowskiego, gdyż i w nich istnienie prawdy religijnej jest uwarunkowane istnieniem i kontynuacją wiary. Różnica pomiędzy obu stanowiskami jest raczej natury moralnej niż jakościowej; oba stanowiska uznają fenomen wiary, ale pierwsze odnotowuje je jedynie jako neutralny fakt psychologiczny, drugie natomiast oznacza je znakiem dodatnim i przeistacza w nakaz.

Sygnalizując pojawienie się książki Ferniot czytelnikom polskim, wśród których jest wielu wierzących, podkreślić może należy nie tylko, że jest ona dobrze napisana — tzn. że jest sugestywna i konsekwentna w ramach przyjętego założenia — ale i to, że przypomina ona ona o istnieniu sfery intelektualnej, w której nakazy ustąpiły tolerancji.

Spis wydawnictw podziemnych w PRL (4)

Już po raz czwarty ukazuje się tu spis krajowych wydawnictw podziemnych*, które rzeczywiście coraz częściej są drukowane w pomieszczeniach wygrzebanych w ziemi, jak to przeważnie miało miejsce w czasie niemieckiej okupacji. Nie wiadomo jak dalece te spisy dają pełny obraz podziemnej działalności wydawniczej bo nie ma jeszcze w Kraju centralnej instytucji, która by rejestrowała zarówno książki, prasę i druki ulotne. Powinna to robić z urzędu Biblioteka Narodowa a właściwie znajdujący się w niej Instytut Bibliograficzny. Jednak nic na ten temat nie można się dowiedzieć. Dochodzą nas słuchy, że polskie biblioteki na Zachodzie są zawiedzione tak małą liczbą tych wydawnictw do nich dochodzących. Czy jednak ich dyrektorzy zastanawiają się z jakim jest to połączone ryzykiem?

Jesienią 1982 roku szef warszawskiej bezpieki zapewniał gen. W. Jaruzelskiego, że do nowego roku zlikwiduje w stolicy wszystkie warszawskie drukarnie podziemne. Na skutek wzmożonych poszukiwań udało się im wykryć kilka drukarni i powiełarń co spowodowało pewną przerwę w ukazywaniu się paru czasopism, ale już od marca br. wszystko wróciło do normy. Skoro solenne przyrzeczenie generała bezpieki nie zostało dotrzymane sprowadzono aż z Częstochowy tamtejszego szefa bezpieki, działającego już przedtem w Elblągu, i postawiono go na czele specjalnej komórki do likwidacji działalności konspiracyjnej na wzór francuskiej „brygady tygrysa”! Jak dotąd nie widać olśniewających rezultatów jej działalności — a może to tylko „tygrys” przyczaił się?

Pisma podziemne ukazują się nadal w wielu miastach jak to widać choćby z poniższego ich wykazu rejestrującego 161 nowych tytułów. Jednak z uwagi na coraz to liczniejsze przypadki infiltrowania społeczeństwa przez szpiclów bezpieki kolportuje się obecnie wydawnictwa konspiracyjne tylko wśród osób bezwzględnie zaufanych, a mimo to raz po raz dochodzi do aresztowań ofiarnych kolporterów. Wprawdzie w porównaniu do niemieckiej okupacji zmieniła się bardzo technika wydawnicza ale samo rozprowadzanie wydawnictw podziemnych nic się już nie różni od tamtych czasów. Obecnie ukazuje się coraz więcej książek oraz czasopism wydawanych techniką fotooffsetową pozwalającą zmieścić dzięki znacznemu zmniejszeniu więcej tekstu na małej

* Poprzednie spisy były zamieszczane w nr. 6/1982, 12/1982 i 5/1983 Kultury.

powierzchni. Ze względów konspiracyjnych coraz częściej wydawnictwa książkowe podają na karcie tytułowej 1981 rok wydania a często inną miejscowość od tej w której rzeczywiście druk się ukazał. W przyszłości więc bibliografowie będą mieli ciężki orzech do zgryzienia w ustaleniu prawdziwego miejsca i roku wydania niektórych książek.

Obecnie podajemy zestawienie opisów 82 nowych wydawnictw książkowych, zaledwie w kilku przypadkach nie opisanych z autopsji. Mimo niesłuchanie drobiazgowej kontroli na granicy w poszukiwaniu papieru i farby drukarskiej wydawcy podziemni nie narzekają dotąd na braki tego rodzaju.

1. SPIS CZASOPISM PODZIEMNYCH WYDANYCH OD LUTEGO DO MAJA 1983 (Z UZUPEŁNIENIAMI ZA OKRES WCZEŚNIEJSZY)

1. *AGO*. Biuletyn Akademickiej Grupy Oporu Politechniki Śląskiej przy Gliwickiej Delegaturze NSZZ Solidarność Region Śląsko-Dąbrowski 1982-1983.
2. *AIT*. Agencja Informacyjna T KOS. Warszawa 1982.
3. *Akademicki Ruch Samoobrony*. Wrocław po 13 grudnia 1981.
4. *Akcja Konspiracyjna*. Łódź 1982.
5. *Almanach WSN*. Wydawnictwo Społeczne KOS. Warszawa 1982.
6. *Amperek*. Kraków 1983.
7. *Aspekt*. Wrocław 1982.
8. *Bez Cenzury*. Biuletyn informacyjny więźniów w więzieniu przy ul. Kłęczkowskiej we Wrocławiu. Wrocław 1982, rękopis.
9. *[Bez tytułu]*. Poznań 1981-1982.
10. *Biblioteka Aro*. Pismo Akademickiego Ruchu Oporu we Wrocławiu. Wydaje Agencja Informacyjna Solidarności Wojewódzkiej. Wrocław 1983.
11. *Bibuła*. [Wydaje] TKW. Warszawa 1982.
12. *Bieszczadnik*. Bieszczady 1982.
13. *Biuletyn Akademicki*. Gdańsk 1982.
14. *Biuletyn Dyskusyjno-Informacyjny*. Kraków 1982-1983. „Solidarność” wydaje dla służby zdrowia.
15. *Biuletyn Informacyjny GZE Unimat*. Gdańsk 1982.
16. *Biuletyn Informacyjny LOS (Lamina)*. Mazowsze 1982.
17. *Biuletyn Informacyjny NSZZ Solidarność Akademia Medyczna*. Kraków 1982-1983.
18. *Biuletyn Informacyjny Politechniki Wrocławskiej*. Wrocław 1982.
19. *Biuletyn Informacyjny Topolówka*. Pismo szkół średnich. Gdańsk 1982-1983.
20. *Biuletyn Informacyjny ZAR*. Pomorze Zachodnie 1982.
21. *Biuletyn Kolejarzy Regionu Mazowsze*. Warszawa 1982.
22. *Biuletyn Komitetu Ocalenia Solidarności Unitra Telpod*. Kraków 1982.
23. *Biuletyn KOS Pomorza Zachodniego*. B.m.w.* 1982.
24. *Biuletyn Lęborka*. Lębork 1982-1983.

* B.m.w. — Bez miejsca wydania.

25. *Biuletyn Łódzki*. Łódź 1982.
26. *Biuletyn NSZZ Solidarność Uniwersytetu Wrocławskiego*. Wrocław 1983.
27. *Biuletyn Służby Zdrowia Małopolski*. Kraków 1982.
28. *Biuletyn Programowy TKK Regionu Śląsko-Dąbrowskiego*. Katowice 1982.
29. *Biuletyn Rady Programowej NSZZ Solidarność Regionu Śląsko-Dąbrowskiego*. B.m.w. 1982.
30. *Biuletyn R[uchu] T[rzynastego] G[rudnia]*. Kraków 1982.
31. *Biuletyn Solidarności Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego*. Kraków 1982. [Nie ukazuje się].
32. *Biuletyn Uniwersytetu Łódzkiego*. Łódź 1982.
33. *Biuletyn Zakładowego Komitetu Strajkowego FAM [Fabryka Maszyn Budowlanych Fadroma]*. Wrocław 1982.
34. *CDN*. [Wydaje] Stocznia Remontowa Nauta w Gdyni. Gdynia 1982.
35. „*Co Jest Grane*”. [Wydaje] Instytut Fizyki Jądrowej. Warszawa 1982-1983.
36. *De Facto*. Pismo szeregowych członków NSZZ Solidarność. Wrocław 1982-1983.
37. *[Dziesięć] 10 Milionów*. Dolny Śląsk 1982.
38. *Dzięcioł*. Warszawa 1982.
39. *Ejemeryda*. [Wydaje] Politechnika Warszawska. Warszawa 1982.
40. *Ekstremista*. [Pismo więźniów]. Racibórz, od kwietnia do początku czerwca 1982.
41. *Fatamorgana*. Pismo Pracowników Fabryki Automatów Tokarskich, ul. Grabiszewska 281. Wrocław 1982-1983.
42. *Feniks Solidarność*. Biuletyn Informacyjny RKW NSZZ „Solidarność” Region Gorzów Wielkopolski. Gorzów Wielkopolski 1982. (Nakład 5.000 egzemplarzy).
43. *Gazeta Politechniczna*. Wydawnictwo Politechniki Gdańskiej. Gdańsk 1982-1983.
44. *Gazetka Krakowska*. Serwis Informacyjny Akademickiego Ruchu Samoobrony. Wydawca: Ruch Oporu Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Kraków 1982.
45. *Głos Hutmenu*. Dolny Śląsk 1982.
46. *Głos Młodych*. Lublin 1982.
47. *Głos Śląsko-Dąbrowski Solidarności*. B.m.w. 1982.
48. *Głos Wolny Wolność Ubezpieczający*. Kraków 1982-1983.
49. *Głosy*. Warszawa 1982.
50. *Goniec Wojenny*. Solidarność. Drukarnia Łapy. Białystok 1982.
51. *Goniec Wojenny*. Solidarność. Elbląg 1982.
52. *Hydralak*. Serwis PZL — Hydral. Wrocław 1982-1983.
53. *Igła Siedzącej Ekstremy*. Pismo satyryczne więźniów w więzieniu przy ul. Kłęczkowskiej. Wrocław 1982.
54. *Immunitet*. Pismo T[ymczasowego] Z[arządu] U[czelnianego] NZS U[niwersytetu] M[ikołaja] K[opernika]. Toruń 1982-1983.
55. *Informacja Komitetu Ocalenia Solidarności przy Unitra Telpod*. Kraków 1982.
56. *Informacja Wewnętrzna [PKZ]*. B.m.w. 1982.
57. *Informator Bydgoski*. Bydgoszcz 1982.
58. *Informator NSZZ Solidarność*. Wydawnictwo: Tymczasowa Komisja Zakładowa NSZZ Solidarność przy Fabryce Samochodów Małolitrażowych. Bielsko-Biała 1982.
59. *Informator Strajkowy z dnia...* [Wydaje] Robotniczy Komitet Strajkowy. Lublin 1981.
60. *Informator Wojenny Narodowego Banku Polskiego*. Warszawa 1982.
61. *Intermedium*. Miesięcznik. Wydawnictwo Wola. Warszawa 1982.

62. *Jesteśmy — Będziemy*. [Wydaje] Robotniczy Komitet Obrony WSK NSZZ Solidarność. B.m.w. 1982-1983.
63. *Kierunek*. Pismo Komitetu Porozumienia Międzyzakładowego Solidarności. [Szczecin?] 1982-1983.
64. *Kierunki*. Pismo Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Solidarność. [Szczecin] 1982.
65. *Kolejarz Małopolski*. Gazeta członków NSZZ Solidarność Węzła Krakowskiego. Kraków 1982.
66. *Komunikat*. (Mikroregion „Solidarność” Mokotów). Warszawa 1983.
67. *Komunikat Biura Prasowego*. B.m.w. od 14 grudnia 1981.
68. *Komunikat Komitetu Strajkowego w Polskiej Akademii Nauk*. Kraków 1981.
69. *Komunikat Nr ...* Grupa Robocza Międzyregionalnej Komisji Obrony NSZZ Solidarność. B.m.w. 1982.
70. *Komunikat Nr...* Regionalny Komitet Strajkowy NSZZ Solidarność. Wrocław 1981.
71. *Komunikaty*. Niezależne Zrzeszenie Studentów Polskich. Wrocław 1983.
72. *Kontakty*. Pismo Sieci KOS Regionu Śląsko-Dąbrowskiego. Katowice 1982.
73. *KOS*. Komitet Oporu Społecznego „KOS”, Gliwicka Delegatura RKW. [Gliwice] 1982.
74. *KOS*. Komitet Oporu Społecznego „Solidarność”. Wydawnictwo Komitetu Oporu Społecznego „Solidarność” Regionu Świętokrzyskiego. Kielce 1982.
75. *KOS a zazwyczaj tygodnik*. Redaguje Klub Dziennikarzy Robotniczych. Druk: Drukarnia RKW NSZZ Solidarność Małopolska. Kraków 1982.
76. *KOS 753 „Solidarność” Regionu Południe*. B.m.w. 1982.
77. *Kret*. Pismo satyryczne Uniwersytetu Gdańskiego. Gdańsk 1982-1983.
78. *Krzyk*. Kraków 1982.
79. *Kurier CEBeA*. Kraków 1982-1983.
80. *Lech*. Pismo Koła Oporu Społecznego NSZZ Solidarność Lech. Poznań 1982.
81. *Łódzki Ruch Oporu*. Łódź 1982.
82. *MKS*. Kraków 1982.
83. *Mała Polska*. Dodatek niezależny do pisma *Dzień*. Kraków 1983.
84. *Młoda Polska*. Organ Pierwszej Młodzieżowej Brygady Niepodległościowej. Warszawa 1983.
85. *Monter*. Biuletyn Solidarności FSO. Warszawa 1982-1983.
86. *Na Stronie*. Wydawca PAP — Polskie Archiwum Prasowe. Kraków 1982-1983. (Nakład 5.000 egzemplarzy).
87. *Nasz Związek*. Skierniewice 1982.
88. *Nasza Krata*. Obóz internowanych. Kwidziń 1982.
89. *Nie*. Gdańsk 1982.
90. *Niezależna Agencja Informacyjna*. Warszawa 1982.
91. *Nowy Zapis*. Wydawnictwo Społeczne KOS. [Warszawa] grudzień 1982. Jest to kontynuacja „przedwojennego” Zapisu.
92. *Odrodzenie*. Gdańsk 1982.
93. *Odrodzenie*. Serwis informacyjny. Wrocław 1982.
94. *Oko*. Biuletyn Zakładów „Alka” w Słupsku. Słupsk 1982.
95. *Opornik*. Elbląg 1982.
96. *Orzeł*. Łódź 1982.
97. *Pismo FAT*. Dolny Śląsk 1982.
98. *Pismo Telpodu*. Kraków 1982.
99. *Pismo Zakładu CeBeA*. Kraków 1982.
100. *Pokolenie*. Warszawa 1982-1983.

101. *Promieniści*. Pismo ojców i dziadów dla synów i wnuków. [Kraków] 1982-1983.
102. *Protest*. Pismo TKK Solidarność Regionu Bydgoskiego. Bydgoszcz 1982.
103. *Protest*. Tygodnik NSZZ Solidarność. Szczecin 1982.
104. *Proza Życia*. B.m.w. 1982.
105. *Przedświt*. Łódź 1982.
106. *Przegląd Polityczny*. Dwumiesięcznik. Gdańsk 1983.
107. *Przegląd Prasy Podziemnej*. Warszawa 1982.
108. *Przegląd Prasy Związkowej i Niezależnej*. Kraków 1982.
109. *Punkt Widzenia*. Niezależne pismo społeczno-polityczne. Wrocław 1982.
110. *Quo Vadis*. Toruń 1983.
111. *Reduta*. Mazowsze 1982.
Robotniczy Komitet Obrony WSK zob. *Jesteśmy — Będziemy*.
112. *Robotnik Łęborka*. Pismo Terenowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ Solidarność w Łęborku. (Wydawane w WPDW im. J.P.) Łębork 1982-1983.
113. *Równość*. Warszawa 1982.
114. „S” ’82. Gdańsk 1982.
115. *Serwis Informacyjny Problemy*. Regionalna Komisja Wykonawcza Solidarność Małopolska. Kraków 1982.
116. *Serwis Informacyjny SKOD* [Studencki Komitet Obrony Demokratycznej] NZS. Kraków 1981-1982.
117. *Silva Rerum*. Almanach Wydawnictwa Krąg. Warszawa 1982 nr 2. Nr 1 wyszedł w 1981 roku.
118. *Solidariusz*. Miesięcznik społeczny i polityczny. B.m.w. 1982.
119. *Solidarni — Wiadomości Wojenne*. Łódź 1982.
120. *Solidarność*. Informacja NSZZ Solidarność Politechniki Warszawskiej. Warszawa 1982-1983.
121. *Solidarność*. Regionalna Komisja Koordynacyjna Ziemi Łódzkiej. Łódź 1982.
122. *Solidarność*. Wiadomości, opinie, komentarze. [Wydaje:] Komitet Oporu Społecznego KOS NSZZ Solidarność Regionu Pomorza Zachodniego. Szczecin 1982.
123. *Solidarność AM* [Akademii Medycznej] i *PSK* [Państwowej Szkoły Klinicznej]. Kraków 1982-1983.
124. *Solidarność Elwro*. Pismo NSZZ Solidarność. B.m.w. 1982.
125. *Solidarność Grzegorzeka*. Pismo zakładów pracy dzielnicy Kraków-Grzegórzki. Kraków 1982-1983.
126. *Solidarność i Rozwaga*. Pismo Stoczni Gdańskiej. Gdańsk 1982.
127. *Solidarność Nauczycielska*. Kraków 1982-1983.
128. *Solidarność Pafawag*. [Wrocław] 1982.
129. *Solidarność Robotnicza*. Pismo członków NSZZ Solidarność. Wrocław 1982.
130. *Solidarność Rolników Indywidualnych Regionu Ziemi Kieleckiej*. B.m.w. 1982.
131. *Solidarność Ziemi Chełmskiej*. Chełm 1982.
132. *Solidarność Walcząca*. Wydawca Oddział Katowice. Katowice 1983.
133. *Solidarność Wyrbrzeża*. Gdańsk 1982.
134. *Solidarność Zwycięży*. Nieregularnik wojenny Koła Oporu Społecznego 241 NSZZ Solidarność. Kraków 1982-1983.
135. *Spójnia*. (FSO). Warszawa 1982.
136. *Sprzeciw*. NSZZ Solidarność. Warszawa 1982.
137. *Stamtąd*. KOS — 31. Wydawnictwo Wojenne. Kraków 1982-1983.
138. *Sum*. Warszawa 1982.
139. *Sygnaty*. B.m.w. 1982.

140. *Szaniec*. Łódź 1982.
141. *Szpargał*. Dwumiesięczne pismo literackie stanu wojennego. Niezależna Oficyna Wydawnicza. Gdańsk 1982.
142. *Ściągawka*. Pismo ruchu Solidarność. Przedruki. Warszawa 1983.
143. *Teka*. Niezależne pismo młodzieży szkół średnich. Miesięcznik. [Warszawa] 1982.
144. *Tygodnik Wojenny*. Edycja Dolny Śląsk. Wrocław 1983.
145. *Tym Czasem*. [Kraków] 1982-1983.
146. *Veto!* Kraków 1982-1983.
147. *Warianty*. Łódź 1982.
148. *Węzełek*. Warszawa 1982.
149. *Wodnik*. Miejskie Przedsiębiorstwo Wodne i Kanalizacyjne. Warszawa 1982.
150. *Wolna Solidarność*. Łódź 1983.
151. *Wolni i Solidarni*. Miesięcznik Porozumienia Solidarności Walczącej — Oddział Katowice. Katowice 1982.
152. *Wolny Głos*. Krakowski oddział internowanych. Załężę od lutego do lipca 1982.
153. *Wrocławski Serwis Informacyjny*. Wrocław od 16 grudnia 1981.
154. „Wujek”. Wydawnictwo Młodzieży KOS KWK Wujek. Katowice-Brynów 1982.
155. *Z Przeglądu Bieżących Wydarzeń*. [Warszawa] 1982.
156. *Zagłębie Miedziowe*. Głogów - Lubin - Polkowice 1982.
157. *Zeszyt Poezji Podziemnej*. Wrocław 1982.
Wyszło 13 numerów.
158. *Zew*. Pismo Niezależnego Związku Młodzieży (NZM). B.m.w. 1982.
159. *Ziarno*. Przegląd myśli nieuporządkowanej. [Pismo społeczno-literackie]. B.m.w. 1982.
160. *Żądło Robola*. Pismo satyryczne. (Czasopismo wychodzi pod czujnym okiem SB). [Dolny Śląsk] 1982.
161. *Żółw*. Pismo niedouczonej poprawiaczy socjalizmu. (Żółwia Wrona nie pokona). [Warszawa] 1982.

INDEKS MIEJSCOWOŚCI, W KTÓRYCH UKAZUJE SIĘ PRASA PODZIEMNA

Białystok 50; Bielsko-Biała 58; Bieszczady 12; Bydgoszcz 57, 102; Chełm 131; Dolny Śląsk 37, 45, 97, 160; Elbląg 51, 95; Gdańsk 13, 15, 19, 43, 77, 89, 92, 106, 114, 126, 133, 141; Gdynia 34; Gliwice 1, 73; Głogów 156; Gorzów Wielkopolski 42; Katowice 28, 72, 132, 151, 154; Kielce 74, 130; Kraków 6, 14, 17, 22, 27, 30, 31, 44, 48, 55, 65, 68, 75, 78, 79, 82, 83, 86, 98, 99, 101, 108, 115, 116, 123, 125, 127, 134, 137, 145, 146; Kwidzyn 88; Łębork 24, 112; Lubin 156; Lublin 46, 59; Łódź 4, 25, 32, 81, 96, 105, 119, 121, 140, 147, 150; Mazowsze 16, 111; Polkowice 156; Pomorze Zachodnie 20, 23; Poznań 9, 80; Racibórz 40; Skierniewice 87; Słupsk 94; Szczecin 63, 64, 103, 122; Śląsk Dąbrowski 29, 47; Toruń 54, 110; Warszawa 2,5, 11, 21, 35, 38, 39, 60, 61, 66, 84, 85, 90, 91, 100, 107, 113, 117, 120, 135, 136, 138, 142, 143, 148, 149, 155, 161; Wrocław 3, 7, 8, 10, 18, 26, 33, 36, 41, 49, 52, 53, 70, 71, 93, 109, 128, 129, 144, 153, 157; Załężę 152.

2. WYKAZ KSIĄŻEK I BROSZUR KONSPIRACYJNYCH

1. *Amsterdamski Stefan: Życie naukowe a monopol władzy*. (Caus Ły-senko). Warszawa 1981 Nowa. [Przedruk: Wrocław 1983], str. nlb. 2, 41, nlb. 2, fotooffset.

2. Anderson Richard D.: *Wejść czy nie wejść?* [Warszawa 1983 Wydawnictwo] Słowo, str. 45, nlb. 3, powiel., ilustr. [Cena] 80 zł.
3. *Aneks*. Kwartalnik polityczny 24/25 1981. (Przedruk: Polska 1981 [właśc.: Kraków Wydawnictwo] Alternatywy), str. 296, fotooffset.
4. *Antologia wierszy wojennych*. Opracowali: Inga, Jot Em, Spectator. Grafika: Be. W. Warszawa 1982 (Niezależna Oficyna Wydawnicza), str. 92, fotooffset.
5. *Antyreformistyczny syndrom*. Warszawa, wrzesień 1982. [Nakładem] Wola [druk mkk], str. 6, powiel. Cena 10 zł. — Wola, Zeszyt 1.
6. Agurski Michał: *Zagadnienia narodowe w ZSRR*. B.m.w. [1983], str. [149 —] 166, fotooffset.
7. Baran Stanisław: „*Bo tylko ten świat bólu...*” (Wrocław [1982?] Niezależne Wydawnictwo), str. nlb. 2, 9, nlb. 1, powiel.
- 8.* Bogusz Lech: *Mowy do narodu polskiego. Nowa Targowica*. Kraków 1982. Wydawnictwo Rzeczypospolita Polska — Komitet Ocalenia Narodowego.
9. Burek Tomasz: *Zapomniana literatura polska dziesięciolecia*. [Warszawa 1983] [Nakład] Wola Solidarność [druk mkk], str. nlb. 1, 19, fotooffset. — Wola. Zeszyt 5.
10. *Cel nadrzędny: „Niepodległość Państwa i Narodu”*. Platforma Wyborcza KPN. (Poznań 1982 WKOP), str. nlb. 6, powiel.
11. *Demokracja a ideał społeczny. Wybór tekstów*. [Pod redakcją Jana Ostaszewskiego. Kraków 1982] Krakowskie Towarzystwo Wydawnicze, str. nlb. 2, 149, fotooffset.
12. Didier Stanisław: *Rola neofitów w dziejach Polski*. Warszawa 1934. Nakładem „Mysli Narodowej”. [Przedruk: Warszawa 1982]. a. nlb. 1, 6-180, nlb. 2, tyt. okł., fotooffset.
13. Dmowski Roman: *Kościół, naród i państwo*. [Warszawa] 1982, Unia Nowoczesnego Humanizmu, str. 32, ilustr., fotooffset.
- 14.* *Do generała. Wiersze*. Gdańsk 1982, Politechnika Gdańska.
15. Dzielski Mirosław: *Odrodzenie ducha — budowa wolności*. Warszawa 1982. Wydawnictwo Consensus, str. nlb. 2, 36.
16. Giertych Jędrzej: *Tragizm losów Polski*. [Część 2:] *Polska na drodze do niepodległości*. Warszawa [1982]. Unia Nowoczesnego Humanizmu, str. nlb. 3, 340-622, fotooffset.
17. *Gryps z Kwidzyna*. [Warszawa 1982, Wydawnictwo] CDN, str. nlb. 2, 10, fotooffset.
18. Hrabal Bohumil: *Zbyt głośna samotność*. Wydanie II. Przełożył Paweł Hartman, Warszawa 1983, Wydawnictwo Krag, str. 50, nlb. 2, fotooffset. [Cena 75 zł].
19. Jaspers Karl: *Problem winy*. Przekład Jan Sarewicz. Warszawa [1983]. Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA, str. 67, fotooffset. — Biblioteka Krytyki.
20. Jerofiejew Wiedenikt: *Poemat*. Tłumaczyli z rosyjskiego Nina Kar-sow i Szymon Szechter. Słowo wstępne napisał i przypisy opracował Nikita Stawisky. Lublin 1976, Kontra. [Przedruk: Kraków] (1983). Wydawnictwo Nieobecnych, str. nlb. 2, 7-137, nlb. 1, fotooffset.
21. *KWK [Kopalnia Węgla Kamiennego] Wujek*. (Grudzień 1981 w kopalniach polskich). [Wiersze]. B.m.w. [1982]. (Wydawnictwo Wo-jenne), str. 10, nlb. 2, powiel.
- 22.* Karpiński Wojciech: *Słowiański spór*. Kraków 1981 [właściwie: 1982, Wydawnictwo] KOS.
- 23.* Karpiński Wojciech: *Szkice o wolności*. [Kraków 1982, Wydawnic-two] Niwa, str. 95, fotooffset.
Przedruk z wydania KOS'u z 1981 roku.

24. Kelus Jan Krzysztof: *Piosenki ze starej kasety 1968-1977*. Warszawa 1982, Wydawnictwo CDN, str. nlb. 2, 46, fotooffset + kaseta magne-tofonowa.
25. Kelus Jan Krzysztof: „*Z nieskończoną wciąż piosenką...*” 1980-1982. Warszawa 1982, Wydawnictwo CDN, str. nlb. 2, 62, fotooffset + kaseta magnetofonowa.
26. Kisielewski Stefan (Staliński Tomasz): *Romans zimowy*. Warszawa, grudzień 1982, NOWA. (Druk: Wydawnicza Wałkowo Bębnowa Dru-karnia Polowa im. J.P.), str. 115, fotooffset.
27. Kołakowski Leszek: *Przemiany marksizmu lat ostatnich*. (Przedruk). [Warszawa 1983]. (Nakład „Wola”, druk mkk), str. nlb. 2, 80, nlb. 2. Cena 100 zł. — Wola. Zeszyt 4.
28. *Kopalnia Wujek*. (Kopalnia Wujek 1981. Grudzień 1981 w kopal-niach polskich. Relacja). B.m.w. [1982]. (Wydawnictwo Wojenne), str. 20, nlb. 2, plan 1, powielacz.
29. Kurowski Stefan: *Teoria Kratosów*. Warszawa 1983, Wydawnictwo Liberta, str. 32, fotooffset. [Cena zł] (60).
30. Lis-Kozłowski Stanisław (kpt. Mścigniewicz): *Teorod (ptk F[ranciszek] Niepokolewczycki)*. Odbitka z Nr. 38 „Zeszyty Historyczne”, Instytut Literacki, „Biblioteka Kultury”, Tom 268. Paryż 1976. [Przedruk: Warszawa 1982], str. nlb. 4, 180-191, nlb. 2, ilustr., fotooffset.
31. *Litania uwięzionych*. Kraków 1982, Wydawnictwo Ars, str. 26, powiel.
32. Mackiewicz (Cat) Stanisław: *Historia Polski od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r.* Część I. [Kraków 1983]. Enigma, str. nlb. 4, 9-169, nlb. 2, fotooffset.
- 33.* Michnik Adam: *Listy z Białołęki*. (Przedruk). Gdańsk 1982, Politeh-nika Gdańska.
34. Mirowska Halina: *Lechu [Wąteś]*. Warszawa 1982, Wydawnictwo Głos, str. 70, nlb. 2, tabl. 8, fotooffset.
Teksty Ewy Berberysz składające się na tę książkę [umieszczono] bez wiedzy i zgody autorki.
35. Moczulski Leszek: *Historia zmiecie tę władzę*. Warszawa 1982, Wydaw-nictwo KPN, str. 8, powiel. (Cena 20 zł).
36. „*Normalizacja*” po czesku. [Warszawa 1982]. (Biblioteka Tygodnika Wojennego), str. 23, nlb. 1, fotooffset. (Cena 50 zł).
- 37.* Nowakowski Marek: *Raport wojenny*. Warszawa 1982, Niezależna Ofi-cyna Wydawnicza.
38. *O czym myśleć nie lubimy czyli o niektórych dylematach zasady naro-dowej*. Warszawa 1981, NOWA. [Przedruk: Wrocław 1983], str. nlb. 2, 37, nlb. 1, fotooffset.
39. *Oto jest wolności śpiew*. Część I. [Kraków 1982], Ruch Oporu Społecz-nego WN. (Drukarnia polowa nr 44 im. Tadeusza Kościuszki), str. 8, powiel. Cena 10 zł + 100 zł na internowanych i represjonowanych.
40. *Pieśni*. Warszawa 1983, [Wydawnictwo] Consensus, str. 32, nlb. 1 z nutami, fotooffset.
- 41.* *Poeta nigdy nie kłamie albowiem niczego nie twierdzi*. Kielce 1982, Niezależna Oficyna Wydawnictwa Kielce-Piastów, nakład 30 egzem-plarzy. — Biblioteka Solidarności.
42. Poleski Maciej: *Program i organizacja*. Warszawa (marzec) 1983. [Wydawnictwo] Oficyna, str. 20, fotooffset. Cena 40 zł.
43. *Polska Rzeczpospolita Solidarna*. [Warszawa] 16 marzec 1983, str. 4, tyt. nagł., fotooffset.
44. *Proces Władysława Frasyniuka*. [Warszawa 1983], str. 39, tyt. nagł., fotooffset z maszynopisu.
45. *Propozycje programowe dla kół samokształceniowych*. [Warszawa 1982, Wydawnictwo] O[święta] N[iezależna], str. nlb. 2, 36, nlb. 3, fo-tooffset. (Cena 50 zł). — Zeszyty Edukacji Narodowej.

46. *Proroctwa i przepowiednie*. 1. Księga ostrzeżenia „Podlasianka”. 2. Święta Panna. Fulla Horak. Warszawa [1982], Unia Nowoczesnego Humanizmu, str. 170, fotooffset.
47. *Reduta Śląska*. Poezje wojennej zimy. (Wydanie I). Gliwice [grudzień] 1982, Drukarnia Wydawnicza Akademickiej Grupy Oporu Politechniki Śląskiej (na zlecenie Gliwickiej Delegatury RKW NSZZ Solidarność Region Śląsko-Dąbrowski), str. 32, powiel. Nakład 1 tysiąc. Cena 100 + 100 zł na fundusz dla represjonowanych.
48. *Reportaż z obozu internowania*. Białoleka '82. [Warszawa 1982]. Teka zawierająca 21 fotografii w formacie 17,7 × 9 cm z opisem zdjęć wewnątrz teki.
49. *Rysunki stanu wojennego*. Warszawa, styczeń 1983. Teka zawierająca 10 rysunków satyrycznych w formacie 29,7 × 20 cm.
50. Schnitzler Arthur: *Pod Zieloną Papugą*. Przekład: Jan Miciak. Warszawa, [grudzień] 1981 [rozprowadzono w marcu 1983 r.]. Wydawnictwo Krąg, str. 53, nlb. 4, ilustr., fotooffset.
51. Sedir: *Kształcenie woli*. Z oryginału francuskiego przełożył Józef Janowski. [Wrocław 1982]. (Biblioteczka *Non-Violence*), str. 10, nlb. 1, fotooffset.
52. Sobieski Wacław: *Dzieje Polski*. Wydanie drugie — pośmiertne. Tom III. 1864-1938. Przejrzał i uzupełnił Stanisław Kozicki. Warszawa 1938, Wydawnictwo Żorza. [Przedruk: Warszawa 1982]. (Unia Nowoczesnego Humanizmu), str. 126; nlb. 3, 130-258; nlb. 3, 262-308, fotooffset.
53. Sowietolog: *Ruch dysydencki w ZSRR*. (Kraków) [1983], str. 11, nlb. 1, powiel., tyt. nagł.
54. *Spisane będą czyny i rozmowy...* z Władysławem Bieńkowskim, Edwardem Lipińskim, Stefanem Staszewskim, Edwardem Osóbką-Morawskim, Jackiem Kuroniem, Mieczysławem Gilem, Mirosławem Chojecim i innymi. [Kraków 1983]. Krakowskie Towarzystwo Wydawnicze, str. 93, nlb. 2, fotooffset.
55. Strykowski Bronisław: *Zarys dziejów narodu i Państwa Polskiego w latach 1914-1939*. Kraków 1981 [rozpowszechnienie w 1982 r.], str. 116, fotooffset.
56. Stypułkowski Zbigniew: *Zaproszenie do Moskwy*. Tom 1-2. Kraków - Lublin - Warszawa 1981 [rozpowszechnienie w 1982 r.]. Wydawnictwo Spotkania, str. 249 + 239, fotooffset.
57. Szaruga Leszek: [Wiersze]. B.m.w. [1982], str. 46, maszynopis przebitkowy oprawiony.
58. [Śpiewnik]. Poznań 1982, Wydawnictwo NZS-CDN, str. nlb. 16, powiel.
59. *Śpiewnik ekstremisty*. (1). Warszawa 1983, Wydawnictwo Wytrwałość, str. nlb. 23, powiel.
60. *Śpiewnik 1918-1920*. Poznań [1983], Wydawnictwo „Spółdzielnia”, str. nlb. 2, 16, nlb. 1 z nutami, fotooffset.
61. *Śpiewnik z wojny polsko-jaruzelskiej*. Część I. [Lublin, styczeń 1982, Wydawnictwo KOS] Solidarność, (Drukarnia polowa), str. 16, fotooffset.
62. *Śpiewnik z wojny polsko-jaruzelskiej*. Część II. [Lublin, luty 1982, Wydawnictwo KOS] Solidarność, (Drukarnia polowa), str. 16, fotooffset.
63. *Śpiewnik z wojny polsko-jaruzelskiej*. Część III. [Lublin, marzec 1982, Wydawnictwo KOS] Solidarność, (Drukarnia polowa), str. 16, fotooffset.
64. *Światowa sieć konspiracji*. Część I-II. Warszawa 1982, Unia Nowoczesnego Humanizmu, str. nlb. 2, 20 + nlb. 2, 21, fotooffset.
65. Talbot Strobe: *Komunizm*. Przedruk: „Komunizm — widmo i walka”, *Time* z 4. I. 1982. [Lublin] 1983, druk: Ścigana, str. 31, nlb. 1, ilustr. Cena niestety — 40 [zł].

66. *Te Jot: Na skrzyżowaniu Azji i Europy*. Kraków, październik 1982, Biblioteka Obserwatora Wojennego, str. nlb. 2, 33, powiel.
- 67.* *Te Jot: Na skrzyżowaniu Azji i Europy*. (Wiersze). Warszawa 1982, Niezależna Oficyna Wydawnicza.
68. Tokarczuk Ignacy bp: *Homilia Księdza Biskupa Ignacego Tokarczuka wygłoszona podczas jubileuszowej pielgrzymki rolników polskich, którzy w liczbie ponad 300 tysięcy przybyli w dniu 5 września na Jasną Górę*. [Wrocław 1982], str. 6, tyt. nagł., fotooffset.
69. Tyrmand Leopold: *Dziennik 1954 — Kondycja własna*. Warszawa 1982, Wydawnictwo Krąg, str. 468, fotooffset.
70. *Wiadomości 13. XII. 1981 - 13. I. 1982*. Warszawa 1982, Wydawnictwo NIE, str. 77, fotooffset.
71. Wolski Witold: *KOR. Ludzie. Działania. Idee*. B.m.w. [1983], Wydawnictwo Norma, str. 90, ilustr., tyt. okł., fotooffset.
72. Woroszyński Wiktor: *Dziennik internowania*. Białoleka, grudzień 1981 - luty 1982. (Warszawa 1983, Wydawnictwo Grot), str. 21, nlb. 3, powiel.
73. Woźniak Piotr — „Wir”: *Zapluty karzeł reakcji*. Opracował Józef Ruszar. Lublin 1982, Wydawnictwo „Spotkania”, str. 162, fotooffset.
74. Wyszynski Stefan dr: *Kultura bolszewizmu a inteligencja polska*. Warszawa 1982, Wydawnictwo CDN, str. 35, fotooffset.
75. Wyszynski Stefan, Kardynał Prymas Polski: *Zapiski więzienne*. Paris 1982, Edition du Dialogue Société d'Éditions Internationales. [Przedruk: Warszawa 1983], str. 254, nlb. 1, fotooffset.
76. Wyszynski Stefan, Kardynał Prymas Polski: *Zapiski więzienne*. (Warszawa [1983], Unia Nowoczesnego Humanizmu), str. nlb. 2, 9-254, nlb. 2, fotooffset.
77. *Za szklaną ścianą*. Raport o obozie odosobnienia dla kobiet w Gołdapi. [Warszawa] (1982), W[ydawnictwo] S[połeczne] K[omitetu] O[poru] S[połeczne], str. 20, tyt. okł., fotooffset. (Cena 40 zł).
78. Zagajewski Adam: *Petit*. [Warszawa 19](83), Wydawnictwo „Słowo”, str. nlb. 2, 15, nlb. 3, ilustr. (Cena 25 zł).
Opracowanie graficzne: Mateusz Lubryk.
79. *Zagrożenie*. [Warszawa, Wydawnictwo] Oficyna Sztuk Pięknych. (Druk: 14 marca 1983), str. nlb. 2, 6, powiel. — (Opracował Zespół do Spraw Kultury Solidarności).
80. *Zamknięcie. Z życia wyjęci*. [Warszawa 1983], Wydawnictwo „Słowo”, str. nlb. 2, 45, powiel. Cena 120 zł.
81. Zlatkes Gwido: *Antystan. Zeszyt wojenny drugi*. [Wiersze]. B.m.w. [1982], str. 12, maszynopis przebitkowy oprawiony.
- 82.* Zlatkes Gwido: *Zeszyt wojenny*. [Wiersze]. B.m.w. [1982], maszynopis przebitkowy.

“Solidarność polskiego oporu”

Pod tym tytułem pojawiła się w styczniu br. na półkach księgarskich Japonii książka o Solidarności, wydana pod auspicjami Polskiego Ośrodka Badawczego w Tokio. Książka ta, owoc współpracy kolektywu autorskiego z POB, jest obszernym i ciekawym zbiorem artykułów i dokumentów z pod-

ziemnej i emigracyjnej prasy polskiej, uzupełnionych wnikliwymi komentarzami.

Punktem wyjścia książki jest okres bezpośrednio poprzedzający wprowadzenie stanu wojennego w Polsce oraz pierwszy rok „wojny”. Jak wynika ze wstępu red. Kudo, bodźcem do podjęcia prac nad w/w zbiorem dokumentów były dramatyczne wydarzenia z 31 sierpnia 1982 roku, który to moment autorzy uważają za niezmiernie ważny, przełomowy bodaj w dotychczasowej walce Solidarności z reżymem Jaruzelskiego, „albowiem w tym dniu potężnej i ostrej konfrontacji Solidarności z reżymem, w drugą rocznicę podpisania Porozumień Gdańskich, wysłała w jaskrawy sposób na jaw całą głębia słabości i bezsilności reżymu wobec trwającego oporu społeczeństwa, pomimo powierzchownych i pozornych przejawów przewagi fizycznej. W tym właśnie dniu stało się dla nas jasnym, nie ulegającym wątpliwości faktem, że reżym gen. Jaruzelskiego na dłuższą metę tej walki ze społeczeństwem po prostu wygrać nie może”.

Na książkę składają się cztery rozdziały. Pierwszy, zatytułowany „Solidarność walcząca”, stanowi swego rodzaju trzon dokumentalny opracowania. Oddaje on obraz sytuacji w Polsce w przeddzień stanu wojennego oraz pierwszego starcia sił po jego wprowadzeniu, następnie organizacji walki podziemnej i utworzenia TKK oraz okres przejścia Solidarności do kontrofensywy po sierpniu 1982. Rozdział ten składa się wyłącznie z deklaracji przywódców podziemia, apeli do społeczeństwa, ocen sytuacji itp. Teksty pochodzą z takich źródeł jak *Robotnik*, *Tygodnik Mazowsze*, *Biuletyn Informacyjny Solidarności* (Warszawa), *BI Solidarności* (Paryż), *BI Solidarności* (Nowy Jork), *Uncensored Polish News Bulletin* (Londyn). Rozdział otwiera Deklaracja Założycielska Klubów Rzeczypospolitej Samorządnej Wolności - Sprawiedliwości - Niepodległości z *Robotnika* (3. 12. 1981). Rozdział drugi, zatytułowany „Solidarność argumentująca”, składa się z artykułów dyskusyjnych dotyczących takich kwestii jak strajk generalny, manifestacje uliczne oraz stanowisko i rola Kościoła w walce społeczeństwa z reżymem. Wśród pomieszczonego tekstów są artykuły J. Kuronia, Zb. Bujaka, W. Kulerskiego, Anki Kowalskiej, M. Widakowskiego, A. Czumy i in. Z wyboru artykułów widać, że autorom zależało także na przedstawieniu rozbieżności w kierownictwie Solidarności odnośnie szeregu zagadnień natury strategiczno-programowej. Rozdział trzeci nosi tytuł „Solidarność myśląca” (podtytuł „Refleksje i marzenia”). Zawiera on najdalej idące, najciekawsze i najgłębsze próby analizy sytuacji politycznej w Polsce. Na pierwszy plan wysuwają się tu artykuły A. Michnika „Polska wojna” (zamieszczone w całości w *Aneksie* nr 27/82) i powojenne dokumenty grupy Doświadczenie i Przyszłość. Rozdział czwarty, pt. „Okres próby Solidarności”, jest właściwie kalendarium wypadków od stycznia 1981 do listopada 1982.

Jak już wspomniałem, dokumentom towarzyszą ciekawe komentarze autorów. Ich zdaniem data 31 sierpnia 1982 oznacza przełom w sytuacji wewnętrznej Polski, na co składają się następujące czynniki:

— Po pierwsze dotychczasowy bilans pracy konspiracyjnej podziemia dowodzi, że mimo olbrzymich trudności (tropienie przez bezpiekę, ogólne przygnębienie z powodu pogarszającej się sytuacji gospodarczej, delikatna sytuacja w stosunkach z Kościołem) Solidarność nadal rozporządza wielką siłą.

— Po drugie ważną rolę odgrywa postawa Kościoła. Podkreślając jego niewątpliwie zasługi w obronie społeczeństwa przeciwko komunistycznej tyranii, autorzy dostrzegają jednak wyraźną zmianę w postawie episkopatu po 31 sierpnia: z dotychczasowej pozycji równowagi między krytyką reżymu a nawoływaniem Solidarności do umiarkowania Kościół przesuwają się w kierunku polityki ugodowej z reżymem Jaruzelskiego. Głównym powodem

tej zmiany była zdaniem autorów chęć doprowadzenia za wszelką cenę do wizyty Jana Pawła II.

Zniesienie stanu wojennego uważają autorzy za pusty gest. Wielkim zadaniem podziemia jest znalezienie teraz takiego sposobu działania, który by mu pozwolił przekształcić zwycięstwo moralne, jakim niewątpliwie była konfrontacja z reżymem 31 sierpnia 1982 w zwycięstwo polityczne. W tym sensie należy spodziewać się zmian w strategii podziemia. Największym atutem Solidarności jest ciągle niezachwiane poparcie całego społeczeństwa, w pełni świadomego, że jedynie w ostatecznym zwycięstwie Solidarności leży nadzieja na poprawę bytu narodu. Ważnym symbolem tej postawy i nadziei jest i pozostanie Lech Wałęsa.

Należy zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt tej książki. Każdy z głównych rozdziałów poprzedzony jest symbolicznie starannie przetłumaczoną na japoński piosenką-wierszem o charakterze zbliżonym do *naguta* (długowierszy) słynnego zbioru „Manyoshu” (monumentalny zbiór poematów i wierszy lirycznych z 6-8 w. p. Chr., odznaczający się niezwykłą pasją formy i treści). Do najbardziej udanych należą „Boże coś Polskę” w rozdziale drugim i „Żeby Polska była Polską” w rozdziale trzecim.

Porównując tę japońską książkę o Solidarności do innych tego typu publikacji na Zachodzie, stwierdzić należy, że jej unikalny charakter polega na tym, że dokumenty zostały w niej wyraźnie oddzielone od komentarzy i ocen autorów. W tej obiektywnej prezentacji Polski walczącej upatrywać należy główny walor książki.

Janusz MONDRY

Nadesłane nowości wydawnicze

- Piegrzym pokoju i nadziei*. Zeszyt specjalny *Naszej rodziny*. Str. 269 i 3 nłb. Album poświęcony Janowi Pawłowi II. (Wyd. Nasza rodzina, Paryż 1984).
- VARILLON (François). *Pokora Boga*. Przeł. Mieczysław Figarski, ks. Str. 141 i 3 nłb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1982).
- FROSSARD (André). *Credo*. Przeł. Anna Turowiczowa. Str. 109 i 3 nłb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1983).
- BUBER (Martin). *Opowieści rabina Nachmana*. Przeł. Edward Zwolski. Str. 117 i 3 nłb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1983).
- TILLICH (Paul). *Męstwo bycia*. Przeł. Henryk Bednarek. Str. 186 i 2 nłb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1983).
- MACKIEWICZ (Józef). *Fakty, przyroda i ludzie*. Przedmowa Barbary Toporskiej. Str. 314 i 6 nłb. (Wyd. Kontra, Londyn 1984).
- CYBULSKA (Maja Elżbieta). *Wacław Iwaniuk, poeta. Z wyborem poezji Wacława Iwaniuka*. Str. 125 i 7 nłb. (Wyd. OPIM, Londyn 1984).
- NOWAK (Leszek). *Ani rewolucja ani ewolucja*. Str. 141 i 3 nłb. (Wyd. Dialog, Frankfurt/M, 1984).
- Bibliografia historii Polski XIX wieku. II — 1832-1864*. Cz. IV, vol. 2. Pod red. Wł. Chojnackiego. Str. 649 i 5 nłb. (Wyd. Ossolineum, 1983, cena zł 520).
- ŁUBIENSKI (Tomasz). *Czerwonobiałe*. Str. 134 i 2 nłb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków-Wrocław 1983, cena zł 60).

- ŁAPIŃSKI (Zdzisław, wybór i opr.). *Gombrowicz i krytycy*. Str. 847 i 3 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków - Wrocław 1984, cena zł 650).
- BARBOUR (Ian G.). *Mity, modele, paradygmaty. Studium porównawcze nauk przyrodniczych i religii*. Str. 267 i 1 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1984, cena zł 160).
- WIEVIORKA (Michel). *Les juifs, la Pologne et Solidarność*. Str. 210 i 6 nlb. (Wyd. Denoël, Paryż 1984, cena Fr. 79).
- Les sept de Solidarność: Andrzej Gwiazda, Seweryn Jaworski, Marian Jurczyk, Karol Modzelewski, Grzegorz Palka, Andrzej Rozpłochowski, Jan Rulewski*. Str. 70 i 2 nlb. (Wyd. Komitet Koordynacyjny Solidarności we Francji i red. „Kontakt”).
- The Black Book of Polish Censorship*. Tłum. i opr. Jane Leftwich Curry. Str. 451 i 1 nlb. (Wyd. Random House, Nowy Jork 1984).
- DZIURA-DZIURSKI (Alojzy, major). *Freedom Fighter. A saga of fighting the Nazi and Communist oppressions*. Str. 253 i 3 nlb. (Wyd. J. A. Dewar, Portland Vic., Australia).
- SMITY (Bernard). *Poland. A Study in Treachery*. Str. 30 i 2 nlb. (Wyd. Flint House, Worthing, Anglia).
- KALUSKI (Marian). *Poles in Maitland. Polacy w Maitland*. Wyd. dwujęzyczne. Str. 78. (Wyd. Polish Ass. in New South Wales, Maitland Branch, 1983).
- Solidarity. The Origins and Implications of Polish Trade Unions*. Opr. Ajit Jain. Str. 198. (Wyd. Oracle Press, Baton Rouge La, USA, cena \$ 22).
- Jahrbuch der Ukrainerkunde 1983*. Str. 408. (Wyd. Arbeits- und Förderungsgemeinschaft der Ukrainischen Wissenschaften, Monachium 1984).
- ŚWIDERSKI (Bronisław). *Polen efter 1945. En bibliografi over informationsmidler*. Str. 72. (Wyd. Kobenhavns Universitets Slaviske Institut, Kopenhaga 1984).
- HIRNIAK (Josyp). *Spomyny*. Str. 485 i 3 nlb. (Wyd. Suczasnist', Nowy Jork 1982).
- BAHURA (Wołodymyr). *Katynowyj mist*. Str. 220 i 4 nlb. (Wyd. „Swoboda”, Nowy Jork - Jersey City, 1982).
- SNIEHIRIOW (Helij). *Naboi dla rozstritu*. Str. 492 i 4 nlb. (Wyd. Wyd. Sniehirow Fund i Novi dni, Nowy Jork - Toronto 1983).
- Lewickij (Wasył Sofroniwi). *Respublika za drotamy. Zapysky skytalcia*. Str. 161 i 5 nlb. (Wyd. „Nowyj szlach”, Toronto 1983).
- Propamiatna knyha Dancigieriw. Istoryczni narysy ta spomyny kołyszniich studentiw Politechniki Wılnoho Mista Dancigu 1921-1945*. Wybór W. Szyprykiewicz. Str. 217 i 8 nlb. (Wyd. Archiwna Komisja Dancigieriw, Filadelfia - Toronto - Nowy Jork 1979).
- ŁUKASZEWYCZ (Łewko). *Rozdumni na schyłku żyttia*. Str. 342 i 10 nlb. (Wyd. Ukrajinske prawosławne wydawnictwo św. Sofii, Nowy Jork - St. Bound Brook 1982).
- HAJWAS (Jarosław). *Wola ciny ne maje*. Str. 312 i 2 nlb. (Wyd. Sribna Surma, Toronto, Kanada 1971).

Wolna trybuna

Mądry Polak po szkodzie

1

Takim zdaniem zareagowałem, po przeczytaniu rozważań M. Warana pt. „Wydarzenia w Polsce i ich ocena”, w *Kulturze* Nr 1/2, br.

Nie ja jeden, przypuszczam, zgadzam się z jego tezami, z przekonywującą argumentacją, której treść wychodzi poza ramy tej dyskusji i mogłaby być przyszłym programem określającym formy walki z okupacją wewnętrzną kraju.

Nie wszystkie programy wytrzymują próbę czasu, łatwiej zresztą jest rzucać je na papier, niż stosować w życiu. To samo chyba jest z patriotyzmem; być Polakiem jest czasem trudniej, niż być przeciętnym obywatelem często stosującym w życiu obowiązujące przepisy i zwyczaje. Te są często dość chwiejne i mgliste, gdy polskość trzyma nas na uwięzi patriotycznej.

Patriotyzm nie ma nic wspólnego z polityką, czasem jest jej sprzymierzeńcem, a czasem wrogiem. Politykę tworzą często ludzie krótkowzroczni i takie są ich programy, gdy patriotyzm jest wynikiem procesów historycznych, na podłożu uczuciowym. Do tego polityka jest często chorągiewką poruszaną chwilowym układem sił, kierowanych ślepych namiętnościami lub zbrojną przewagą, godzącą w historyczne prawa i konstytucyjne przywileje. Polityka działa na zapas, w przyszłość, nic dziwnego że robi błędy lub zachowuje się jak człowiek ślepy. Nikomu nie udało się jeszcze nadać historii trwałych politycznych kształtów, ani Aleksandrowi Wielkiemu, ani cesarzom rzymskim, ani Napoleonowi. Usiłowali to zrobić prorocy i duchowi przywódcy, niestety zbyt wielką wagę przywiązywali do życia pozagrobowego, jako celu człowieka, a nie do jego ziemskiej egzystencji.

Dlaczego jednak Waran, mając tyle mądrych uwag do powiedzenia, powiedział je dopiero teraz, po stanie wojennym i tragicznej klęsce „Solidarności”? Klęsce, która dla mnie nie jest

aż tak oczywista, choć od początku nie wierzyłem w ugodowe rozwiązanie problemu: „Solidarność” — reżim. Elokwentna i rzeczowa argumentacja Warana, powiedziana w porę, może mogłaby wstrzymać tragiczny w skutkach stan wojenny, z jego dalszymi konsekwencjami, uratować związki zawodowe, zapewniając im prawo do samostanowienia i działania. Teraz zaś, choć wypowiedziana ze słusznej ambony, jest mądrym kazaniem nad trupem w trumnie, który może i słyszy słowa Warana, a nawet żałuje iż tyle wysiłku poszło na marne, gdy mogło być inaczej.

W pracy polityczno-patriotycznej potrzebna jest nie tylko mądrość, ale i indywidualność z autorytetem. Bez wątplenia taką indywidualnością był kardynał Wyszyński i jest Lech Wałęsa. Z doradcami lub bez, Wałęsa wykazał tyle wyrobienia społecznego i patriotycznego, iż w wywiadach, w dyskusji podczas działalności strajkowej, zawsze wychodził obronną ręką. Możemy mu jedynie wytknąć, że był zbyt uczciwy w stosunku do łobuzów kierujących sprawami naszego kraju, a działających na jego szkodę. Że reżim był sprzedany Moskwie, nikt w to nie wątpił, ale żeby wydawać wyroki śmierci na niewinnych, mordować bez sądów własnych obywateli, niszczyć dorobek kulturalny i pozbawiać kraj jego suwerenności, na to polski robotnik nie był przygotowany. Wiedział chyba o tym przewidujący Waran, dlaczego więc w porę nie ostrzegł?

Jak już powiedziałem, do pracy polityczno-patriotycznej potrzebny jest człowiek z autorytetem, z krwi i kości, którego ludzie widzą i słyszą, znają jego rysy, ruchy, głos i rytm serca. Jest to więc działacz żyjący wśród ludzi, pracujący z nimi i narażający się. Może zostać bohaterem lub męczennikiem, przejść do historii, żyć na jej kartach i w świadomości obywateli. Nie może jednak ukrywać się, mimo słusznych programów, za stronicami zadrukowanych pism. Mówić mądrze ale — powiedzmy szczerze — nie narażać się.

Po zakończonej wojnie, wielu z nas wybrało emigrację polityczną, by walczyć z komunizmem. Wtedy uważano nas za zdrajców, samobójców, agentów, pozbawiano obywatelstwa, wydawano wyroki, ale pracując społecznie i pisząc, nie ukrywaliśmy się pod pseudonimami, mimo piętnowań w prasie reżimowej, w *Dzienniku Ustaw* i telefonicznych pogroźkach. Dziś kilkumiesięczny emigrant wystawia nam patriotyczne stopnie, poucza co to jest komunizm, a gdy napisze kilka zdań w gazecie, podpisuje je pseudonimem. — Bo — mówi — rodzina w kraju. Pisząc te słowa, nie miałem na myśli Warana, raczej szerokie rzesze uciekinierów posolidarnościowych.

2

Stan wojenny zamknął następny rozdział w kremlowskim planie sowietyzacji Polski, tyle tylko, iż program zakreślony przez

Stalina nie został zrealizowany w czasie. Okazało się iż Polska nie jest Łotwą czy Estonią, zmieniono więc na Kremlu taktykę, bo jak w naszym świecie wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, tak w planach komunistycznych wszystkie drogi prowadzą na Kreml. Komunizm wprawdzie nie wypracował zadowalających formuł filozoficznych, ekonomicznych czy społecznych, doprowadził za to do perfekcji system terroru. Bo gdy człowiek stanie się bezdusznym automatem, to po co zwracać sobie głowę dziedzinami, nad którymi ślęczą uczeni w zachodnich demokracjach. Może więc ten rozdział z Polską nie wypadł w planach sowieckich jak należy i zawiodły zbyt szablonowe metody, ale to nie szkodzi. Są przecież na Kremlu specjaliści, którzy szybko skorygują „polską drogę do komunizmu”, gdzie — jak się okaże — potrzebny będzie na pewnym etapie Michnik, piszący z więzienia swoje mądre rozważania, drukowane — właśnie — we wrogich reżimowi pismach, dopuszczalna zostanie wizyta papieża, tolerowana działalność Kościoła i balsam publicystyczny Kisielewskiego, doradzający ziomkom uległość wobec Moskwy. Dla wielu słowa te mogą się wydać herezją, pamiętajmy jednak, iż nawet w terrorze musi być jakaś kłapa bezpieczeństwa, by powstrzymać terroryzowanych od nieprzewidzianego ostatecznego czynu, zwłaszcza w terrorze tak doświadczonym jak komunistyczny. Jeden krok do tyłu nie oznacza cofania się, może równie dobrze być krokiem do przodu. Zmianą taktyki. Mógł Stalin zawrzeć pakt z Hitlerem, może Moskwa pozwolić sobie na przyjazd papieża do Polski, na pisanie antykomunistycznych rozważań z więzienia, które przecież z dziecinną łatwością mogłyby być konfiskowane lub zabronione.

Nie twierdzę, broń Boże, iż wszystkie te usiłowania były lub są niepotrzebne, owszem, miały one i mają dodatni wpływ na społeczeństwo poddane demagogii reżimu i policji, ale również twierdzę, iż wymienione pozytywne fakty nie przekreślają wyznaczonej nam drogi do grona radosnych republik w sowieckim gułagu. Może droga ta została ciut ciut wydłużona, ale nie przekreślona. Czy należałoby więc radzić Michnikowi, by przestał pisać, papieżowi by nie odwiedzał kraju, Kisielewskiemu, by się zajął powieściopisarstwem, a *Zeszytom Literackim*, by wrócił do kraju, do *Zapisu* i prasy podziemnej? Tak i nie. Najważniejsze jest jednak dla nas ustalenie wspólnego programu politycznego, zmierzającego do obalenia ustroju komunistycznego, a nie będącego jego dymną zasłoną. Wtedy i wizyta papieża i twórczość Michnika przyniosą spodziewane dla kraju rezultaty.

3

Musimy pamiętać, że Polska nie leży między krajami Goethego i Tołstoja, a między spadkobiercami Hitlera i Stalina, i o ile bliskość sąsiadujących z sobą krajów europejskich oraz łagodzący wpływ Stanów Zjednoczonych mogą w przyszłości

zneutralizować chciwość Niemiec, o tyle zbawić nas może jedynie rozbięcie Związku Sowieckiego na niezależne republiki. Za głęboko wżarła się dyktatura komunistyczna w psychikę sowieckiego obywatela, by naród ten udało się dziś przestawić na demokratyczny, europejski system polityczny. Hitler niczego nie ułatwił Stalinowi, jak to wielu stara się w nas wmówić, dodał mu tylko prawnej otuchy i zachęcił do otwartego ludobójstwa. Krwawa próba Hitlera skończyła się fiaskiem, stalinowska trwa i przybiera na sile.

Pisząc te słowa, pomijam możliwość odrodzenia się hitleryzmu w jego starej kolebce, w Niemczech. Z wielu względów jest to dziś niemożliwe. Zacznę chyba od momentu najważniejszego, od przykładu imperiów historycznych, rosnących powoli w siły, by nagle rozpaść się po osiągnięciu szczytowego momentu. Wydaje mi się, że imperium Hitlera doszło do szczytowego rozwoju, któremu Druga Wojna światowa położyła kres. Niemcy, jako państwo, będą naturalnie istnieć i nawet kiedyś się zjednoczą, ale historia nie jest aż tak ślepa, by pozwoliła na powtórzenie tego samego błędu. Zresztą Niemcy dziś są krajem otwartym, a na wychowanie nowego dyktatora potrzebna jest zbiorowa, cieplarniana atmosfera, skryta izolacja dawnej Rzeszy.

W doskonałym eseju o Hitlerze, Canetti, autor ciekawych studiów z psychologii tłumy, analizuje zależność dyktatora od zbiorowości, którą on tworzy i kieruje, pod nazwą tłumy. Tak, to musi być bezwolna masa ludzka, napędzana politycznymi sloganami przez głośniki radiowe i telewizyjne na zbiorowe spotkania. Wstrząsająca jest analiza Canettiego hitlerowskiego pędu do germanizacji świata, z której wynika, iż po wojennej nauce Niemcy nie są w stanie zbudować drugiego podobnego hitlerowskiego, imperium.

Inaczej ma się rzecz z Rosją Sowiecką. Jest dziś historyczną prawdą, iż jej imperializm zmieniał jedynie sztyl w dążeniach do celu, ale cel był zawsze ten sam: podbój i ujarzmienie. Stalin, w przeciwieństwie do Hitlera, był w lepszej pozycji, był równie bezwzględny, ale bardziej skryty i zbrodniczy. Hitler w uniesieniu gloryfikował rasę germańską i może ta szczerze podstała mu nogę. Zbrodniczy charakter nigdy by na to nie pozwolił Stalinowi, i tu może ukrywa się istotny machiawelizm duszy rosyjskiej, przewyższający psychopatów niemieckich. Dla przykładu, warto zacytować Canettiego: „Tak więc Hitlerowi udało się, ogólnie biorąc, swoje najpotworniejsze przedsięwzięcie, komory gazowe, utrzymać z dala od świadomości przeważającej liczby Niemców”. To prawda, wtedy się udało, nowemu Hitlerowi już chyba nie. Natomiast uda się przyszłemu Stalinowi. Człowiek sowiecki w tłumie niewiele różni się od pędzonych strachem Hunnów i ich przyszły Hitler tylko w Rosji może dojść jeszcze do władzy.

W roku 1864, Dostojewski pisał w swym dzienniku: „Dla okcydentalistów nie jest niemiłą myśl słowianofilska o tym, że

Rosja przeznaczona jest do wielkiej roli wobec cywilizacji zachodniej”.

Mógłby ktoś przypuszczać, że ten polityczny despotyzm zasiała ręka Rewolucji Francuskiej, która starała się przede wszystkim niszczyć, by zadowolić nagromadzoną nienawiść do cywilizowanego świata oraz chęć ślepego odwetu. W ileś tam lat potem, tak samo zachowały się hordy marynarzy, pionierzy rewolucji bolszewickiej, napadając i niszcząc Pałac Zimowy.

Każda władza ma w sobie zarodki despotyzmu, zwłaszcza władza narzucona przez ruchy rewolucyjne lub terror społeczny. Dyktatura, bo tak należałoby je określić, nabiera wtedy jałowego dźwięku, spływa mimo uszu tłumów, dających upust nagromadzonemu wewnętrznemu zahamowaniu. Człowiek, od czasu do czasu, musi ulec wewnętrznym instyktom wymykającym się kontroli, by po tej uldze włączyć się w otaczające go życie, kontynuować tradycje, kulturalne nawyki itd.

Nasze programy radiowe wciąż szeroko komentują Pokojową Nagrodę Nobla, przyznaną Lechowi Wałęsie. Piąty października 1983 roku jest datą znamioną z wielu względów. Fakt nadania Nagrody umacnia w opinii publicznej świata przekonanie, że jednak Polska nie jest krajem o normalnym ustroju, a dyktatura Jaruzelskiego godzi w podstawowe prawa całego narodu. Polska, upominając się od wielu lat o swoje prawa ustami kardynała Wyszyńskiego, „Solidarności” i papieża Jana Pawła II, dopięła przynajmniej tego, iż opinia świata uwierzyła w imperializm i barbarzyństwo sowieckie. Ale to na razie wszystko.

„Czym jest obecna wojna” — pytał w 1864 roku, w swoich „Dziennikach” Dostojewski. I kończył: „Polska wojna jest wojną dwóch światów chrześcijańskich — to początek przyszłej wojny prawosławia z katolicyzmem, innymi słowy — słowiańskiego geniuszu z cywilizacją europejską”.

Bardzo bliski był tu Dostojewski myśli Stalina. Wystarczy słowo „prawosławie” zastąpić „komunizmem”, a „geniusz słowiański”, „geniuszem sowieckim”. Znamienne są jego notatki z 1877 roku, w których autor „Biesów”, polemizując z Kojałowiczem, pisze: „Co z tego że Polacy są teraz słabi politycznie. Oni są silni ideą, a pan jest słaby ideą, panie Kojałowicz, bowiem dla ich właśnie idei, dla władztwa nad Słowianami w imię latynizmu i zachodniej cywilizacji — w imię tej idei pan sam, własnymi rękami, przyniósł pierwszy kamień na fundament tej polskiej idei. Najsprytniejszy Polak przyodziewając się w lojalistę, nie napisałby zréczniej...”. Niniejszy przekład z rosyjskiego Eugenia Biedki, pochodzi z krajowej *Twórczości*.

Jeżeli kogoś zdziwiły słowa nacjonalisty Dostojewskiego, niech zajrzy do tekstów naszego pisarza, Henryka Rzewuskiego, i przeczyta następującą apologię, godną naszych reżimowych aparatczyków: „My z wyroków boskich zostawszy częścią potężnego stowarzyszenia Rosjan, wnośmy nasze prowincjonalne wyroby

do ogólnej a wspólnej skarbnicy". Mało tego, Rzewuski pisząc te słowa, uznał śmierć Polski, a ocalenie pewnych naszych wartości widzi we włączeniu się w despotyzm carski.

Nie jest dziś łatwo wytyczyć drogę do niepodległości. Możemy powoływać się na wzniosłe hasła i historyczne powiedzenia, cytować biblijne słowa, „oko za oko, ząb za ząb”, czy piękny wers Mickiewicza, „gwałt niech się gwałtem odciska”, ale one też nie rozwiązują sprawy. Jedno jest jasne, iż bez działalności zbrojnej nie będzie wolnej Polski. Myślę o ruchach powstańczych i dywersyjnych, najpierw na terenie Rosji. Tam zaczęło się zło, tam powinna rozpocząć się z nim walka. Wtedy i nasze wyzwoleńcze ruchy będą miały sens. Ale bez walki się nie obędzie.

Przypominają mi się oddziały polskie formowane we Francji, a potem w Anglii, podczas ostatniej wojny. Tysiące w różnym wieku ochotników z całego świata zgłaszających się do ich szeregów. Przecież ci, czasem słabo po polsku mówiący, obywatele różnych krajów wiedzieli że idą na wojnę, że ryzykują życiem. I porównują tamten patriotyczny zryw z posolidarnościami ucieczką z Polski, z tysiącami młodych ludzi zapewniającymi obozy Austrii i innych krajów Europy, w nadziei iż uda im się wyjechać do zamożnych zamorskich krajów i urządzić się. Przecież — jak wielu z nich twierdzi — wszyscy mamy prawo do osobistego szczęścia, do samochodu, dobrze płatnej posady, własnego apartamentu, czy letniskowego domku. Owszem, mamy i nie! Ci zgłaszający się do Armii Polskiej podczas ostatniej wojny inaczej myśleli.

Wacław IWANIUK

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 388 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Zawiera m.in. opracowania: W. Bartoszewskiego — *Rozważania o Powstaniu Warszawskim*; Z. S. Siemaszki — *Płk Prawdziw-Szlaski — organizator AK na Nowogródczyźnie; Trzy dokumenty ujawniające mechanizmy przemocy i gwałtu w Polsce w latach 1947-1955 (Notatka w sprawie nadużyć w śledztwie w organach Informacji, Sprawozdanie Komisji powołanej dla zbadania przejawów łamania praworządności przez pracowników Generalnej Prokuratury i Prokuratury m.st. Warszawy, List Wł. Lechowicza do jego obrońców w sprawie tortur, jakim go poddano)*; W. Michniewicza — *Monte Cassino w świetle dokumentów; Polacy znad Wilii, Niemna, Narwi i Bugu w łagrach sowieckich w latach 1944-1947*; O. Remigiusz Kranc — *Byłem skazany na 10 lat Syberii (wspomnienia, cz. I)*; T. Wyrwy — *Raport ambasadora Francji w Bukareszcie o Polakach internowanych w Rumunii jesienią 1939 roku oraz działy: RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 240.

Cena F. 60,00.

Z pustyni i z puszczy

Profesor Pimko

Motto z Adama Bromke:

„Po stronie romantycznej stoją przywódcy podziemnej 'Solidarności', jak i działacze, którzy pomimo internowania zdołali partycypować w dyskusjach programowych. (...) W centrum politycznego kontynuum, w starannie wyważonej pozycji pośredkowej znajduje się Kościół Katolicki. (...) Po realistycznej stronie kontynuum politycznego stoi partia komunistyczna”.

Adam Bromke, „Romantyzm czy realizm?”
McMaster University, Hamilton, Ontario,
Grudzień 1982.

Ludzie zarabiają na życie w różny sposób. Mogą być gangsterami lub humanistami. Mogą być humanistycznymi gangsterami lub gansterskimi humanistami. Mogą być niebezpiecznymi dyletantami. Humanistyczni gangsterzy i dyletanci żerują na cudzych myślach czasem niekoniecznie prawdziwych, czasem anachronicznych. Można żerować na kartezjańskim *cogito ergo sum*, albo na materializmie dialektycznym i niedialektycznym, albo na heglowskim absolutie, albo na... itd. itp.

Mniej więcej w piątej klasie szkoły podstawowej nauczono mnie podziału społeczeństwa na „romantyków” i „organiczników”. Dziś, na starość, obserwuję ze zdumieniem, że istnieje facet, który żyje dobrych kilkanaście lat — i to całkiem nieźle — z tego dziewiętnastowiecznego podziału dokonanego przez innych, a ponieważ kanadyjskie i amerykańskie uniwersytety nieźle mu za to płacą, nie zamierza dokonać żadnych nowszych wynalazków. Nazywa się Adam Bromke i jest profesorem, bo w Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych wszyscy wykładowcy są profesorami. W dodatku jest politologiem czyli człowiekiem rozwiązującym — w tygodnikach, lub w miesięcznikach — krzyżówki zwane w naszych czasach polityką wschodnią.

Profesor Bromke wydał — niestety — dużo broszur i książeczek. Jedną z nich czuję się zobowiązany zająć.

Jest to broszurka wymieniona w motcie do niniejszego felietonu. Piszę profesor Bromke na stronie siódmej:

„Proponując wolne wybory 'Solidarność' wyszła poza reformy utrzymane w granicach ustroju komunistycznego domagając się w praktyce wprowadzenia demokracji”.

Profesor Bromke popełnia zasadniczy błąd. Przecież „wolne wybory” były w Polsce zawsze. Kto chciał głosować, a kto nie chciał, nie głosował. Czyż nie jest to wolny wybór? Czasem po tego, co nie chciał, przychodziła milicja, ale to taka polska *couleur locale*. A jeśli chodzi o wprowadzenie „w praktyce” demokracji, to czyż nie jest to żądanie zbyt wygórowane? Przecież demokracja możliwa jest tylko w Kanadzie. „Solidarność”, która żąda wolnych wyborów i wprowadzenia „w praktyce” demokracji, jest bandą „romantyków”, którzy pragną zmienić kraj w morze krwi i łez. Są piłsudczykami. Są — jak Bromke streszcza wypowiedź obrońcy więźniów politycznych, adwokata Władysława Siła-Nowickiego — ludźmi odpowiedzialnymi za: „uprawianie nieodpowiedzialnej propagandy, często drażniącej czynniki zewnętrzne; obrośnięcie związku w rozmaite organizacje społeczne a nawet polityczne (co jest sprzeczne z porozumieniem z 1980 roku); naciski na podjęcie strajku generalnego i manifestacji ulicznych, które mogą doprowadzić do wprowadzenia przez władze stanu wyjątkowego”.

W związku z podziałem, którego nauczono mnie w piątej klasie szkoły podstawowej, a z którego profesor Bromke żyje do dzisiaj, usiłuje pan profesor koniecznie przeprowadzić historyczne analogie między powstaniem styczniowym z 1863 roku, a „Solidarnością” z 1981 roku. Stara się przy tym wszystkim zapomnieć o jednym drobiazgu: że tamto to było powstanie, a to powstało, choć niekiedy zdarza mu się przyznać, że powstanie styczniowe „przyjęło formę czynu zbrojnego, podczas gdy „Solidarność” prowadziła swoją działalność jawnie i pokojowo, i przyjęła formy nielegalne (podkreślenie moje — J.B.) dopiero po wprowadzeniu stanu wojennego”.

Pan profesor wspomina również fakt, że „straty jakie poniosły za sobą powstanie z 1863 roku były straszliwe — tak dalece, że przeorały one życie narodowe na dziesiątki lat; podczas gdy po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 roku liczba zabitych ciągle jest minimalna, a terror, przynajmniej dotąd, pozostaje ograniczony (podkreślenie moje — J.B.) w swoim zasięgu”.

Dyskusja z profesorem Bromke jest właściwie niewskazana i bezcelowa. Można się jedynie zastanawiać nad faktem dlaczego, i to tak łatwo, dostaje on wizę do Polski. Pomogą nam w tym cytaty z omawianej broszurki:

„(...) Daniel Passent wręcz porównał istniejącą sytuację z tą jaka powstała po przegranej z 1863-1864 roku. Przyznając, że jedyna trzecia zespołu redakcyjnego — jako protest przeciwko rzą-

dom wojskowym — złożyła rezygnację, określił on różnice między tymi co odeszli, a tymi co pozostali, jako typowy przedział między romantykami i realistami” (chodzi o redakcję tygodnika *Polityka* — przypis mój, J.B.).

„(...) Heroiczna przeszłość partii (której partii? — przypis mój, J.B.) była jednak świadomie używana przez komunistów dla usankcjonowania ich rządów, szczególnie przemawiając do wyobraźni młodego pokolenia”. A więc niektórzy romantycy nie poszli na marne: profesor Bromke nie jest zaciętrzewiony w swych sądach.

„(...) walki legionistów Piłsudskiego podczas pierwszej wojny światowej, były bezkrytycznie sławione. Istniało też duże zainteresowanie polskimi wyczynami (podkreślenie moje — J.B.) zbrojnymi w czasie drugiej wojny światowej, a szczególnie walką Armii Krajowej”.

„W tym samym czasie tradycyjnie najsilniejszy ruch realistyczny, narodowa demokracja, została usunięta w cień. (...) A w kraju zaćmiła ich grupa „Znak”, która początkowo wyznawała realizm, ale w latach siedemdziesiątych przesunęła się znacząco w kierunku romantyzmu”.

„To jest właśnie niebezpieczeństwo (inwazja sowiecka — przypis mój, J.B.), przed którym przestrzegał rodaków w kazaniu wygłoszonym na Jasnej Górze 26 sierpnia Prymas Polski, Arcybiskup Józef Glemp. Zwrócił się do nich z prośbą, aby pamiętali o lekcjach historii i znacząco przypomniał im klęskę powstania styczniowego (...)”.

Profesor Bromke, co wynika z motta do niniejszego felietonu, dokonuje pewnego unowocześnienia starych podziałów. Romantycy to „Solidarność”, centrum to Kościół i arcybiskup Glemp, realisci — to partia komunistyczna z pałką i nowym ustawodawstwem w zębach.

Pozwólmy sobie na jeszcze jeden cytat:

„Generał Jaruzelski, jak dotąd przynajmniej, zajmuje pozycję pośrednią między dwoma skrzydłami partii”.

„Tygodnik *Polityka*, którego redaktorem naczelnym jeszcze do niedawna był Wice-Premier Mieczysław Rakowski, otwarcie przedstawił wiele trudnych problemów, jakie istnieją w warunkach stanu wojennego i zaleca ich rozwiązanie na drodze reform. A dyrektor Instytutu Marksizmu-Leninizmu, prof. Jerzy Wiatr, oświadczył, że nawet po wypadkach z 31 sierpnia nie zaistniały przyczyny, dla których '...proces normalizacji i stopniowego łagodzenia stanu wojennego, mogą zostać zarzucone'”.

Profesor doktor Jerzy Wiatr historii jak zwykle nie zawiódł. Profesor Bromke również. Zapewne pamięta z uznaniem, że realista Wiatr podczas pobytu w Austrii zgłosił jako kandydata do Pokojowej Nagrody Nobla generała Jaruzelskiego. Osobiście nie mam nic przeciwko nagrodzie Nobla dla generała Jaruzelskiego. Protestuję tylko formalnie, dla oddania sprawiedliwości dziejowej: jednak generał Pinochet był pierwszy.

Z całej tej historii wynika interesujące pytanie: jak to się dzieje, że taki wykładowca pozostaje nadal w Kanadzie? Na profesora Bromke czeka przecież katedra realizmu politycznego w Instytucie Marksizmu-Leninizmu. A ja mam paru kumpi-robotników w podziemnej „Solidarności”, którzy chętnie by się przewietrzyli, a przy okazji mogliby wykładać najnowszą historię Polski na uniwersytetach kanadyjskich.

Profesor Bromke, który wyraźnie tęskni za Polską Rzeczpospolitą Ludową i który lubi być gwiazdą telewizyjną, dzieląc tę słabość z wicepremierem Rakowskim, Arturem Sandauerem, Zygmuntem Broniarkiem, Hanną Banaszak i paru innymi osobami, mógłby zastąpić na tych falach — *nomen omen* — Falską w dzienniku telewizji polskiej. Na jej miejscu też by przecież powtarzał to, co mu wymyślili inni.

Miałby tylko jeden problem: zostać realistycznym romantykiem — czy romantycznym realistą? Właściwie jednak nie ma wyboru, ponieważ, jak mówi mój ulubiony pisarz Raymond Chandler, „do realizmu potrzeba zbyt wielkiego talentu, zbyt wielkiej wiedzy, zbyt wielkiego rozumienia świata”.

Jacek BIEREZIN

KONKURS „POGLĄDU” NA WSPOMNIENIA

pt.

„PIERWSZE DNI”

— pierwsze dni po opuszczeniu Polski — pierwsze miesiące w Niemczech, we Francji, w Stanach... — wcześniejsze wyobrażenia o Zachodzie i ich konfrontacja z rzeczywistością...

Konkurs otwarty przede wszystkim dla uchodźców politycznych, byłych internowanych i działaczy opozycji, którzy opuścili Polskę po 13 grudnia 1981 roku.

Objętość niepublikowanych dotąd prac: do 15 stron maszynopisu. Forma dowolna: opowiadanie, wspomnienia, dziennik. Prace opatrzone godłem i nazwiskiem autora (w osobnej kopercie), prosimy nadsyłać do dnia 1 września 1984 roku na adres redakcji:

„POGLĄD”

Gesslerstr. 10, D-1000 Berlin 62, RFA

z dopiskiem: KONKURS.

Nagrody: pierwsza — DM 1000; druga — DM 750 oraz dwie trzecie — po DM 250.

Wyniki konkursu ogłoszone zostaną w listopadowym numerze, a nagrodzone teksty — opublikowane w „Poglądzie”.

Redakcja zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

5-4-84

Dyrektor naczelny Animex-u podaje w wywiadzie dla *Życia Warszawy*, że Polska sprowadza mięso z Węgier, gdzie zakupiono 80 tys. ton. Największym po Węgrzech źródłem zakupu mięsa są Chiny. W latach 1982-1983 PRL sprowadziła 70 tys. ton chińskiej wieprzowiny, a w bież. roku zakupi dodatkowo 10 tys. ton. Pewne ilości mięsa zakupuje się w Niemczech Zachodnich, Szwecji, Norwegii i Finlandii, a żywiec sprowadza się z NRD. Jednocześnie PRL eksportuje koninę, baraninę i dziczyznę.

29-4-84

Zmarł w Krakowie w wieku 78 lat prof. Karol Estreicher, autor monumentalnej „Historii sztuki”; w 1939 roku przyczynił się do ocalenia skarbów kultury polskiej, a po wojnie do rewindykacji wielu dzieł, m.in. ołtarza Wita Stwosza.

1-5-84

W Warszawie zmarł w wieku 84 lat Jakub Berman, odpowiedzialny w latach 1945-1957 za sprawy bezpieczeństwa publicznego PRL. Najbliższą rodzinę miał w Izraelu. ■ Wicepremier ZSSR, Nikołaj Bajbakow, w wywiadzie dla telewizji węgierskiej oświadczył, że wydobycie ropy naftowej w Związku Sowieckim jest coraz trudniejsze, kosztowniejsze i nie można liczyć na wzrost eksportu, a nawet na utrzymanie go na dotychczasowym poziomie w okresie pięcioletki, jeśli chodzi o eksport do krajów socjalistycznych.

10-5-84

Prokurator przekazał do sądu w Warszawie akt oskarżenia w sprawie śmierci (w maju ub. roku) Grzegorza Przemyka, skierowany przeciwko dwóm sanitariuszom Pogotowia Ratunkowego, dwóm lekarzom i dwóm milicjantom.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-3-84

Na uniwersytecie w Leiden w Holandii miała miejsce konferencja na temat międzynarodowych konsekwencji kryzysu w Polsce. Konferencję zagał holenderski minister stanu p. Eekellen. Wykłady wygłosili: prof. Leszek Kołakowski z Oxfordu, Leopold Łabędź, wydawca kwartalnika *Survey* z Londynu, prof. Richard Pipes z Harvard University, dr Dieter Bingen z niemieckiego Instytutu Europy Wschodniej w Kolonii, prof. Włodzimierz Brus z Oxford University oraz ambasador Max Kampelman, amerykański negocjator na konferencji KBWE w Madrycie.

10-4-84

W Rzymie przy polskim kościele św. Stanisława odbył się wieczór poezji Jerzego Zagórskiego, zorganizowany przez Stowarzyszenie Polskich Kombatanów.

15-4-84

Duński PEN-Club łącznie z PEN-Clubem holenderskim wystosował na wspólnym zebraniu protest do Jaruzelskiego w sprawie uwięzienia Marka Nowakowskiego.

30-4-84

Zmarł w Brukseli w wieku 89 lat prof. Stefan Glaser, wybitny prawnik, wykładowca prawa międzynarodowego na uniwersytetach w Liège, Gand i Louvain, działacz Stronnictwa Pracy.

12-5-84

Walne zebranie Polskiego Towarzystwa Historycznego w Londynie wybrało nowy zarząd: prezes — komandor B. Wroński; I wiceprezes, przewodniczący sekcji najnowszej historii — prof. płk S. Biegański; II wiceprezes i referent odczytowy — prof. A. Michalek; przewodniczący sekcji muzealnej — rtm. B. Dembiński; sekretarz generalny i skarbnik — mgr A. J. Szkuta.

15-5-84

W radio w Kopenhadze miała miejsce premiera sztuki Sł. Mrożka „Letni dzień”, w reżyserii Włodzimierza Hermana, w tłumaczeniu Janiny Katz Hewetson i Willy Dähnhardta.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Dr Stanisław Barańczak objął na stałe katedrę literatury polskiej na uniwersytecie Harvard w Cambridge Mass. ■ Kongres Polonii Amerykańskiej na stan New Jersey zorganizował zbiórkę na leczenie młodego Polaka z Polski Karola Podgórskiego, któremu groziła ślepotą. Na pokrycie kosztów operacji Polonia w New Jersey i metropolii nowojorskiej zebrała 8.000 dolarów. Operację przeprowadzono w Bostonie. ■ Na Florydzie zmarła Helena Romaszkiewicz, wdowa po Janie Romaszkiewiczu, byłym prezesie Związku Narodowego Polskiego i dawnej Rady Polonii Amerykańskiej. Zmarła była czynną działaczką Związku Polek w Ameryce i Związku Narodowego Polskiego. ■ Sztuka Stanisława Ignacego Witkiewicza „Matka” w reżyserii Leonidas Dudarewa Osetyńskiego z Barbarą Krafftówną w roli tytułowej została wyróżniona w Los Angeles przez krytyków tygodnika *Drama-Logue*. Sztuka została wyróżniona za reżyserię, aktorstwo Krafftównę i dwóch innych wykonawców. ■ W Polskim Instytucie Naukowym odbyła się konferencja polsko-ukraińska. Po stronie ukraińskiej udział wzięły Towarzystwo Naukowe im. Tarasa Szewczenki oraz Ukraińska Akademia Nauk i Sztuk. Sesję poranną prowadził sekretarz generalny Polskiego Instytutu Naukowego Tadeusz V. Gromada. W ramach konferencji ogłoszono następujące referaty: 1. Prof. Feliks Gross (PIN) — „Obniżanie napięć między Polakami i Ukraińcami”. 2. Włodzimierz Bączkowski (b. redaktor „Polish-Ukrainian Weekly” i kwartalnika „Wschód”) — „Pochođenje i istota zblizenia między Polską i Ukrainą w latach 1931-1939”. 3. Prof. Stanisław Barańczak (Uniwersytet Harvardzki) — „Wzmianki na temat Ukrainy we współczesnej literaturze polskiej”. Na sesję popołudniową (od 14.00 do 16.00) złożyły się kolejne wystąpienia: 4. Prof. George Grabowicz (Uniwersytet Harvardzki) — „Polski romantyczny filokozacyzm”. 5. Prof. Martha Bohaczewsky-Chomiak (Manhattanville College) — „Nacjonalizm, feminizm i socjalizm w Galicji Wschodniej na przełomie wieków”. 6. Prof. Orest Subtelny (York University, Kanada) — „Ukraińscy i polscy emigranci w XVIII wieku”. Prof. Taras Hunczak z Uniwersytetu Rutgers wygłosił uwagi końcowe. Konferencja toczyła się w językach: angielskim, ukraińskim i polskim. ■ Korespondent *Nowego Dziennika* w Brazylii Maciej Feldhuzen, uważany w Rio de Janeiro za dziedzika zagranicznego korpusu prasowego, został wybrany członkiem Rady Stowarzyszenia Korespondentów. ■ W Nowym Jorku odbyło się staraniem Kongresu Polonii Amerykańskiej spotkanie z zastępcą dyrektora Federalnego Biura Śledczego

(FBI) Kennethem Waltonem, otwarte dla publiczności. Walton mówił o działalności FBI na terenie Stanów Zjednoczonych w zakresie zwalczania szpiegostwa i infiltracji komunistycznej. Kongres Polonii Amerykańskiej wystąpił z inicjatywą w tej sprawie ze względu na fakty szpiegostwa na rzecz Paktu Warszawskiego uprawiane przez Polaków. Sprawa ta nabrała szczególnego rozgłosu w Chicago i Kalifornii w związku z wykryciem szpiegostwa Polaków w przemyśлах zbrojeniowych i elektronicznych. ■ Do Stanów Zjednoczonych przybył profesor Władysław Bartoszewski. Wygłosił on w Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku odczyt pt. „Sytuacja kultury polskiej”. Następnie był podejmowany na ratuszu przez burmistrza Edwarda L. Kocho oraz odbył spotkanie z dziennikarzami polskimi w *Nowym Dzienniku*. ■ Zjednoczenie Polsko-Narodowe w Nowym Jorku, jedna z najstarszych organizacji Polonii amerykańskiej, obchodziła ostatnio 80-lecie swojego istnienia. Prezesem organizacji jest Leopold S. Malinowski, sekretarką Krystyna J. McMullan, czynni działacze wśród nowojorskiej Polonii. Organizacja ta miała bliskie stosunki z reżymem w okresie kiedy prezesem był śp. Józef Głowacki. Teraz Zjednoczenie powróciło do szeregów Kongresu Polonii Amerykańskiej. ■ Dla uczczenia pamięci posła Klemensa Zabłockiego, długoletniego przewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych Izby Reprezentantów, Izba uchwaliła przekazanie 10 milionów dolarów za sum będących w posiadaniu rządu Stanów Zjednoczonych w Polsce na budowę przychodni dziecięcej im. Klemensa Zabłockiego przy Szpitalu Dziecięcym w Krakowie. ■ Na Uniwersytecie Stanowym Pensylwanii w Kern Galleries odbyła się wystawa rysunków warszawskiego grafika Jana Dobkowskiego-Dobsona. Jego prace znajdują się w zbiorze Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku i w innych muzeach. ■ Prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, Alojzy A. Mazewski, odbył konferencję w Białym Domu z Robertem C. McFarlane. Tematem dyskusji były sankcje wobec reżymu Jaruzelskiego i polityka USA wobec Polski. Mówiono także o budżecie Radia Wolna Europa i potrzebie wzmocnienia nadajników tej stacji. ■ W Nowym Jorku odbyło się doroczne walne zebranie Polsko-Słowiańskiej Federalnej Unii Kredytowej, na którym wybrano nowy zarząd. Prezesem pozostaje nadal Bolesław Łaszewski. Aktywa tej największej polsko-amerykańskiej instytucji oszczędnościowej przekroczyły kwotę 31 milionów dolarów. ■ Poseł do Izby Reprezentantów, Bob Trakler, demokratą ze stanu Michigan, zgłosił na plenum Izby Reprezentantów wniosek o zmniejszenie na najbliższe dwa lata do połowy opłat pocztowych za paczki wysyłane do Polski z żywnością, środkami medycznymi i odzieżą. ■ 80 członków Izby Reprezentantów z obu partii wystosowało do Jaruzelskiego list, domagając się zwolnienia jedenastu więźniów politycznych, więzionych od ponad 2 lat. ■ W Białym Domu odbyła się sesja informacyjna na temat sytuacji w Polsce i stosunków polsko-amerykańskich. Zebranie organizował łącznik Białego Domu dla spraw etnicznych Linas Kojelis. Z ramienia Rady Bezpieczeństwa Narodowego politykę administracji wobec Polski przedstawili Paula Dobriansky, referentka spraw Europy Wschodniej, oraz Dave Pozorsky, kierownik działu polskiego w Departamencie Stanu. W zebraniu brali udział przedstawiciele prasy oraz przedstawiciele grup etnicznych w Stanach Zjednoczonych. ■ Meksykański Instituto de Estudios de Cultura Y Sociedades Europeas zamierza wydać książkę z zakresu historii komunizmu i socjalizmu. Praca może być dziełem zbiorowym lub indywidualnym i ma odpowiedzieć na pytanie, dlaczego komunizm i socjalizm są złymi systemami. Praca ma obejmować około 400 stron i być napisana w języku angielskim, francuskim bądź hiszpańskim. Po informacji i szczegóły należy zwracać się do: Senor Fernando Cuen, Alberto Zamora 124 Coyoacan 04000 Mexico 21 DF Mexico. ■ Indywidualna wystawa prac Ewy Kuryluk, malarki zamieszkałej w Nowym Jorku, odbywa się w nowojorskiej galerii Art in

General. Ewa Kuryluk wykłada estetykę jako stypendystka New York Institute for the Humanities przy NY University. ■ Centrala Polskich Szkół Deksztalających w Nowym Jorku zorganizowała konferencję nauczycielską na temat problemów współczesnej oświaty wśród Polonii amerykańskiej. ■ W Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku odbyło się doroczne zebranie Rady. W wyniku wyborów ukonstytuował się nowy zarząd ze Stanisławem Jordanowskim jako prezesem. ■ Znana polska śpiewaczka Teresa Żylis-Gara śpiewa obecnie w Metropolitan Opera w Nowym Jorku w roli tytułowej w „Manon Lescaut” G. Pucciniego. Na rynku ukazały się ostatnio jej dwie płyty, „Pieśni Fryderyka Chopina” i „Arie kompozytorów słowiańskich”. ■ W dniach 3-6 maja miały miejsce w Chicago uroczystości 40-lecia Kongresu Polonii Amerykańskiej. Z okazji rocznicy odbył się bankiet, w którym wzięło udział 1.200 osób, oraz manifestacja Polonii w centrum miasta z okazji 3 maja. Równocześnie odbyła się konferencja Rady Dyrektorów, która przyjęła szereg uchwał związanych z sytuacją w Polsce i wewnętrzną sytuacją Stanów Zjednoczonych. Uchwały będą przedstawione w komisji programowej obu partii w związku ze zbliżającymi się wyborami prezydenckimi. Postanowiono domagać się utrzymania sankcji przeciwko rządowi PRL, dopóki nie nastąpi zwolnienie wszystkich więźniów i niezbędne reformy wewnętrzne. Wezwano rząd amerykański, aby zainicjował praktyczną politykę zmierzającą do usunięcia podziału Europy uchwalonego w Jałcie. ■ W Fundacji Kościuszkowskiej odbyło się zebranie powierników, na którym prezes rady Michał Sendzimir ustąpił z zajmowanego stanowiska. Miejsce jego nie zostało obsadzone. Natomiast przewodniczącym komitetu wykonawczego wybrany został William Man Parkhurst. ■ Na kursy wakacyjne do Polski wyjeżdża w tym roku w ramach programu Fundacji Kościuszkowskiej około 300 studentów ze Stanów Zjednoczonych. ■ Nakładem wydawnictwa Congdon and Weed, Inc. ukazała się książka Davida Hapgooda i Davida Richardsona pt. „Monte Cassino”, omawiająca kontrowersyjny problem zbombardowania opactwa Monte Cassino przez lotnictwo amerykańskie 15 lutego 1945 roku. Autorzy na podstawie najnowszych źródeł stawiają tezę, że bombardowanie było zbyteczne i było błędem strategicznym, za który obwiniają marszałka Alexandra, dowódcę V armii i generała Marka Clarka. Książka błędnie przedstawia ostatni dzień ataku polskiego na Monte Cassino, utrzymując, że Polacy zdobyli opactwo bez walki. Natomiast interpretuje zyczliwie historię 2-go Korpusu i położenie Polski w momencie bitwy już po konferencji w Teheranie. Książka przypomina też, że generał Anders i generał Juin byli przeciwni frontalnemu atakowi doradzając okrażenie pozycji niemieckich. ■ Wdowa po prezydencie Augustynie Zaleskim postanowiła uczcić pamięć swego męża i na ten cel przeznaczyła kolekcję jego pamiątkowych medali. Medale te zostały sprzedane na aukcji w Nowym Jorku dnia 14 września 1983 roku za sumę \$ US 41.125,50. Suma ta pozwoliła na utworzenie „The August Zaleski Lectureship in Modern Polish History (1795 to present)”. Na pełny lektorat w Harvard University potrzebna jest suma 250 tys. dolarów. Uniwersytet zamierza zrobić zbiorke dla uzyskania pełnej sumy.

KRONIKA FRANCUSKA

Zbigniew Kowalewski, któremu władze francuskie odmówiły prawa pobytu we Francji (patrz *Kultura* nr 4/339) otrzymał w końcu zezwolenie na pobyt. ■ Z inicjatywy Komitetu Solidarité avec „Solidarność” z Grenoble, w nowej, centralnej dzielnicy tego miasta powstanie pomnik „Solidarności”. Konkurs na projekt pomnika wygrał włoski artysta rzeźbiarz — Manfredi Quartana. Zarówno lewica jak i prawica w Radzie Miejskiej Grenoble

głosowała za zrealizowaniem tego przedsięwzięcia. Organizatorzy apelują o pomoc w sfinansowaniu pomnika. Ewentualne dary i czeki należy przesyłać na adres „Comité Solidarité avec Solidarność”, 2, rue Berthe de Boissieux, 38000 Grenoble. ■ 22 marca 1984 bezpieka aresztowała w Szczecinie 28-letniego obywatela francuskiego — Jacky Challot. W ciężarówce, którą prowadził J. Challot znaleziono sprzęt poligraficzny oraz książki i czasopisma emigracyjne. Challot otrzymał sankcję prokuratorską z kilku artykułów — m.in. o znieważenie organów państwowych, rozpowszechnianie fałszywych wiadomości mogących wyrządzić poważną szkodę interesom PRL i próbę przemytu. Grozi mu wyrok do lat pięciu. Od 11 kwietnia przebywa w areszcie śledczym — również w Szczecinie — inny obywatel francuski — Olivier Roux. Roux otrzymał sankcję prokuratorską z paragrafu o wspomaganie nielegalnych organizacji. Grozi mu wyrok do lat trzech. Prasa i telewizja francuska poświęciły dużo miejsca obu sprawom, wszystkie większe centrale związkowe (z wyjątkiem komunistycznej) ogłosiły apel domagający się natychmiastowego uwolnienia obu Francuzów, podobnie zareagowały francuskie organizacje obrony praw człowieka. ■ 24 kwietnia 1984 kwartalnik *Alternative* w Paryżu zorganizował zebranie na temat „Tożsamość narodowa i problemy społeczne na Ukrainie” z udziałem Bohdana Krawczenko, profesora na Uniwersytecie Alberta (Kanada). Redakcja *Alternative* poświęciła swój ostatni numer problematyce ukraińskiej. ■ Z okazji pierwszomajowego święta w lokalu Radia „Solidarność” odbyło się kameralne spotkanie sympatyków i przyjaciół Radia. Uczestniczy w nim m.in. Marc Blondel — sekretarz generalny Konfederacji *Force Ouvrière*. ■ Przedstawiciele Biura Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” za granicę uczestniczyli w pochodzie i mitingu zorganizowanym niezależnie przez dwa francuskie związki zawodowe, CFDT i FO. Na spotkaniu CFDT został odczytany okolicznościowy list Zbigniewa Bujaka do paryskiej Unii Regionalnej CFDT. W pochodzie FO zwracali uwagę ciężarówkami z dużymi planszami i z hasłami na temat Polski i „Solidarności”. Ciężarówki te jeździły ulicami Paryża przez trzy dni, aż do 3 maja. Akcję zorganizowało — przy współpracy FO — środowisko paryskiego wydawnictwa „Spotkania”. ■ Z okazji rocznicy Konstytucji 3 Maja w gmachu Biblioteki Polskiej miało miejsce tradycyjne zebranie zwołane przez Towarzystwo Historyczno-Literackie. ■ Galeria „Lambert” prezentuje wystawę prac kilkunastu malarzy, grafików i rzeźbiarzy zatytułowaną „Préférences”. Można zobaczyć między innymi prace Joanny Boillat, Gierowskiego, Jana Lebensteina, Junko Nakamura, Nikifora, Tarasina i wielu innych. ■ W tym samym dniu, w którym odbywał się wernisaż wystawy „Préférences” gościem księgarni „Lizbella” był Jan Nowak-Jeziorański. Jan Nowak podpisywał swoją słynną książkę pt. „Kurier z Warszawy”, opublikowaną niedawno po francusku w wydawnictwie „Gallimard”. ■ Kilkanaście dni przebywał we Francji ks. prof. Józef Tischner z Krakowa. Ks. Tischner wygłosił w Paryżu kilka odczytów i wykładów, m.in. w Centre du Dialogue i w Instytucie Katolickim. ■ 13 maja w kaplicy Ojców Pallotynów przy ulicy Surcouf została odprawiona msza święta w intencji żołnierzy polskich poległych pod Monte Casino. Podczas uroczystości przemawiał Józef Czapski. ■ Międzynarodówka Oporu zorganizowała w Paryżu dwudniowe sympozjum poświęcone znaczeniu konferencji w Jałcie. W debacie udział wzięło wielu wybitnych politologów, historyków i socjologów z całego świata. Obecni byli również Polacy — m.in. prof. Krystyna Marek, Jan Nowak-Jeziorański, Aleksander Smolar i Zdzisław Ruraz. ■ Z krótką wizytą przebywał we Francji Prymas Polski, kardynał Józef Glemp. ■ W paryskim teatrze Lucernaire (53, rue Notre-Dame-des-Champs) wystawiany jest spektakl według prozy Ewy Lipskiej pt. „Żywa śmierć”. Adaptacja i reżyseria — Kazimierz Skorupski, w roli głównej — Michel Parent. K. Skorupski związany był ze słynnym wrocław-

skim teatrem „Kalambur” i również z innymi teatrami Wrocławia i Zielonej Góry. Od 1982 roku przebywa w Paryżu. ■ W Collège de France w Paryżu rozpoczęła się seria wykładów Władysława Sochy, profesora New York Medical School. ■ Na odbywającym się w Paryżu sympozjum (*session d'études*) międzynarodowej organizacji studentów katolickich (JECI — MIEC — *Jeunesse Etudiante Catholique Internationale — Mouvement International d'Etudiants Catholiques* od 5 kwietnia do 8 kwietnia) poświęconym problematyce Europy Wschodniej a właściwie Środkowo-Wschodniej, dwa referaty wygłosili gościnnie zaproszeni redaktorzy warszawskiego miesięcznika katolickiego *Więź* Józef Ruszar i Marek Zieliński. Red. Ruszar mówił o sytuacji Kościoła w krajach Europy wschodniej, wynikłej z ich odmienności historycznej, skupiając swoje zainteresowanie na Polsce, Ukrainie, Czechosłowacji, Rosji, Litwie i Białorusi, zaś Zieliński podjął wątek historycznych i duchowych odmienności niektórych z krajów Europy Środkowo-Wschodniej (Czechosłowacja, Węgry, Polska, kraje bałtyckie: Estonia, Litwa, Łotwa) podkreślając niemożliwość dalszego utrzymywania obecnego stanu rzeczy czyli politycznego podziału Europy, co jest groźne także i dla wolnej części europejskiego obszaru (tytuł referatu: Problem Europy Wschodniej czy problem winy Europy?). ■ W spotkaniu paryskim, które odbywało się na terenie zakonu (S.S. Wniebowzięcia N.M.P.) Couvent de l'Assomption przy 17 rue de L'Assomption, Paris 75016 wzięli udział obok licznej grupy studentów z całego świata (Ameryka Łacińska: Urugwaj, Meksyk, Peru, Brazylia; Azji: Indie, Bangladesz, Korea Południowa, Taiwan oraz Europy: Austria, Francja, Włochy, Belgia, RFN, Polska) także inni referenci m.in. znani dziennikarze i publicyści jak Jean Offredo z TF 1. Paris, i Stefan Wilkanowicz z krakowskiego *Znaku*, zajmujący się głównie zagadnieniem funkcjonowania systemów socjalistycznych w Europie Środkowo-Wschodniej.

Wojciech SIKORA

KRONIKA KANADYJSKA

Dwie Polki — Kazimiera Cebula, lat 51 i Ewa Szytura, lat 31 — zakończyły 24-dniową głodówkę przed konsulatem PRL w Montrealu, bowiem otrzymały od przedstawicieli Kongresu Polonii Kanadyjskiej, okręg Québec zapewnienie, że ich postulaty będą pozytywnie załatwione. Obie głodujące kobiety domagały się od władz PRL wydania paszportów dla ich najbliższej rodziny: p. Cebula dla syna, synowej w poważnym stanie i dwojga wnuków, a p. Szytura dla męża i 10-letniego syna. ■ Rada Miejska w Hamilton (Ontario) przychyliła się do prośby wniesionej przez organizację polonijną, aby ulica Edward, przy której mieszczą się: kościół polski św. Stanisława oraz kilka organizacji polonijnych, została przemianowana na ulicę „Solidarność”. Na posiedzeniu Rady pewna grupa osób sprzeciwiła się zmianie nazwy tej ulicy. Znalezione jednak kompromisowe rozwiązanie, ulicę podzielono na dwie części, z których jedna otrzymała nazwę „Solidarność Place”, a druga zatrzymała poprzednią nazwę. ■ Toronto Board of Education zatwierdził kursy dla polskich imigrantów-nauczycieli, celem przygotowania ich do wykonywania zawodu w Kanadzie. Na kursy zgłosiło się ponad 100 osób, a wobec tego, że ich znajomość angielskiego okazała się nierówna, utworzono trzy grupy. Obok zajęć grupowych odbywają się także konsultacje indywidualne. Podobne kursy dla lekarzy i inżynierów okazały się wysoce korzystne. ■ Ks. Antoni Mendrela, proboszcz parafii Matki Boskiej w Toronto, został wybrany prowincjałem prowincji na miejsce ks. Jana Mazura, który zgodnie z regulaminem ustąpił po dwóch trzyletnich kadencjach. Ks. Mendrela jest pierwszym prowincjałem, który jest

polskim imigrantem, przybyłym z Polski przed kilkoma laty. Wszyscy jego poprzednicy byli synami imigrantów. ■ Ks. dr Edward Szymanek, nowy Przełożony Generalny Towarzystwa Chrystusowego, przeprowadził w kwietniu br. wizytację parafii i księży tego Zgromadzenia, pracujących w Kanadzie. W Ontario Chrystusowcy mają parafie w Oshawie i Scarborough (wschodnia dzielnica Toronto). ■ W Toronto utworzył się komitet organizacyjny budowy pomnika Jana Pawła II. Pomnik ma stanąć na terenie Kasy Kredytowo-Pożyczkowej parafii polonijnych. Przewiduje się wzniesienie go tuż przed wizytą Papieża w Toronto. Spotkanie Jego z Polonią w Toronto przewidziane jest na dużym stadionie sportowym w dniu 14 września br. ■ Jan Gross, profesor Yale University, wygłosił w Toronto w dniu 11 kwietnia br. w sali SPK odczyt na temat „Okupacja wschodnich terenów R.P. przez Rosję Sowiecką w latach 1939-1941”. Odczyt ten został zorganizowany przez Komitet Pomocy dziennikarzom w Polsce i dochód został przeznaczony na ten cel. ■ W ramach programu rozładowywania uchodźców z PRL przybył z Włoch do Kanady niejaki Jan Niemiec. Jak się okazało był to notoryczny przestępca. Popełnił w Kanadzie szereg przestępstw i, schwytyany na gorącym uczynku, przyznał się w czasie dochodzenia do swej przestępczej przeszłości. Władze kanadyjskie — zgodnie z obowiązującymi przepisami — uznały, że lepiej go deportować, niż utrzymywać w więzieniu. 27 kwietnia br. Niemiec który próbował popełnić samobójstwo został przewieziony pod silną eskortą policyjną ze szpitala w Montreal, na lotnisko Mirabel i wsadzony do samolotu PLL „LOT”, odlatującego do Warszawy. Lekarze uznali, że aczkolwiek nie zdołali usunąć z jego żołądka kamienia, który połknął, to podróż nie zagraża jego stanowi zdrowia.

B. H.

Z OSTATNIEJ CHWILI

Ofensywa przeciwko Polsce. Niezależnie od książki Wadima Trubnikowa pt. *Krach operacji „Polonia”*, którą w bieżącym numerze omawia Adam Kruczek, ukazało się niedawno nowe opracowanie Władimira Bolszakowa pt. *Wyprawa krzyżowa przeciwko socjalizmowi* (obie książki wydane przez agencję „Nowosti” w Moskwie w 7 językach — w tym w języku polskim w przekładzie Witolda Kuleszy). Ponadto Uniwersytet im. Wilhelma Piecka w Rostoku w NRD wydał opracowanie Johanna Kalischa pt. *Polska polityka zagraniczna 1918/1919 do 1939 w kleszczach sprzecznych poglądów*. Opracowanie to zawiera również ustęp „współczesny”, który podajemy poniżej.

Wilhelm-Pieck-Universität w Rostoku, NRD

Johannes Kalisch

Polska polityka zagraniczna 1918/1919 do 1939 w kleszczach sprzecznych poglądów

(...)

Tuziny mieszczkańskich, kontrewolucyjnych polskich historyków emigracyjnych będących na utrzymaniu imperialistycznych kół Europy Zachodniej a zwłaszcza Stanów Zjednoczonych od ponad trzech dziesięcioleci pracują w waszyngtońskim Instytucie Piłsudskiego i londyńskim Instytucie Sikorskiego nad propagowaniem rzekomo zgodnego z prawdą obrazu najnowszej historii Polski. Obok prymitywnych antykomunistycznych oszczerstw (Świątło) lub strojących się w piórka naukowości opracowań (N. Naruszewicz) powstały tam również bogate w fakty książki, jak 3-tomowa „Najnowsza historia polityczna Polski” Wł. Pobóg-Malinowskiego. Niemało upadłych

burżuazyjnych polityków, dyplomatów i wojskowych przyłożyło się „sensacyjnymi wyznaniami” do sporządzenia obrazu zaciemniającego II Rzeczpospolitą i wynoszącego jej głównych przedstawicieli na piedestał bohater-skich bojowników o wolność — krótko mówiąc, do gloryfikacji przeszłości, mającej zachęcić do restauracji władzy przegnanych przez Polskę Ludową klas wyzyskiwaczy i przygotować ją. Czasopisma typu paryskiej *Kultury*, która wydała w międzyczasie 400 numerów, a w wydawnictwie swoim dalszych 321 tytułów o łącznym nakładzie równo pięciu milionów egzemplarzy, londyńska *Bellona* i waszyngtońska *Niepodległość* służą rozpowszechnianiu tego reakcyjnego obrazu historii nie tylko wśród licznej emigracji polskiej (która według przybliżonych szacunkowych danych przeobraziła się już w pokazną 25-milionową Polonię, rozsiadną po wszystkich kontynentach), ale także w samej Polsce Ludowej. Rozprowadzanie tych produktów nie było tam wprawdzie możliwe, znajdowały się jednak tu i ówdzie kanały, pozwalające przekazywać ten zakazany towar ideologiczny „do ojczyzny”. Marksistowscy historycy polscy tworzyli stale wspólny front przeciwko tym tendencyjnym, antysowieckim i antykomunistycznym wymysłom, jednak mur ten najwidoczniej nie był dość silny, aby skutecznie odeprzeć coraz bardziej zmasowane kontrrewolucyjne ataki na świadomość historyczną ludności polskiej.

(...)

Od późnego lata 1980 Polska została definitywnie zalana potokiem kontrrewolucyjnych ulotek, broszur i przedruków produktów reakcyjnych kół emigracyjnych, kolportowanych przez KOR, KPN, Solidarność, NZS i inne ugrupowania. Szeroko rozwinęło reakcyjną propagandę historyczną „Towarzystwo Kursów Naukowych”. Pod hasłem „odkłamania historii” serwowało ono albo pełne kłamstwa, albo półprawdy, wyrwane z kontekstu fakty, odpowiednio preparowane i fałszowane związki przyczynowe, bezpodstawne „sensacje” wyciągnięte z dziedziny legend. Wszelkie fakty, które nie pasowały do tak spreparowanego obrazu, przemilczano albo umniejszono ich znaczenie.

13 maja zmarł w Santa Fé (USA) w wieku 75 lat prof. Stanisław Ulam, jeden z najwybitniejszych matematyków, który m.in. znalazł rozwiązanie stworzenia koniecznych warunków do wybuchu bomby wodorowej. Do roku 1967 wraz z grupą uczonych pracował nad tym zagadnieniem w Los Alamos. Ostatnio wykładał na uniwersytecie w Colorado. ■ W Londynie odbył się II Zjazd Wolnego Świata z udziałem około 200-tu delegatów, obserwatorów i rzeczoznawców ze wszystkich skupisk polskich na świecie. Zjazd ten omówimy w następnym numerze *Kultury*. ■ Piotr Bednorz, przywódca podziemia na Dolnym Śląsku, członek TKK, skazany na wieloletnie więzienie, próbował popełnić samobójstwo wbijając sobie nóż w brzuch. Znajduje się obecnie w szpitalu więziennym w Braniewie. Stan bardzo ciężki.

Listy do Redakcji

POLISH MUSEUM OF AMERICA
984 Milwaukee Ave.
Chicago, Ill. 60622

March 29, 1984

Kultura Editor
INSTITUTE LITTERAIRE
91 Avenue de POISSY
Le Mesnil-le-Roi
78600 Maisons-Laffitte, FRANCE

March issue, 1981, page 87

We wish to help inform the poor *Jan Nowak*, writer of the article „Szable Marszałka Piłsudskiego” as appearing in the March 1981 KULTURA issue.

For his benefit, if he thinks that he has done his research, we would like to advise him that for years what he is referring to as „Archiwum i Muzeum Zjedn. Pol. Rzym. Kat.” has been non-existent/ It is now the „Polish Museum of America” and independently incorporated, although still under the patronage of the PRCUA.

Any such attacks such as his I feel directed to myself, and this is my reason for responding, as I am responsible for the Museum. There are other facts in his article that I would like to take him to task, as apparently from iles away he is trying to establish himself as the champion of a cause on the basis of only the obvious.

We are drawing attention and turning over this correspondence to our corporate lawyer, Mr. Krzeminski*.

Rev. Donald BILINSKI, OFM
Kustosż

* Ponieważ nie jesteśmy pewni czy język angielski ks. Bilińskiego będzie zrozumiały dla naszych Czytelników, podajemy poniżej tłumaczenie jego listu:

29. 3. 1984

Do Redakcji *Kultury*

Chcielibyśmy dopomóc w poinformowaniu biednego Jana Nowaka, autora artykułu „Szable Marszałka Piłsudskiego”, opublikowanego w *Kulturze* z marca 1981. Jeśli sądzi, że dokonał jakichś badań, informujemy go dla jego pożytku, że to o czym pisze jako o „Archiwum i Muzeum Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego” nie istnieje od lat. Jest to obecnie „Polish Museum of America”, na statusie samodzielnym, choć nadal pod patronatem PRCUA.

Ataki takie jak J. Nowaka odczuwam jako skierowane przeciwko mnie osobiście jako odpowiedzialnemu za muzeum, dlatego też odpowiadam. Są w jego artykule także inne fakty, które chciałbym mu zarzucić, gdyż naj-

widoczniej stara się z odległości zrobić z siebie bojownika sprawy na podstawie samych oczywistości.

Zwracamy uwagę, że kopię niniejszego listu kierujemy do prawnika naszego związku p. Krzemińskiego.

Rev. Donald Bilinski, OFM

List ks. Donalda Bilińskiego jest spóźnioną o trzy lata reakcją na artykuł ogłoszony w marcowym numerze *Kultury* z 1981 roku.

Nazwa Muzeum nie jest rzeczą istotną w tej nad wyraz przykrej sprawie. Kwit wystawiony przez Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie 17 stycznia 1947 stwierdza wyraźnie, że w dniu tym Józef L. Kania i Mieczysław Haiman — Kustosz Archiwum i Muzeum Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego przyjęli w depozyt z rąk Franciszka Puławskiego, dyrektora Biblioteki Polskiej w Paryżu, dziewięć szabel i dwa pugiwały Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Od 14 lat Związek i Muzeum odmawia zwrotu depozytu Bibliotece Polskiej, co równoznaczne jest z przywłaszczeniem i nadużyciem zaufania. Ogłaszając artykuł Jana Nowaka, Redakcja *Kultury* zwróciła uwagę, że nie jest to niestety pierwszy wypadek podobnego traktowania depozytów. Gorszący jest fakt, że przywłaszczenia dokonała organizacja określająca siebie jako instytucję katolicką a kustoszem Muzeum jest ksiądz i zakonnik*.

REDAKCJA

ALEX I. BRAGIŃSKI

713 Maryland Ave.

Pittsburgh, PA 15232

Pittsburgh, 3 lutego 1984.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

„Apel do Polaków po Świecie Rozsianych” z grudnia 1983 („Kultura” nr 1/2, 1984) wzywa nas wszystkich żyjących poza Polską, którzy jako tako wiążemy koniec z końcem, do akcji podstawowej ważnej dla zachowania Polski i polskości. Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej (FPNLN) jest tu środkiem o potencjalnie ogromnej skuteczności. Obawiam się jednak, że ograniczenie się do publikacji Apelu w prasie emigracyjnej nie da wyników wystarczających dla zapewnienia środków do pracy (i życia) tym twórcom oraz pracownikom niezależnej nauki i oświaty, którzy zdecydowali się na działalność niezależną od mecenatu PRL lub też zostali pozbawieni możliwości pracy zawodowej. Potrzebna jest zorganizowana kampania według najlepszych wzorów tzw. tutaj *fund raising*.

Ze swojej strony deklaruję na 1984 sumę US \$ 300 jako zobowiązanie na rzecz FPNLN, składam na Pana ręce pierwszą (częściową) wpłatę i wzywam moich przyjaciół, kolegów i znajomych, aby postąpili podobnie. Będę wdzięczny, o ile uzna Pana za możliwe opublikowanie tego listu.

Łączę najlepsze pozdrowienia,

Doc. Dr. Aleksander I. BRAGIŃSKI
(Kierownik Badań Materiałów Nadprzewodnikowych, Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Westinghouse Electric Corp.,
Pittsburgh, Pennsylvania, USA)

cc. Prof. Cz. Miłoś

Przewodniczący FPNLN

Londyn, 19 kwietnia 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeglądając w numerze 4/439 z roku 1984 bardzo sumienne i interesujące zestawienie wydawnictw, opracowane przez p. Marię Danilewicz Zielińską („Rekonians” — str. 101-130) ze zdziwieniem zauważyłem brak jakiegokolwiek wzmianki o książce pt. „Trzecia Dywizja Strzelców Karpackich”, wzorowo i z naukową dokładnością opracowanej przez płk. dr. Mieczysława Młotkę i liczącej przeszło 900 stron druku, ponad 300 fotografii, z licznymi mapami i planami oraz osobnym zeszytem szkiców. Książka spotkała się z przychylnym przyjęciem przez czytelników i doczekała się omówienia na zebraniu Polskiego Towarzystwa Historycznego dnia 18 maja 1978 roku w Instytucie Polskim i Muzeum im. Generała Sikorskiego w Londynie.

Publikacja Dywizji Karpackiej jest jedną z nielicznych monografii wielkich jednostek Wojska Polskiego na obczyźnie, jakie ukazały się na emigracji stąd moje zdziwienie, że wymieniając różne broszurki i opracowania nie znalazło się miejsca dla tej niewątpliwie wartościowej książki.

Z wyrazami poważania

S. CIEŚLEWICZ

Toronto, 9 kwietnia 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

Do Kroniki Kanadyjskiej z listopada ub. roku wkraśli się pewne nieścisłości, najprawdopodobniej spowodowane telegraficznym stylem tych notatek, o czym rozmawiałem swego czasu z autorem kroniki.

Cykl wykładów z historii i kultury polskiej był zorganizowany pod patronatem Stowarzyszenia Techników Polskich, pod przewodnictwem Inż. Maćka Zaremby i Polskiego Instytutu Naukowego (The Polish Institute of Arts and Sciences in America — Toronto Chapter) pod przewodnictwem prof. Iwony Grabowskiej, oraz przy poparciu finansowym ze strony Fundacji im. Adama Mickiewicza i Funduszu Wieczystego Milenium w Toronto.

Inicjatorem i organizatorem wykładów był niżej podpisany.

Wykłady odbywały się raz w miesiącu w języku angielskim, a wykładowcami byli profesorowie, doktorzy względnie doktoranci historii, socjologii, literatury i politologii.

Ostatni wykład z tego cyklu odbędzie się w maju, pt. „The Forms of Opposition in Postwar Poland” — wykładowca Prof. Stefan Podgórecki*, z Dept. Socjologii Carlton University w Ottawie.

W projekcie jest wydanie autoryzowanych tekstów wykładów drukiem, względnie w formie skryptów dla użytku innych ośrodków polonijnych.

Celem wykładów jest dokształcenie potomków emigracji powojennej, tych którzy obejmą spraw polonijnych od emigracji powojennej — zapoznanie ich z kulturą i historią polską od XVIII wieku po czasy najnowsze, a w dalszej przyszłości utworzenie ośrodka opiniotwórczego, który mógłby potem wspierać niepodległościowe dążenia Kraju.

Podobna inicjatywa jest realizowana w Montrealu, przez Polski Instytut Naukowy i w New Yorku przez Instytut J. Piłsudskiego w Ameryce. Rozszerzenie takich inicjatyw na wszystkie ośrodki polonijne wydaje się jak najbardziej pożądane i na czasie.

Łączę wyrazy szacunku

Zbigniew A. CZUDEK
b. pracownik
Służby Zagranicznej R.P.

* Chyba mowa o prof. Adamie Podgóreckim z uniw. Carleton? (Red.)

Ann Arbor, 11 lutego 1984.

Szczególny Panie Redaktorze!

Stycziowy numer *Kultury*, zawierający artykuł P. Sally Boss pt. „Uczelnia polskie w USA”, dotarł do moich rąk w okresie, kiedy nasza polonijna społeczność w Ann Arbor żegnała doktora Piotra A. Ostafina, który zmarł nagle w dn. 31 stycznia. Kim był S. P. Ostafin? Urodził się 9 października 1908 w Easthamptom, Mass., gdzie spędził swoje przeduniwersyteckie lata w polskim środowisku emigracyjnym. Pomimo iż jego polskie pochodzenie nie było w owych czasach najlepszym społeczno-etnicznym atutem, Piotr musiał wykazywać wysokie walory intelektualne, skoro został przyjęty na raczej elitarny, prywatny uniwersytet Dartmouth College. Zazwyczaj tego rodzaju „awans” społeczny powodował wśród „etnicznych” studentów powolną asymilację z anglosaskim otoczeniem i stopniowe odsuwanie się od rodzimego pnia. W wypadku Piotra tak się nie stało. Na terenie college'u zetknął się z profesorem W. Rose, wielkim przyjacielem Polski i wielbicielem jej kultury, który w Dartmouth wykładał polski język i literaturę. Pod wpływem Rose'a rozkochał się Piotr w raczej nieznaną mu przedtem polskiej historii. Nauczył się polskiego literackiego języka i wgłębiać się począł w skarby polskiej kultury. Po uzyskaniu pierwszego stopnia uniwersyteckiego w Dartmouth kontynuował swe studia na uniwersytecie michigańskim (The University of Michigan) w Ann Arbor, gdzie w roku 1948 uzyskał doktorat z socjologii, napisawszy pracę na temat Polonii w Detroit. Jednocześnie ze swymi studiami doktoranckimi pracował w systemie burs studenckich (*dormitories*) na tymże uniwersytecie.

Powołany na katedrę socjologii na uniwersytecie michigańskim, dr Ostafin po pewnym czasie przeniósł się na tory pracy administracyjnej tej samej uczelni, która na jego oczach przemieniła się z kilkutyśięcnej instytucji na *mega-university*, liczący ponad czterdzieści tysięcy studentów. Przez blisko trzydzieści lat dr Ostafin czuwał nad stworzeniem odpowiednich warunków mieszkaniowych dla szybko rosnącej rzeszy studenckiej, „której — jak mawiał — trzeba dać coś więcej niż cztery ściany i dach nad głową”. Ta odpowiedzialna i czasochłonna praca nie przycisnęła jednak jego zapału do wszystkiego co polskie i polonijne. Interesował się zwłaszcza i popierał wszelkie inicjatywy związane z manifestowaniem polskiej i polonijnej obecności w życiu uniwersyteckiego społeczeństwa w Ann Arbor. Sekundowała mu jego małżonka Eleonora, która po okresie zawodowej izolacji od jej bardzo patriotycznego rodzinnego gniazda w Easthamptom osiągnęła w Ann Arbor zdumiewającą biegłość w języku polskim. Oboje Ostafinowie zadbali też o to, ażeby ich córki — a więc już drugie amerykańskie pokolenie — nauczyły się mówić po polsku.

Ale jaki związek ma to wspomnienie o moim zmarłym przyjacielem Piotrze z artykułem Sally Boss? Otóż P. Boss poruszyła zagadnienie tworzenia finansowego zaplecza dla umożliwienia „krzewienia polskiej kultury i polskiego punktu widzenia” w amerykańskich uniwersyteckich instytucjach i środowiskach. Z pokrewną inicjatywą wystąpił przed dwunastu laty Piotr Ostafin. Urzeczony geniuszem Mikołaja Kopernika stanął na czele uniwersyteckiego komitetu uroczystości kopernikowskich w Ann Arbor w 1973 roku i rzucił pomysł stworzenia katedry imienia wielkiego Polaka. W ten sposób polski wkład do światowej cywilizacji zostałyby zmanifestowane w strukturze i programach amerykańskiego uniwersytetu o międzynarodowej renomie i stworzona zostałaby baza dla akademickiego popularyzowania wiedzy o Polsce. Inicjatywa Piotra nie ograniczyła się do frazeologii. Od 1972 roku do dosłownie ostatnich godzin swego życia pracował nad zrealizowaniem idei katedry kopernikowskiej. Nie dożył chwili uzbierania na ten cel jednego miliona dolarów. Obecnie zbiórka przekroczyła

sumę zaledwie trzydziestu tysięcy dolarów. Ale odsetki płynące z powolutku rosnącego funduszu pozwoliły na realizowanie ubocznego programu zainicjowanego przez Piotra, a mianowicie corocznych imprez na uniwersytecie michigańskim, organizowanych i finansowanych (całkowicie lub częściowo) przez Fundację Kopernikowską — po angielsku: *The Copernicus Endowment* — formalnie utworzoną na teże uczelni. Dzięki tym funduszom uniwersytet w Ann Arbor stał się publicznym forum dla występów polskich, a i niepolskich autorytetów, dających bezpośrednio lub pośrednio świadectwo dorobkowi polskiej kultury czy też polskiej historii. W tym charakterze wystąpili przed uniwersytecką publicznością w Ann Arbor St. Barañczak (indywidualnie, jak i w dialogu naukowo-literackim z Czesławem Miłoszem), Leszek Kołakowski, Czesław Miłosz, Tola i Tymon Terleccy oraz trzej historycy omawiający Odsiecz Wiedeńską: Alan Fisher, Michael Geyer i Andrzej Kamiński. Wielkim sukcesem uwieńczona została też inicjatywa prof. Romana Szporluka, który zimą 1983 roku zorganizował i kierował jednotygodniowym „mini-kursem” na temat wydarzeń w Polsce od 1945 do 1983 roku. W ramach tego kursu, który odbywał się przy wypełnionej po brzegi sali odczytowej, wykładawcami, oprócz Szporluka, byli Abraham Brumberg, Zbigniew Fallenbuchl i Jakub Świącicki. Na przyszły rok akademicki dr Bogdana Carpenter, profesor literatury polskiej na uniwersytecie michigańskim, planuje występ słowiańskiej plejady z udziałem, m.in. J. Brodskiego, Cz. Miłosza i J. Skvreckiego, w ramach sympozjum na temat środkowo-wschodnio-europejskiej poezji. Mówi się, że to sympozjum będzie poświęcone pamięci Piotra Ostafina. I słusznie!

Łączę wyrazy najgłębszego szacunku,

Andrzej S. EHRENKREUTZ

Rzym, 12 maja 1984.

Drogi Redaktorze,

Wielce zasłużona dr Karolina Lanckorońska w liście, zamieszczonym w numerze kwietniowym w obronie prof. J. Gierowskiego, pisze, że „nie można napadać na rektora z wyboru” i odwołuje się do argumentu jego patriotyzmu oraz godności nauki polskiej. Okoliczności nie mogą stanowić kryterium oceny prelegenta. Wyraziłem krytyczną opinię (nie była to „napaść”) m.in. dlatego, by na przyszłość wystrzegać się podobnych, kompromitujących niewypałów. Z głosów krajowych wynikało, że zamiast prof. Gierowskiego można było jako prelegenta wybrać np. prof. S. Kieniewicza lub innego historyka (niekoniecznie z Krakowa), który na pewno lepiej wywiązałby się z powierzonego zadania. Moja krytyczna opinia nie była *nota bene* odosobniona. W nocie na łamach *Kroniki Rzymskiej*, pisma wydawanego przez Dom Polski Jana Pawła II (ks. K. Sokołowski i O. K. Heymo O.P.) czytamy m.in. „Stosunkowo mało Prelegent poruszył sprawę samej odsieczy i udziału w niej papieża Innocentego XI. Brak ten spowodował reakcje krytyczne niektórych historyków włoskich, zwłaszcza historyków watykańskich. Wydaje się, że temat, ... w świadomości Polaków obrosły w legendę, trzeba było ustawić na szerszej płaszczyźnie spraw dziejących się w Europie... Unik, jaki uczynił Prelegent, nie chcąc wdawać się w kontrowersje, został odczytany jako kontynuacja zaściankowej historiozofii polskiej, bardziej odwołującej się do legendy, aniżeli do faktów. Szkoda, że tak doskonała okazja została częściowo stracona...” *Sapienti sat.*

Dominik MORAWSKI

Kolonja, 15 maja 1984.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uważam iż dobrze się stało, że pod listem dyrektora polskiej sekcji RWE p. Z. Najdera nie umieścił Pan komentarza bądź notki. Jest to jeden z tych listów, na które nie ma odpowiedzi. Jego treść poruszyła mnie jednak. (Co do tonu, to jako byłemu zawodowemu żołnierzowi głos nowego „*do-wódcy odcinka frontu*” zabrzmiał swojsko).

RWE to najbliższa memu sercu stacja. Rosłem i chowałem się z nią. Od niemowlęcych czasów byłem przez mego śp. Ojca metodą akademika Pawłowa uodporniany na szum zagłuszczonek i trenowany w sposobach selektywnego odbioru sygnałów z głośnika. Metody były widać skuteczne, bo dopadające mnie nawet w RFN-ie zagłuszenia, ku rozpaczy mojej żony, nie przeszkadzają mi wcale.

Dla przypomnienia o co chodzi. *Kultura* wydrukowała dwa (nr. 1/2/1984 i 4/1984) krytyczne o RWE listy czytelników. Krytyka była rzeczowa a przy tym delikatna i kurtuazyjna. A tu bomba; Zamiast równie rzeczowej odpowiedzi, w majowym numerze ukazuje się list p. Najdera, który najpierw wyraził nadzieję, że p. Giedroyc nie obraził się za poprzedni list, w którym zaproponował współdziałanie w zakresie krytyki, co miałyby się nazywać „*zasadami lojalnej współpracy*” i jak sądzę stanowić dwustronny pakt obronny przeciw niewdzięcznym, nielojalnym i krytycznym słuchaczom i czytelnikom. Następnie p. Najder oświadczył (co ujmę w skrócie), że:

1. krytyka była nieuczciwa, a p. Giedroyc nie miał prawa jej drukować nie znając programu RWE.

Pomijając fakt, że jest to tylko supozycja, zażądał p. Najder aby Redakcja albo znała się na wszystkim i co gorsza utożsamiała ze wszystkim o czym piszą czytelnicy, albo wprowadziła cenzurę.

2. jest wojna i sprawy krytyki, jako publicznie szkodliwe, powinno omawiać się na „*konferencjach sztabowych*”.

Doprawdy ręce opadają. To, w jaki sposób p. Najder swój list napisał jest być może wesołe, ale to co napisał już nie bardzo, bo ja nie po to uwolniłem się od tej zarazy, by tutaj w imię kolejnej „*wyższej konieczności* i dla ogólnego dobra” trzymać buzię na kłódkę. I rzec nie w krytyce RWE a w zasadach i elementarnej uczciwości; p. Bogdańska miała prawo napisać list, a Redakcja miała prawo — a może i obowiązek? — ten list wydrukować.

Wiem, Szanowny Panie Redaktorze, że publikując mój list, doleje się oliwy do ognia. Trzeba jednak niektórym stale przypominać, iż żyjemy, płacąc nieraz niemałą za to cenę, w Wolnym Świecie.

Łączę wyrazy szacunku i serdeczne pozdrowienia

Bolesław PAŃCZYŚZAK

Melbourne, 11 kwietnia 1984.

Szanowny Panie Redaktorze! z

Przedemną, na kuchennym stole, leży sześć numerów *Kultury* z ubiegłego roku. Akurat wczoraj mi je dostarczono. Ze wstydem przyznaję się, że nie jestem abonentką, ale czytam „*cudze*”... A więc piję moją herbatę i zaczynam lekturę. Biorę do ręki pierwszy zeszyt. Maj 1983. Jest tam

artykuł, nie, felieton Jacka Bierzina pod ciekawym tytułem: „*Takiego zwierzęcia nie ma*”. Myślę: „*Będzie o Australii*”. Bo u nas aż się roi od najprzewidywalniejszych zwierzątek. Nie, okazuje się, że tu chodzi nie o zwierzęta australijskiego, dziwoląga, ale o Bibliotekę Polską w Paryżu... Więc zainteresowanie moje rośnie i dochodzi do zenitu w środku felietonu, wywołując wybuch śmiechu na końcu, bo wtedy wspomnienie...

W czerwcu 1981 roku byłem w Paryżu. Wybrałam się któregoś dnia na wyspę Świętego Ludwika, żeby zwiedzić Bibliotekę Polską, ale że akurat były wakacje, więc budynek zamknięty na cztery spusty. Wałę w bramę, bo przecież nie wiem kiedy znowu będę w Paryżu. Do Europy najlepiej jechać właśnie w lecie, więc chyba już nigdy tej biblioteki nie zobaczę. Wyszedł jakiś pan, bardzo zły, i powiedział, żeby mu nie zawracać głowy, bo teraz się nie pokazuje. Kropka. A że jedna osoba nie stanowi ani tłumy, ani nawet marnej wycieczki, więc szanse na prześląkanie cerbera były żadne. Już się zbierałam do odejścia, kiedy nagle nadeszła, trzymając się za rękę, młoda para. Widać bardzo w sobie zakochani. Dołączyli do mnie i do tego pana z biblioteki i łamaną polszczyzną zaczęli wypytywać, czy mogą wejść do środka, bo są w Paryżu przejazdem, pierwszy raz w Europie. Jutro jadą dalej, ale rodzice im opowiadali o polskiej bibliotece w Paryżu, a że są Polakami, to chcieliby zobaczyć. Potem mają w planie iść na cmentarz, żeby odwiedzić grób Chopina. Rodzice też im polecili. Wszystko bardzo grzecznie, z uśmiechem i bardzo amerykańskim akcentem. „*No — myślę sobie — mam szczęście. Teraz nas chyba wpuści. Cóż tam ja. Ale ci młodzi. Amerykanie, którzy mówią, że są Polakami i starają się koniecznie to wytłumaczyć temu panu po polsku, no to on chyba zrobi wyjątek i nas we troje oprowadzi*”. Tak sobie w mojej naiwności myślałam. A on już ze złością w głosie, że mowy nie ma i żeby się lepiej nauczyli po polsku mówić, bo okropnie język ojczysty kaleczą... A w ogóle są wakacje i on teraz nie ma czasu. Tyle było rozczarowania w młodych twarzach, że się wtrącałam i zaczęłam tłumaczyć, że ja to nieważne, ale, że ci młodzi to cudowne, że historia, że to reklama dla biblioteki, że niby Amerykanie, a przecież czują się Polakami, że to nadzwyczajne, że po to przecież istnieje ta biblioteka, żeby raz może zrobić wyjątek, że przez ten czas, który tracimy na tę nieprzyjemną rozmowę, już dawno byśmy zwiedzili i wyszli... Szkoda gadać. Kamieniem w ścianę. To, że Australia i Ameryka są kawałek drogi od wyspy Świętego Ludwika i nie tak łatwo tu się stamtąd wybrać oraz szereg innych argumentów wcale nie wzruszyło tego pana. Młodzi poszli ze smutkiem na cmentarz, a ja ze złością do hotelu.

I dopiero dziś, po trzech latach, zrozumiałam: Biblioteka????!! Takiego zwierzęcia nie ma! Pan Jacek Bierzina ma świętą rację...

Z poważaniem

Barbara SCHENKEL

P.S. Czytając następne numery *Kultury* przeczytałam w Listach do Redakcji, w zeszycie 7/8, że artykuł Jacka Bierzina wywołał burzę w szklance wody... „*...co jednak świadczy o zainteresowaniu Biblioteką Polską i emigracyjnymi instytucjami kulturalnymi*...”. Racja. Pomyślałam sobie, że już chyba nie będę więcej czytać cudzych *Kultur*, ale od teraz będę sobie je kupować w naszym polskim sklepie i w ten sposób powetuję *Kulturze* stratę prenumeratora pana M. Szackiego-Skarbka!

B. S.

Ludwik Stomma
 Directeur d'Etudes associé à
 l'Ecole Pratique des Hautes Etudes
 25 rue d'Alsace, 75010 Paris.

Paryż, 15 maja 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

W liście do redakcji (*Kultura* 5/1984) anonimowy przedstawiciel „rocznika 1955” oburza się, iż „nawet publicysta Wolnej Europy traktuje Jaruzelskiego w salonowych komentarzach lepiej niż traktowano kiedyś gubernatora Franka na Wawelu, Muellera w Warszawie czy Greisera w Poznaniu...” i zapytuje dramatycznie dlaczego tak się dzieje. Odpowiedź jest prosta: dlatego, że w PRL nie uprawia się ludobójstwa, nie przeprowadza eksterminacji mniejszości narodowych, nie rozstrzeliwuje ludzi na ulicach etc. Porównywanie Jaruzelskiego ze zbrodniarzami hitlerowskimi, a obecnej sytuacji w kraju z okresem okupacji hitlerowskiej jest wyrazem zatracenia jakiegokolwiek miary historycznej, politycznej i moralnej. Znaj proporcję mocim panie! Niestety, podobne zatracanie proporcji, które przynosi sprawie polskiej niepowetowane straty zrażając do niej wielu ludzi życzliwych lecz znających po prostu miarę rzeczy, nie jest na łamach *Kultury* rzeczą wyjątkową. Oto w tym samym numerze Jacek Bierezin kpi w swoim megalomańskim felietonie z ludzi, którzy uważają, że „w Nikaragui dzieje się dużo gorzej” niż w Polsce. Tymczasem tak właśnie jest: w Nikaragui dzieje się nieporównywalnie gorzej niż w Polsce już z tego choćby względu, że zarówno śmierć głodowa, jak i śmierć od kul jest tam chlebem codziennym. *Nota bene* objawami tzw. „sowietyzacji” są nie tyle odmienne poglądy (choćby nawet i komunistyczne) ile właśnie pogarda dla przekonania odmiennych, łepota i ordynarność. W tej zaś mierze język Bierzina nie różni się niczym od artykułów w *Żołnierzu Wolności*.

Nie przynosi Polsce korzyści ani przywołanie w jej imię fałszywych i niedopuszczalnych pseudoanalogii historycznych, ani lekceważenie i pomijanie cierpień innych narodów. Zaś mnożenie wyzwick świadczy bodaj tylko o impotencji.

Z głębokim poważaniem

Ludwik STOMMA

Szanowny Panie Redaktorze!

Chciałbym zrobić kilka komentarzy na temat poruszony przez p. Edwarda Puacza w jego cennym artykule pt. „Kolegium Związkowe i co dalej” (*Kultura* nr 3/438 — marzec 1984).

Pan Puacz pisze (na str. 87), że w roku 1948 Kolegium Związkowe uzyskało pełną akredytację, uprawniającą je do wydawania dyplomów bakałarza i magistra, oraz że pierwszy tytuł doktora nadany został w roku 1955. Żadne kolegium amerykańskie z programem czteroletnim nie jest uprawnione do wydawania dyplomów magistra, ani tym bardziej doktora. Tytuły doktora, tak szczerze nadawane przez Kolegium Związkowe, są tytułami honorowymi. Parę lat temu Prezydent tej szkoły, dr H. Szymański, radził się ze mną, czy warto byłoby zacząć starania o przyznanie Alliance College prawa nadawania tytułu magistra wyłącznie w dziedzinie polonistyki. Powiedziałem mu, że podanie o to nie może wyglądać poważnie dopóki Wydział Polonistyczny szkoły nie będzie miał kilku profesorów z dyplomami doktorskimi. W wydziale tym nie było wówczas ani jednej osoby z doktorem.

Na str. 89 p. Puacz pisze o zbliżającej się wizytacji szkoły przez komisję stanową, od której będzie zależało odnowienie lub skasowanie jej akredytacji. Nie jest to komisja „stanowa”, tylko komisja zrzeszenia okręgowego prywatnych szkół akademickich, do którego należą uczelnie wyższe w stanie Pennsylvania. Takie zrzeszenia okręgowe są odpowiedzialne za poziom szkół i sposób ich prowadzenia. Akredytacja uczelni akademickich od nich zależy. Nawiasem mówiąc, akredytacja Alliance College od dawna wisi na włosku i można mieć poważne wątpliwości, czy i tym razem akredytacja jego będzie jeszcze raz przedłużona.

Na str. 88 p. Puacz omawia interesująco słaby stan „polskości” szkoły, zwracając uwagę na bardzo wysoki procent (około 50%) studentów pochodzenia nie-polskiego i jeszcze wyższy procent (80%) wykładowców nie tylko pochodzenia nie-polskiego, ale nie mających żadnego zainteresowania do tematyki polskiej i studiów polonistycznych. Jest to ściśle, ale bardziej jeszcze przynębiający jest fakt, że w obecnych warunkach na poprawienie tej sytuacji nie można mieć w ogóle nadziei. Chodzi o to, że w ostatnich latach Alliance College zaciągnął szereg pożyczek od rządu federalnego na inwestycje: nowe budynki, laboratoria itp. Każda szkoła, która korzysta z takich pożyczek, nie może stosować żadnych ograniczeń (rasowych, etnicznych, czy wyznaniowych) przy przyjmowaniu studentów na studia, tj. musi być dostępna dla każdego mieszkańca regionu, który ma ukończoną szkołę średnią. Ponieważ Alliance College jako uczelnia nie może konkurować o studentów z innymi szkołami w okolicy, zaś opłata za naukę jest tu niższa, niż w szkołach, cieszących się wyższym prestiżem, napływa do niego dużo młodzieży lokalnej o bardzo miernych zdolnościach i bardzo słabym przygotowaniu, która do szkół lepszych nie miałaby w ogóle dostępu.

Sprawa nauczycieli pochodzenia obcego jest bardziej jeszcze skomplikowana, bo rekrutacja personelu nauczycielskiego była od lat sprawą nie traktowaną poważnie, lecz załatwianą naprędce, przypadkowo, tymczasowo, nawet bezmyślnie. Wiele osób, które zaangażowano w ten sposób, uzyskało z czasem etaty i nie można ich zwolnić, mimo braku odpowiednich kwalifikacji do pracy, którą wykonują.

Przechodzę teraz do sugestii p. Puacza co do tego „Jak wyjść z kłopotów?”. P. Puacz ma świętą rację co do stanu Alliance College. Jest to nie tylko instytucja, która od dawna utraciła cel swego istnienia, ale która wystawia smutne świadectwo Polonii Amerykańskiej i kulturze polskiej, którą bądź co bądź reprezentuje, przynajmniej w oczach ludzi, którzy nie są poinformowani, jak jej rzeczywistość wygląda. Nawet lokalnie, nie mówiąc już o jakiegokolwiek opinii ogólnokrajowej, szkoła nie cieszy się żadnym szacunkiem jako uczelnia. Jedyńa dziedziną, w której zdobyła sobie pewną renomę, jest (czy może już była) jej grupa taneczna.

Coś w tej sprawie trzeba od dawna zrobić. Nie jest to jednak bynajmniej łatwe, bo polityka Polskiego Związku Narodowego (P.N.A.) właścicieli tej szkoły, jest od lat na ślepych torze.

W roku 1970 kilku z nas, naukowców polskich, słysząc o najnowszych blamażach Alliance College, zdecydowało się coś zrobić. Było to w czasie Zjazdu Naukowego, zorganizowanego przez Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku. Postanowiliśmy wystąpić z publiczną krytyką Alliance College w nadziei, że to zmusi P.N.A. do jakiejś akcji reformistycznej. Napisałem odpowiedni artykuł, który mieliśmy rozesać do wszystkich pism polsko-amerykańskich oraz pism polskich na wychodźstwie. Gdy porozumiewaliśmy się w tej sprawie z zarządem Polskiego Instytutu, jego Prezes, Prof. Mrozowski, prosił, żeby się od tego powstrzymać, nie wynosić sprawy na forum publiczne, tylko załatwić rzecz za kulisami, w czym obiecywał pomoc. Nie wiem, jak to było załatwione, ale rzeczywiście w parę tygodni

potem „rektor” kolegium dostał dymisję i konkurs na jego posadę został szeroko ogłoszony. Mieliśmy wielkie nadzieje, ale nic z tego nie wyszło.

P. Puacz sugeruje cztery możliwe rozwiązania problemu, z których każde byłoby lepsze od dalszego vegetowania tej niefortunnej instytucji. Osobiście głosowałbym za jego rozwiązaniem Nr 3 — zlikwidowaniem kolegium, sprzedażą budynków i gruntów i ufundowaniem za te fundusze studium naukowego, poświęconego wszystkim aspektom kultury polskiej, przy jednym z lepszych uniwersytetów amerykańskich — na podobieństwo podobnych instytucji innych grup etnicznych w Stanach Zjednoczonych. Byłoby to zgodne z intencjami założycieli szkoły i może przez uwieńczenie zasług P.N.A., jako fundatora takiej instytucji, osłodziłoby jej liderom wyrzeczenie się szkoły, z którą od dawna nie wiedzą, co robić.

Konstanty SYMONOLEWICZ-SYMONS
Doktor filozofii, Profesor Emerytowany,
Allegheny College

Paryż, 15 maja 1984.

Szanowny Panie Redaktorze!

W rubryce „Nadesłane nowości wydawnicze” (kwietniowy numer *Kultury*) zwraca Pan Redaktor uwagę, że drugie wydanie książki p. Stefana Korbońskiego pt. „Polskie Państwo Podziemne...” jest fotooffsetową reprodukcją z pierwszego wydania *Kultury*, czego ani Autor ani wydawca nie zaznaczyli. Wydaje mi się, że należy również wyrazić ubolewanie, że w nowym wydaniu Autor nie sprostował zniekształceń i nie uzupełnił dużych luk, jakie znajdują się w tej książce i o jakich dawniej już wspominałem (*Zeszyty Historyczne* Nr 60, str. 236-237).

W bieżącym roku przypada 40-ta rocznica „Burzy” i toczonej w jej ramach walk przez zgrupowania partyzanckie, o których w książce p. Korbońskiego są jedynie wzmianki, więcej niż powierzchowne, zacierpnięte przezważnie z wydanego w Londynie w 1950 roku 3-go tomu „Polskich Sił Zbrojnych”. Siłą rzeczy nasuwa się pytanie: czy rzeczywiście na emigracji tak trudno jest wyjść poza lata pięćdziesiąte?

Łączę najlepsze pozdrowienia

Tadeusz WYRWA

Na Ruch Oporu w Polsce złożyli po \$ 10,00 pp. Walentyna Aron, J. Harasiuk i A. Nowicki ze Stevens Point — razem: \$ 30,00	F. 252,00
Oddział Koła A.K. w Detroit, MI (USA) — na pomoc rodzinom więzionych obrotów praw człowieka — \$ 52,00	F. 435,00
Polish Pawilion w Prince Albert, Sask. (Kanada) — na Fundusz Wydawniczy wrocławskiej „Obecności” — \$ c. 100,00	F. 626,96
Polska Bratnia Pomoc z Nowego Jorku — zamiast kwiatów na grób śp. Władysława Michalaka — na pomoc więźniom politycznym w Polsce — \$ 30,00	F. 252,00
Roma Starczewska, Alexandria, VA (USA) — zamiast kwiatów — w drugą rocznicę śmierci Ojca Karola Kucińskiego — na pomoc dla więźniów politycznych i ich rodzin — \$ 25,00	F. 210,00

WPŁATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Helena Eilstein, Albuquerque, N.M. (USA) — \$ 15,00	F. 126,00
Edward Gil, Toronto, Ontario (Kanada) — na „Solidarność” w Kraju	F. 150,00
(jednocześnie prostujemy naszą pomyłkę, dziękując p. Gilowi za zwrócenie nam uwagi: w numerze 3/438 <i>Kultury</i> odnotowaliśmy dar p. Gila na „Solidarność” w Kraju w wysokości \$ c. 300,00, podczas gdy wynosił on \$ c. 30,00; w związku z tym odpisujemy z Funduszu „Solidarności” F. 1.755,00).	
Alicja Iwańska, Albany, N.Y. (USA) — honorarium otrzymane za odczyt o „Solidarności” na „Solidarność” podziemną — \$ 75,00	F. 630,00
Na Apel „Konfederacji 76”, Oddział Boston, USA złożyli na „Solidarność” podziemną: A. Zołgdkowski i W. Ostrowski po \$ 10,00; P. Wojdakowski, W. Szypszak, Z. Pajdzik, R. Górski, J. Kocjan, T. Daniszewski, M. Butkiewicz, M. Stankiewicz, F. Dziadul, K. Kuczyński, A. Biedak, i Zb. Wallek po \$ 5,00 i rencistka Józefa J. — \$ 3,00 — razem: \$ 83,00	F. 697,00
Alicja Parizeau, Montréal, Qué. — \$ c. 40,00	F. 252,00
Polish Canadian Action Group „Solidarność i Niepodległość”, Toronto, Ont. — na „Solidarność” w Polsce (nadesłał skarbnik B. Lewandowski) — \$ c. 500,00	F. 3.150,00
Rajmund Smyk, El Paso, TX (USA) — \$ 10,00	F. 84,00

WPŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Józef Andrzejak, El Paso, TX (USA) — zamiast kwiatów na groby-pomniki pomordowanych przez „władzę ludową” — \$ 10,00	F. 80,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — DM 100,00	F. 307,05
Andrzej Chmielecki, Bergkamen (RFN)	F. 153,05
E.M., Paryż	F. 300,00
Ryszard Głowacki, Chadstone, Vic. (Australia) — \$ A. 50,00	F. 379,68

Dr Stanisław Nałęcz Korzeniowski, River Forest, IL (USA)	
— \$ 34,00	F. 285,00
Eugenia i Krystyna Piórkowskie, New York — dla uczczenia pamięci Męża i Ojca, Jana Jerzego Piórkowskiego, w drugą rocznicę Jego śmierci — 1.10.1984 r. — \$ 20,00	F. 168,00
Wojciech Szczygielski, Zurych — Fr. szw. 30,00	F. 111,00
Towarzystwo Przyjaciół „Solidarności” w Vancouver, B.C. (Kanada) Grupa Internowanych w Seattle (USA) — sumę zebraną w czasie wystawy, zorganizowanej przez te dwie organizacje z pamiętek i dokumentów przywiezionych przez b. więźniów stanu wojennego	F. 640,00

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 381 — SERIA „DOKUMENTY”

PRAWA CZŁOWIEKA I OBYWATELA W PRL
W OKRESIE STANU WOJENNEGO

(13. 12. 1981 - 31. 12. 1982)

Opracował Zespół Redakcyjny Komitetu Helsińskiego w Polsce.
Z upoważnienia: Zbigniewa BUJAKA, Bogdana LISA, Władysława
HARDKA, Józefa PINIORA, Eugeniusza SZUMIEJKI.

Str. 224.

Cena F. 75,00.

TOM 382

ROZMOWY NIEKONTROLOWANE
ROZMOWY NIEKONTROLOWANE
ROZMOWY NIEKONTROLOWANE

Rozmowy przeprowadzone w okresie od maja do końca listopada 1982 roku z 16-toma przedstawicielami polskiej inteligencji w kraju, które są świadectwem prawdziwych odczuć doznawanych w poszczególnych miesiącach stanu wojennego.

Str. 246.

Cena F. 75,00.

TOM 383 — MAREK NOWAKOWSKI

NOTATKI Z CODZIENNOŚCI

Nowy tom autora Raportu o stanie wojennym, dotyczący życia w kraju po zniesieniu stanu wojennego.

Str. 156.

Cena F. 50,00.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2^e trimestre 1984.Imprimé en France
N° d'imprimeur 6467

PRZEDSTAWICIELSTWA

AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
ARGENTYNA: « Liberia Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2. Sydney, NSW 2000 Tel. 29 1248	\$ A. 5,50	\$ A. 30,00	\$ A. 56,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-60-175	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
BELGIA: Maria Rondomska, 132, Avenue Coghén. 1180 Bruxelles. Tel.: (2) 345 08 25. Konto 310.0334324. 51 w Banque de Bruxelles	F.B. 300,00	F.B. 1300,00	F.B. 2600,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury »	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B 4 Vlissingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 15,00	Fl h 80,00	Fl h 145,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5 Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont L8H 3Z8 Tel 545-2115 J. Korwin Lopuzanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen St W Toronto 145 Ont Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiakzowiec »), 1638 Bloor St., w., Toronto, Ont. M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 13,00 F. 36,00	\$ Can. 35,00 DM 70,00 F. 200,00	\$ Can. 60,00 DM 130,00 F. 380,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45. Gablonzerstr 7/1	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 110,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.	K.S. 36,00	K.S. 200,00	K.S. 380,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74 1211 Genève 7 Tel. 44-32-51 Nr konta pocztow. 12.14431			
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalkärsgratan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6			
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009 Tel. 475-8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis 53211. T. Konopecki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego Cal. 92104 Tel. 284-6271, Krystyna Leser, 1725 - 17th St. N.W. Washington D.C. 20009, H. Kosciuch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Mill Rd., Waukegan Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain Conn 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Street Detroit Mich 48211. Szwede Slavic Books 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748. Księgarnia « Nowego Dziennika » 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018 Tel (212) 354-0492	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Ken way Rd. London SW5 ORD Tel (01) 370 2210	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int 27. Tel. 75-67-241	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00

Egz. poj.	Prenumerata	
	1/2-roczna	roczna

Ceny na rok 1984

Egz. poj.	1/2-roczna	roczna
F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
\$ A. 5,50	\$ A. 30,00	\$ A. 56,00
F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
F.B. 300,00	F.B. 1300,00	F.B. 2600,00
\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
Fl h 15,00	Fl h 80,00	Fl h 145,00
F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
\$ Can. 6,00	\$ Can. 35,00	\$ Can. 60,00
DM 13,00	DM 70,00	DM 130,00
F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 110,00
K.S. 36,00	K.S. 200,00	K.S. 380,00
\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 380; półroczna — F. 200.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 4,50.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi.
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francją)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicą).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 389 — HENRYK SIEWIERSKI

SPOTKANIE NARODÓW

Losy Polaków w Związku Sowieckim w czasie drugiej wojny światowej i ich kontakty na terenie więzień i łagrów z przedstawicielami wielu innych narodów uciskanych przez ZSSR.

Pierwszy raz zebrane i przypomniane wszystkie książki i wspomnienia które ukazywały się na ten temat w czasie wojny i zaraz po niej, z których większość nie jest znana.

Str. 144.

Cena F. 55,00.



TOM 390 — GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DZIENNIK PISANY NOCĄ

TOM III
1980-1983

Str. 345.

Cena F. 95,00.



TOM 391 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SZĘŚCZDZIESIĄTY ÓSMY

Zawiera m.in. opracowania: R. Sikorskiego — *Człowiek z zewnątrz (rozmowa z Normanem Daviesem)*; N. Daviesa — *Granice Polski w czasach najnowszych*; P. Morgi — *KOR — szkoła wolności*; T. Łepkowskiego — *Myśli o historii Polski i Polaków*; O. Remigiusza Kranca — *Byłem skazany na 10 lat Syberii (dok.)*; *Aresztowani i skazani (relacje z Polski)*; K. Lenkiewicz — *Wspomnienia belwederskie* oraz bogate działy: RECENZJE i OKRUCHY HISTORII.

Str. 240.

Cena F. 60,00.

